POKUSA

Tegoż autora:

Zdarzenie. *Nowele.*
Historja naiwna. *Nowele. Wydanie trzecie.*
Ruchome piaski. *Dramat.*
Kuźnia. *Powieść.*

PIOTR CHOYNOWSKI

POKUSA

Panis bene merentium — Pan Bratkowski — Rodzina Kalinowskich — Czyn — Z czwartego plutonu — Nacje

WYDANIE DRUGIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA KRAKÓW LUBLIN ŁÓDŹ POZNAŃ WILNO
THE POLISH BOOK IMPORTING COMPANY INC. NEW YORK

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

POKUSA

W kwiecie lat męskich — znaczy, mając ich przeszło jedenaście — uczęszczałem pracowicie do drugiej klasy szkoły realnej. Tej właśnie dojrzałości wieku najpewniej przypisać wypadnie, iż, jakkolwiek »uczęszczanie« owo odbywało się na samej granicy Azji, ja, urodzony Królewiak, nic niezwykłego w sytuacji mojej nie dostrzegałem. Ot, poprostu przed trzema laty przesłano mnie tutaj, jako nierozumny pakiet pocztowy, wprost do wuja, powiatowego lekarza w tej właśnie południowo-wschodniej gubernji, że to niby »rozwinie się chłopak na powietrzu« i »nic to nie kosztuje«, co najważniejsze zaś »do szkół tam łatwiej, niż u nas«. Rzeczywiście, powietrza w owej gubernji więcej było, niż w Belgji i Holandji razem, a szkoły haniebnej wprost łatwości. Że jednak w owej wujowskiej rezydencji powiatowej za ostateczny i dostateczny przybytek wiedzy uznano 4 klasową szkołę techniczną, we właściwym więc czasie ciotka odwiozła mnie do odległego

o 200 wiorst jazdy końmi i koleją gimnazjum gubernjalnego i, po niezwykłych sukcesach egzaminowych (które i tak policzone zostały na dobro nie moje, lecz importowanej z Polski nauczycielki, panny Natalji) umieściwszy na stancji u wdowy po majorze Kławdji Pawłowny i dwu jej dorastających córek, Tani i Mani, pogroziła mi na nosie, mówiąc: »Pamiętaj, smarkaczu, ucz się«.

I koniec. Tak właśnie i tylko tak wyglądała w moich oczach własna historja. Nie dziwiło mnie bowiem wcale, iż w całem mieście gubernjalnem istniała jedna jedyna rodzina polska, której, jako poleconej mi gorąco przez ciotkę, unikałem starannie; nie zdumiewało mnie również, że narówni z Anglikiem Wilfordem (którego ojciec budował jakąś tam kolej w gubernji) i grubym Niemcem Kellerem uważany byłem w całej szkole za przedstawiciela niezwykłej, egzotycznej nacji, podczas gdy kilku 20-letnich Kirgizów, a moich kolegów, uważano za zwykłych tubylców; uznałem za naturalne, iż jeden z tych tubylców, Mehmet Chan, drapnął którejś nocy z internatu na skradzionym koniu, za co wykreślono go sromotnie z liczby uczniów; bez zdumienia w sercu jeździłem do szkoły na łyżwach po ulicach miasta, gdy po październikowych ulewach chwyciły nagłe mrozy stepowe.

Nie dziwiło mnie wtedy zgoła nic. Kwitłem i »uczęszczałem«. Jeżeli kiedy stawała mi w oczach ostatnia pożegnalna scena w Warszawie na dworcu, owe gorące łzy matczyne i powtarzane przez wszystkie ciotki, stryjenki, kuzynki, a najwięcej przez babkę-kanoniczkę napomnienie: »Pamiętaj, żeś Polak«, to specjalnie podczas bójek szkolnych, gdym podtrzymywał w klasie opinję polskiego męstwa. Ba! niedarmo importowana z Polski panna Natalja wpajała mi tradycje Orszy i Kirchholmu! Walczyłem jak lew. Umiałem i krew z nosa puścić i »dać« w miękkie »pod sercem« miejsce; nigdy, nawet powalonemu, nie wyrwało mi się hańbiące słowo poddania; parłem się do bitki tak zażarcie, że nawet mój surowy sąsiad, pierwszy asinus i pierwszy zabijaka klasy, dłubiąc koło wąsów, zdobywał się czasem na pochwałę: »Nieźle, Lach sierdityj, tylko siły mało«. Jako »sierdityj Lach« znany byłem całej szkole, uczniom i nauczycielom i nazwa ta stanowiła mój tytuł do chluby. Zresztą zbierałem marki, czytywałem romanse i za cukierki nosiłem dla Tani i Mani »billets doux« od drabów z siódmej klasy. Na święta i wakacje brano mnie, oczywista, do domu ku mej olbrzymiej radości.

Trwała ta idylla jakoś z półtora roku. Naraz, coś po Bożem Narodzeniu, spadły na mnie

odrazu dwie poważne klęski życiowe: zakochałem się nieszczęśliwie w siostrze kolegi, fertycznej Lizie z czwartej klasy, na stancję zaś przyjechał kuzyn domu, wspaniały rotmistrz ułanów. Z miłością jeszcze dawałem sobie radę, ale z rotmistrzem szło jak z kamienia. I to zaraz od pierwszego dnia. Wąsaty ułan, rozwalony na kanapie, z gitarą w łapach, jak grabie, indagował mnie chytrze, mrugając na kuzynki z pod oka:

— Te! Chodźno tutaj. Cóż to? Mówią, żeś ty »sierditýj Lach?« Hę?

— Ano tak. Jestem — mówię z dumą.

— Patrzcie państwo! Skądżeś ty Lach? Przecie Lachów niema.

— Jakto, niema? Są.

— Niema. »Byli, byli, póki Warszawy nie przegapili«. Wiesz?

Żeby tak w szkole, dałbym odrazu w miękkie »pod sercem« miejsce, trudno jednak wojować z dorosłym. Wyszedłem więc, wzruszywszy ramionami. Ale »przegapioną Warszawą« zgryzłem się, jak pies.

Cóż dopiero, gdy nazajutrz, ledwiem siadł do obiadu, ten znowu swoje:

— No, zgadzasz się teraz, żeś Rosjanin? Co?

— Co się mam zgadzać — odparłem chmurnie — Polak jestem.

— Patrzcie, jakiś ty uparty! Mówiliśmy przecież wczoraj, że i Warszawa teraz rosyjska.

Zagotowało się we mnie z wściekłości. Udałem jednak zuchwałą obojętność.

— Phi! Choćby teraz i rosyjska, a będzie znowu nasza.

— Co ty bredzisz! Jakże tak?

— A tak.

— Jak? Głupiś, bębnie! Cóż to, siłą odbierzecie?

— Odbierzemy.

Wzniosły ułan aż łyżkę odłożył z irytacji i zdumienia.

— Uważaj, co gadasz! Kto odbierze? Ty, smarkaczu?!

— Choćby i ja.

— A wiesz ty, że to bunt! Że za takie rzeczy śmierć?!

— Phi! Bunt to bunt, a odbierzemy.

Ułana poderwało. Odsunąwszy krzesło z hukiem, jął mi wygrażać przed nosem sękatemi palcami:

— Ty mnie, oficerowi gwardji, takich bredni pleść się nie waż! Rozumiesz, głupcze!!

I wyszedł z okropnym brzękiem ostróg ku przerażeniu Kławdji Pawłowny oraz córek jej, Tani i Mani.

Niestety było to moje jedyne, iście Phyrrusowe zwycięstwo. Ułan zmienił taktykę zasa-

dniczo. Miast ataków frontowych, zaczęła się odtąd pika, szpilkowanie nieustanne i bolesne, szydercze półuśmiechy, aluzje odległe a zawsze ostro w Polskę i Polaków godzące. Nie odpowiadałem na to nic, bom nie umiał; budził się we mnie tylko żal do narodu, którego bronić tak trudno, a równocześnie wściekła osobista do ułana nienawiść. Najgorzej jednak bywało, gdy wojak krył się za dyplomatę, gdy wjeżdżała na scenę wyrozumiałość i szczere pragnienie prostowania dziecinnych zaślepionych błędów. Prawił mi więc rotmistrz szeroko o polskich rządach, o Jezuitach i gnębieniu Rusi, jak mu to ongiś w korpusie w rycerski łeb wtłoczono; tłomaczył, że naród bez wojska, to banda cywilów, którą »jego mołojcy« na szablach rozniosą; pomału, zdaleka, wolno i ostrożnie, dochodziło się do sławetnej piosenki: »A powstancy kochajoncy, udirajut kak zajoncy!« Próżne były moje ze łzami w oczach twierdzenia, że dziad mój w Żuawach pod Miechowem zginął, nie uciekł; że pradziad pod Olszynką dwa razy kompanję wiódł do ataku, że któryś z przodków z Sapiehą pod Moskwę chadzał... Szydercza odpowiedź brzmiała zawsze jednako: pułk dragonów ma tyle i tyle szabel, pułk piechoty — tyle karabinów, do brygady należy tyle i tyle dział. A zresztą, czyż mi to w Rosji źle? Czy mi się tu jaka krzywda dzieje?

Czy wuj na państwowym urzędzie nie służy carowi »wiarą i prawdą?« »Prawda«, myślałem: »przed twoim przyjazdem wcale mi tu było dobrze«. Gdym kiedyś wreszcie, w ogniu dyskusji, wydobył własnem zdaniem najmocniejszy, w pierwszem jeszcze dzieciństwie w serce mi zapadły argument, jak to chłopiec jakiś, Polak, dostał w Warszawie na ratuszu rózgi za to tylko, że w Saskim ogrodzie sprał na kwaśne jabłko jeneralskiego synka — zdawało się, że mój rotmistrz pęknie ze śmiechu.

Wstał z kanapy, odrzucił gitarę i z radości aż się za boki trzymał.

— Bój się Boga, chłopaku! Któż ci to znowu nagadał?

— Niania moja, Janowa. Widziała na własne oczy — broniłem się z przejęciem.

— Jego niania... Patrzcie-no! Sama widziała, mówisz? Na ratuszu rózgi... Trzymajcie mnie!

— Niema się czego śmiać, kiedy prawda — nadrabiałem surową powagą.

— Wstydź się! To ty babom wierzysz? Mężczyzna — i babskie plotki, wstyd!

— Kiedy prawda...

— Głupstwo! A ty sam, Lach sierdityj, małoś tu w szkole Rosjan naprał? Gadaj!

— Tu co innego, a w Warszawie...

— Nie kręć, gadaj! Prałeś tu Rosjan?

— Prałem — zgodziłem się ponuro.

— A rózgi dostałeś? Na ratuszu, co? Ech ty, głuptasie!

Autorytet Janowej popękał od tego śmiechu. A może Janowa kłamie? Nieraz przecież zamiast na spacer prowadzała mnie po kościołach, surowo nakazując kłamać o tem przed mamą. A zresztą: pułk konnicy ma tyle i tyle szabel, pułk piechoty — tyle karabinów... Może naprawdę powstanie nie jest już możliwe? Ech, małemu chłopcu niełatwo bronić całego narodu! Nie to, żebym się wahał, żebym coś ze swej polskości ustąpił, ale przemyśliwałem już »o porywaniu się z motyką na słońce« i solennie postanowiłem unikać dysput politycznych. Gryzła mnie też myśl, że nawet gdy dorosnę, nie będę mógł ożenić się z piękną Lizą, bobym miał dzieci prawosławne. Przytem nie zwracała na mnie żadnej uwagi. Łaziłem więc jak struty, bez humoru i apetytu, z ponurą łagodnością znosząc kpiny rotmistrza oraz Tani i Mani, natrząsających się z mej nieszczęśliwej miłości.

Około Wielkiej Nocy położenie stało się wprost nieznośne. To też pierwszego dnia ferji, ujrzawszy wchodzącego we wrota wujowskiego furmana, starego Tatara Muzłę, rzuciłem mu się na szyję w samym środku podwórza, nie bacząc ani na własną godność, ani na jego ośnieżony kożuch. Jak anielskie chóry

brzmiał mi w uszach radosny a chropowaty głos poczciwego Muzły:

— Jedziem, paniczu!

Boże, jak świetnie jest dzieciom w domu, wśród swoich! Własne, cieplutkie, a świeżością aż pachnące łóżko, obok zapobiegliwą ręką ułożone na krześle ubranko, dalej stół, stary dziecinny znajomy, świadek zabaw i prac, z pościnanemi scyzorykiem kantami, olbrzymia szafa, co skrzypi, jakby się dziwiła, duże a srodze nadbite lustro »dla chłopców« i śmiesznie wesoły, figlarny pas porannego słońca. Wyspane oczy otwarły się szeroko i chętnie. W drugim kącie śpi mały kuzyn Wicek. Śpi jeszcze: ułożył się nawznak, jedną rękę odrzucił wysoko na poduszki i ze skupioną twarzą gwiżdże przez zakatarzoną dziurkę od nosa (pół dnia stawiał wczoraj mosty na kałużach). Zabawny Wicek! Z jadalni dochodzi brzęk filiżanek. I naraz budzi się dziki, radosny głód. Jej! co tam dobrych rzeczy na stole! co tam specjałów! Skacze się z łóżka na równe nogi i pierwsza rzecz, z samej radosnej energji, buch! jaśkiem w łeb śpiącego Wicka! Potem dopiero, wysunąwszy rozczochraną głowę, a kryjąc wstydliwie cienkie piszczele, wrzeszczy się na cały dom gniewnym, jak najgrubszym, »dorosłym» głosem:

— Nastka, wody!

Uśmiecha się przystojna pokojówka Nasta-

zja, uśmiecha się ciotka, uśmiecha się wuj, uśmiecha się panna Natalja, z Polski importowana nauczycielka. Cenzurę miałem jak złoto: czekały mnie same rozkosze. Wuj, stwierdziwszy w mym dzienniku, że »piątka piątkę goni«, traktował mnie z niejakim szacunkiem: miałem wolny wstęp nawet do stajni, a co rano w wielkiej pysze zajeżdżałem z Muzłą przed ganek towarzyszyć wujowi na wizyty, podczas gdy Wicek »gnił« w domu za karę, iż u niego, wedle wyrażenia ojca, a skutkiem znęcań się panny Natalji »pała pałę pobija«. Zacna nauczycielka, dla której stałem się żywem świadectwem wychowawczych talentów, próbowała z początku wciągnąć mnie w dyskusję o tematach »wyższych«, literackich i narodowych, lecz z powodzeniem mizernem; w przewidywaniu podstępu i pedagogicznych figlów robiłem z góry minę przegłupią, kiwając się przytem na krześle jak stary Chińczyk, czego — wiedziałem — cierpieć nie mogła. To też po pięciu minutach wylatywałem z pokoju jak z procy ku szczeremu żalowi kuzynki Zosi, którą brano z kolei na tortury: czytały wówczas te panie »Pawła i Wirginję«, oraz urywki z Chateaubriand'a. Starsza o dwa lata, a już pełna pretensji kuzynka Zosia spoglądała na mnie okiem niepewnem. Ujrzawszy dawnego »nieznośnego smyka« w mundurze i długich spodniach, zmię-

kła widocznie; gdym zaś bąknął coś z dumą o pięknej Lizie i nieszczęśliwej miłości, przejęła się tą sprawą żarliwie i nad me własne spodziewanie. Na samym, co prawda, wstępie, padły z jej warg pogardliwe słowa, że wogóle w miłość nie wierzy; dalej jednak rozwinęła taką ścisłość, taką dokładność badań »a jak?« »a co?«, żem znalazł się w prawdziwym kłopocie. W mojej miłości bowiem nie działo się właściwie nic. W rzeczywistości na widok fertycznej Lizy natychmiast dostawałem klusek w ustach i z biciem serca umykałem gdzie pieprz rośnie, byle, broń Boże, słowa do niej nie pisnąć; tu jednak, wobec Zosi, rozpaczliwie czerpiąc w przeczytanych romansach, prowadziłem z nią ożywione i długie konwersacje na temat ogólny: — »ona mi to, a ja jej na to«. Wkrótce też ustaliła się rzadka z kuzynką konfidencja: ku zdumieniu ciotki, pełno nas było po wszystkich kątach, szepczących tajemne zwierzenia. Głowa pękała mi z natężenia, gdym zaczynał swoje: »No, a na drugi dzień...«, alem brnął z honorem i odwagą.

Świetnie mi było! Nawet surowa, a stale za krajem stęskniona ciotka, przed którą i wuj czuł respekt nielada, była w humorze, że choć do rany przyłóż. Wśród szynek, placków i bab — symbolu »polskiej« Wielkiej Nocy — których ciotka dotknąć się nie dała kuchar-

ce Agafji, że Moskiewka, codzień odczytywano z nabożeństwem nadeszłe z kraju, »od nas«, listy. Podczas ulubionej szarej godziny, godziny nostalgji, zamiast smętnej »Kaliny z liściem szerokim« i »Lecą liście z drzewa«, dolatywały z saloniku wygrywane przez ciotkę oberki i kujawiaki. Wieczorem, zgromadzeni przy jednym stole, słuchaliśmy naprzemian »Pana Tadeusza« i wydanego w tym czasie »Potopu«. Cudne to były czasy!

Trzeba jeszcze szczęścia, że w Wielką Środę zbudził nas, chłopców, dziki hałas piszczałek i trąb na ulicy. Rozumie się, że rzuciliśmy się do okien w koszulach, drąc się na całe gardło:

— Ciociu! Mamusiu! Wojsko!

Stercząc przy oknie z nosami przylepionemi do szyb, poznaliśmy odrazu kiwającego ku nam »wzwodnego« Frąckiewicza i dragona Czaplę. Cóż to był za wrzask! co za uciecha! Uradowana ciotka pchnęła zaraz pokojówkę Nastkę do rotmistrza z prośbą o przybycie na obiad w święta i o zwolnienie do nas na kwaterę wszystkich katolików. Taki już sobie wujostwo ustalili zwyczaj w owej »odległej« gubernji: zwyczaj wyławiania polskich rekrutów podczas przemarszów konsystujących tam wojsk choćby na kilka dni, czy godzin kilka, wedle militarnych możności. I wyznać trzeba, że siaki taki wojak z Wólki czy Pacanowa, siedząc nad ko-

piastą rynienką bigosu z tłustością i jednem tylko uchem słuchając ciotczynych patrjotycznych napomnień, srodze sobie przecież ów zwyczaj chwalił. Kwitła też sława gościnnego domu po wszystkich wschodnio-europejskich i zachodnio-azjatyckich pułkach. Zdarzało się nieraz, że zupełnie nieznany rycerzyk polski w drodze na urlop zbaczał ku temu domowi po polskie dobre słowo i parę rubli na daleką podróż; trafiał się czasem jakiś Niemiec-katolik, a raz nawet jakiś jarosławski Moskal — opój i naciągacz... Nie było przecież nad Frąckiewicza i Czaplę z onego szwadronu. Przejeżdżali przez powiat parę razy do roku i Warszawiak Frąckiewicz odrazu na rozczapierzonych palcach wskazywał, na ile dni dałby się do nas zaprosić.

Nam, dzieciarni, imponowali ci żołnierze w sposób niesłychany. Jużeśmy z Wickiem na rogu przecznicy z bijącem sercem oczekiwali rozflirtowanej z Frąckiewiczem Nastki, a człapiący za nimi o parę kroków poczciwy parobczak Czapla z oddali odpasywał już, z uśmiechem ku nam głową kiwając, ciężką dragońską szablicę, by oddać ją w nasze niecierpliwe dłonie. Poczem brał nas kolejno w grube parobczyńskie ręce i szurał długo po policzkach niegoloną brodą.

Zacny Czapla! On zawsze po starodawnemu

podejmował ciotkę pod kolana na powitanie, podczas gdy elegant Frąckiewicz szarmancko tylko »o rączkę upraszał«, chytrym zezem odrazu ku stołowi i Nastce łypiąc. I zaraz ruch się w domu czynił i zdwajała nasza dziecińska radość. Bo Czapla, ledwie od stołu wstawszy, szedł zaraz do stajni na srogą inspekcję, rzeczowemi uwagami w poty starego Muzłę wpędzając; sprytny Frąckiewicz siedział w tym czasie gdzieś na drabinie pod sufitem przy portjerach, czy elektrycznych dzwonkach i, przymrużywszy jedno oko, rzucał nam z góry niedbałą obietnicę wyszykowania na jutro takich łuków i strzał, że »trzech Kirgizów na durch przestrzeli«. Aż mi serce do tych łuków rosło! A gdy wieczorem wszystko zasiadało do stołu przy ogromnej wiszącej lampie, ja obok nieśmiałego Czapli, co się wiecznie ostrogami w dywanie plątał, i gdy wuj przepijał wedle rangi najpierw do Frąckiewicza, poczem szły niezawodnie jakieś wojskowe sprawy i opowieści, zdawało mi się, że już na całym świecie nikomu być lepiej nie może.

Trzeba szczęścia, żeby samemu sobie taką idyllę zepsuć!

Było to chyba w sam Wielki Piątek. Zwiedziawszy się od Wicka, że ciotka piecze mazurki i że on uszczknął przy tej okazji garść słodkich migdałów, któremi się nie podzieli »za

nic«, poszedłem i ja do kuchni na zwiady i po łatwą zdobycz. Zachowanie moje było, rozumie się, niedbałe i bezinteresowne. Z rękoma w kieszeniach włóczyłem się koło wściekłej Agafji i kołowatej z przejęcia Nastki, z góry upatrzywszy pięknie rozłożone, obrane już rodzynki. Niestety, akurat obok ciotka lukrowała właśnie piękny mazurek czekoladowy. Udając chłodną obojętność, z wyciągniętą za plecami ku rodzynkom ręką, wpatrywałem się baraniemi oczyma w strugę białego lukru, którym ciotka wypisywała na czekoladowej powierzchni: »Alle..lu..ja!« I nagle, przeczytawszy ten napis, zapomniałem o rodzynkach i wysuniętej dłoni. Stanęło mi przed oczyma świąteczne przyjęcie, goście, ci wszyscy miljonerzy w kupieckich »kaftanach«, zapici dygnitarze, nieokrzesane małżonki, wszyscy ci »honoratiores« miejscowi, z którymi trzeba było utrzymywać stosunki; słyszałem ich coroczne ciekawe pytanie, co znaczy to »alleluja« i coroczne głupie na ów temat zdumienia i konwersacje; przypomniał mi się mój rotmistrz na stancji i cała długa zimowa mordęga. Mimowoli prawie pociągnąłem ciotkę za rękaw:

— Ciociu! Poco ciocia to pisze?

— Co takiego? Czego chcesz?

— Poco ciocia pisze »alleluja?«

— Zawsze się tak pisze. Nie przeszkadzaj!

— Znowu będą pytać, gadać...

— Więc będą, no i co? Nie nudź!

— Kiedy można inaczej...

— Jak tam znowu? Czego chcesz?

— Zwyczajnie po rosyjsku. Alliłuja.

Ciotka usadziła na floresach lukrowego kleksa i przerwała pisanie. Patrząc mi prosto w oczy, spytała krótko:

— Jak? Powtórz.

Aż mi się zimno zrobiło pod tym wzrokiem. Powtórzyłem przecież splątanym językiem:

— Po rosyjsku — alliłuja. Przecież to samo znaczy.

Twarz ciotki poczerwieniała nagle jak ukropem zlana. Spuściwszy przerażone oczy, usłyszałem suchy, zdławiony wyrok:

— Idź precz, głupcze! I nie pokazuj mi się na oczy!

Wyszedłem. I od tej chwili skończyła się moja radość.

Z początku nie orjentowałem się nawet co do wagi mego przestępstwa: gwiżdżąc, z rękami w kieszeniach, skakałem przez wszystkie przed domem kałuże, pieszcząc lekkomyślną w sercu nadzieję, że się ciotka jakoś przeprosi. Któż bo wreszcie miał rację? Czyż »alliłuja« nie znaczy »alleluja?« Czyż nie rozsądniej wypisać odrazu »alliłuja«, niż każdemu z kolei na rosyjski tłomaczyć? Argumenty te napełniły mnie takim

spokojem, że wlazłszy na dach parterowej kuchni, przez godzinę bombardowałem stamtąd brytana w sąsiedniem podwórzu, który aż ochrypł w bezsilnej wściekłości.

Dopiero gdy Nastka podała mi obiad oddzielnie, w dziecinnym — zmiarkowałem, że źle. A potem doszły mnie echa ożywionej w gabinecie narady: słyszałem podniesione głosy ciotki i panny Natalji, oraz nieśmiałe wujowskie protesty: »Ależ bo, Helciu, przesada... Tak odrazu, za byle co...« I ostatni, ostry i surowy wyrzut ciotczyny: »Dla ciebie byle spokój, tybyś zawsze ustąpił. Nie wiem, czy wogóle o powrocie myślisz...« U, źle! Gdym się ostrożnie, pod ścianą, ku drzwiom wyjściowym przesuwał, ciotka nie spojrzała nawet na mnie, panna Natalja odwróciła się z ostentacją, a wuj szybko bębnił palcami po biurku...

Źle! Byłem odtąd jak wygnany z ludzkiej społeczności. Nikt mnie w domu nie widział, nikt nic do mnie nie mówił. Gdym kiedyś w korytarzu podszedł do konfidentki Zosi, odsunęła się szybko, szepnąwszy ledwie bokiem warg: »Mama nie każe...« Jadałem zawsze sam i usługująca Nastka robiła miny chłodne i obojętne. Wieczorem, słysząc wesoły gwar przy stole pod wiszącą lampą, musiałem czytać samotnie dawno przeczytane książki. Zagadnięty o obiecany łuk Frąckiewicz, gwiżdżąc, patrzał długo

w okno kuchni ponad moją głową, poczem rzucił niedbale, że teraz święta i grzech łuki robić, a zresztą »panicz sam wie«. I odszedł, pogardliwie dzwoniąc ostrogami. Grubawy Wicek patrzał na mnie z milczącą zgrozą. Jeden jedyny Czapla nie zmienił się w stosunku do mnie wcale. On nosił mi ciotczyne rozkazy, on w pierwszy dzień świąt wprowadził mnie na wspólne rodzinne pacierze, mające brak kościoła zastąpić, on zresztą szepnął mi potem: »A do gości to ma panicz nie wychodzić«. I znowu ten długi świąteczny dzień byłem sam. Włóczyłem się, jak senna mucha, byle najdalej od ludzi, byle nie wpaść pod niczyje cofające się, jak lód zimne spojrzenie. Strasznie było mi ciężko i źle.

Najwięcej przesiadywałem w stajni. Gdy jednak pod wieczór w pierwsze święto niezgorzej już napity Muzła począł również mlaskać po tatarsku i, kiwając głową z wyrzutem, pleść kołowatym językiem: »Aj, aj, panicz! niedobrze...« — ogarnęła mnie dzika wściekłość. Bo co ten stary idjota wie! Co rozumie?! Czego się wtrąca?! Zatrzasnąwszy wrota, wyszedłem z taką goryczą, jakbym się piołunu napił. »Kiedy wy tak« — myślałem zawzięcie — »to i ja pokażę, co umiem«. Zaraz na drugi dzień rano, gdy na zadane pytanie Nastka odpowiedziała mi tylko chłodnem spojrzeniem, skuksałem ją,

co się zmieści, uciekającej jeszcze ciskając na głowę szczotki, książki i pudełka. Pół godziny czekałem na awanturę. Nic. Nikt nie pisnął... Wówczas z premedytacją rozlałem po podłodze atrament i wyszedłem, gwiżdżąc na cały dom, ubrany w najpiękniejszy mundur, choć jak z cebra lał szczery deszcz wiosenny. Zaszarganego, jak nieboskie stworzenie, ledwie pod wieczór namówił do powrotu poczciwy Czapla, udzieliwszy mi skutecznej pomocy w walce z ulicznikami, z którymi pobiłem się do krwi. I znowu nic. Żadnej kary, żadnych napomnień. Przebrany przez milczącą Nastkę, w oczach przerażonej Zośki odkrajałem sobie z całym cynizmem kawał przygotowanego dla gości placka. Anim na Zośkę spojrzeć raczył. W gabinecie wypadła mi droga obok stojącego przy biurku wuja. Nic. Z męstwem gryzłem placek dalej, sypiąc okruszyny na kosztowny dywan. I nagle, gdym wuja mijał właśnie, uczułem na włosach i na twarzy szorstkie choć pieszczotliwe muśnięcia. Nie rzekł wuj ani słowa. Choć nie widziałem, przysiągłbym, że się oglądał, czy ciotka nie widzi. I jam nic nie powiedział. Ale od tego pogłaskania stopniało we mnie serce jak wosk. Siedziałem u siebie po ciemku i grube łzy sypały mi się na łapczywie pożerany placek.

Na tem się mój bunt skończył. »Niema, widać, co« — myślałem — »trudno!« Pogodziłem

się z sytuacją i usiłowałem żyć samotnie. O przyczynie mej niełaski zapomniałem już prawie, uznawszy ją wewnętrznie za drobiazg, czyli, jak mówiłem — »głupstwo«. Został mi tylko żal do ciotki. Przestawałem dużo z Czaplą, który nietylko sam zrobił obiecany przez Frąckiewicza łuk, ale co ranka naszał mi różne przysmaki »ze stołu« z prośbą, bym przecie nie pogardził. Nie gardziłem, broń Boże! Siedząc w stajni na wyrku, konwersowaliśmy długo i uprzejmie o końskich wadach i zaletach, o wojskowem życiu i tematach religijnych, na które Czapla był łasy, jak na mazurki. Przeczytałem mu wtedy całą Historję Świętą księdza Putjatyckiego. Słuchał z nabożeństwem, mało co, jakem miarkował, rozumiejąc. Skarżył się z głębokiem westchnieniem, że już zapomniał, jak to u nich, w Bętkowie, w parafji, organy pięknie grają i że do cerkwi musi chodzić, co przecież nie jest prawo, tylko grzech.

Pocieszałem go, jakem umiał. Wśród gardłowych pokrzykiwań Muzły na konie, merdając zwieszonemi nogami, z serowcem w ręku, twierdziłem ze spokojem i powagą:

— To nic. I nas, uczniów, też pędzają do cerkwi, nawet nie prawosławnych. Ale tylko w galówki. Takie prawo.

Czapla westchnął.

— Zawsze grzech.

— Nie. Jak mus, to grzechu niema. Co innego, jakby z dobrej woli, albo żeby się ich religji uczyć...

— Jeich religji? Prawosławnej niby?

— Aha. To byłby grzech. Mnie nawet chcieli uczyć...

Czapla przeraził się.

— Panicza? Jeich religji uczyć? I takie prawo jest?

— Nie, prawa niema. Tylko chcieli i już. Woła mnie kiedyś inspektor i mówi, żebym szedł na religję z innymi, prawosławnymi. Więc ja mówię, żem katolik. A on mówi, że to wszystko jedno i że wstyd, żebym zostawał z Kirgizami, którzy są poganie. I żebym szedł...

— Reta! I co mu panicz pedział?

— Powiedziałem, że jak ciocia każe, to pójdę. Bo wiedziałem, że ciocia nie każe i że to grzech.

Zaimponowałem biednemu Czapli śmiertelnie. A w parę godzin potem przylatuje po mnie ze złośliwą radością wytłuczona onegdaj Nastka — »Do pani!« Zrobiło mi się niewyraźnie — brr! Nastka, atrament, mundur, placek — kłaniały mi się po drodze wszystkie moje zbrodnie. Przyrzekłem sobie, że zniosę wszystko z ponurem męstwem.

Ledwiem wszedł do gabinetu, ciotka zawołała na mnie po imieniu:

— Chodźno tutaj!

I ku memu osłupieniu, wzięła mnie, ucznia klasy drugiej, mężczyznę bitnego i ciężkiego, na kolana jak małe dziecko. Długi czas, wśród pocałunków i pieszczot, słyszałem tylko z ust surowej ciotki coś jakby groźbę, czy usprawiedliwienie: »Bo ja się tak o was wszystkich boję...« Ścierała przytem chusteczką nigdy u niej niewidziane łzy. A potem, siedząc obok siebie, rozmawialiśmy bardzo długo, jak rozmawiają dorośli. Usłyszałem straszne historje o takich, co własny naród zdradzili, o renegatach i odstępcach. Bo śliską jest droga do upadku i tylko twarde przy swojem stanie od niej broni. Wyszło na jaw moje stancyjne życie, i rotmistrz, i przegapiona Warszawa... Wspólnie rozważaliśmy kwestję ilości karabinów w piechocie i szabel w konnicy... W rozrzewnieniu o mało nie wygadałem swego do pięknej Lizy afektu, alem się w porę jednak ugryzł w język. A wreszcie jadłem. Chcąc mi wynagrodzić stracony czas, pchano we mnie mazurki, szynki i placki w takich masach, żem pękał poprostu. Boże, co ja wtedy zjadłem!...

A w trzy miesiące potem, na inną już stancję, przysłała mi babka-kanoniczka okazyjnie lipskie wydanie Słowackiego. Czytałem je na uniwersytecie.

PANIS BENE MERENTIUM

Poznawszy przez okno stare cuganty wielbuszowskie, Wanda odrazu doszła przyczyny srogiego humoru i nienawistnych pokrzykiwań ojca. Już od tygodnia, jak ciężka zmora, wisiał nad Głogami jego ochrypły, zgrzytliwy głos: słychać go było od kośby, od buraków, od sadzonek i od stawów, dolatywał z gumien i stajni, z obór i śpichlerzy, podobny do wysilonego szczekania starych psów, to znów, jak nieustanny grzmot, rozlegał się w pokojach poprzez odwieczne drzwi i portjery, przeszywając duszę zimną rozpaczą. Wszystko mu wtedy było źle, wszystko na złość i szkodę. Za nieosłodzoną kawę butem w Filipkosię cisnął, córkę zbeształ w czeladnej kuchni przy ludziach, fornałowi Gałce dał w pysk, aż Gałczyna baba do księdza biegała ze skargą... To też na widok długich nóg i angielskiej czapki gramolącego się z powozu wuja Małołęckiego, serce Wandy ścisnęło się strachem tym większym. »Rachunki będą, sesja... Znowu pić zacznie!« — prze-

mknęła struchlała myśl. Zawsze tak się działo, od samej matczynej śmierci, już dziewięć długich lat. Co dwa, trzy miesiące zjeżdżał wuj z Wielbuszowa na kontrolę ojcowskiej administracji, jak się mówiło, właściwie na kłótnie i ujadania o każdy korzec zboża, o każdy gwóźdź w sztachetach i o grosz każdy, aż póki ojciec, z oczyma nabrzmiałemi krwią i zlepionemi kosmykami włosów na skroniach, nie zamykał się w kancelarji, by pić, pić wszystko, co było w domu, pić i kląć, i znowu pić, i chyłkiem, na linijce, wykradać się sam do donacji, do Pomianowa.

By odwlec spotkanie z wujem, którego cierpieć nie mogła za tę swoją mękę, Wanda pobiegła do kuchni, gdzie zastała już gospodynię Filipkosię, schyloną nad okapem wbrew ustalonym zwyczajom i godności. Jej siedmioletni Franek oskubywał już na progu świeżo oparzone kuraki, gęsto nos i spłakane powieki rękawem brudnej koszuli ocierając. Obie kobiety, usunąwszy zwykle kucharującą dziewkę i słowa do siebie próżnego nie mówiąc, pitrasiły gorliwie, chcąc ująć starego obiadem, że to, mimo skąpstwa, dla gości nie żałował, a Małołęckiego »na złość« przyjmował możliwie wystawnie.

Tylko że się to dziś na nic nie zdało.

Gdy weszła do jadalni z policzkami różo-

wemi jeszcze od kuchennego ognia, tam toczył się już dyskurs wcale żarliwy. »Wuj« Małołęcki — tytułowany wujem raczej ze względu na zadawnione, ongi sąsiedzkie z Pomianowskimi stosunki, niż na dalekie z jej matką pokrewieństwo — wstał na jej powitanie z właściwą mu łaskawą galanterją, odważnie prostując nogi wysłużone i sztywne jak scyzorykowe ostrza, lecz zaraz potem ciągnął przerwane zdanie głosem terkotliwym i przykrym, jak nocna kołatka:

— Co mi tam kuzyn gadasz! Smarkacze są od tego, żeby się uczyć i basta. Nie jakieś tam polityki, awantury, burdy uliczne!

Wanda zrozumiała natychmiast, że chodzi o Janka Małołęckiego, wyrzuconego niedawno z jakiejś wyższej uczelni. Wcale też jej nie dziwiły lekkie wypieki na drewnianej twarzy wuja, ani bojowa pozycja naprzód na cienkiej szyi podanej, nieco trzęsącej się głowy, o rzadkich i aż łyskliwych od białości włosach — lecz pojąć nie mogła zawziętej złości ojca. Stary Pomianowski, o jakieś piętnaście lat od »kuzyna« młodszy, z ledwie szronem pokrytą, dobrze gęstą czupryną, miał teraz coś młodzieńczego w porównaniu z tamtym — jak go wzgardliwie nazywał — »dziadem«. Krępy, z gniewu w sobie zebrany jak do rzutu, podobny do pokracznego koguta, ciskał się z kąta w kąt po po-

koju, wyrzucając urągliwe, pełne ukrytego jadu zdania.

— Smarkacze! Burdy uliczne! Znam, słyszałem. Nie od dziś to kuzynowe poglądy, ho, ho, nieraz słyszałem, na pamięć je umiem! Cichuteńko siedzieć, skromniusio, na łaski czekać! Dużośmy ich doczekali — w czapkę nie zbierze!... he, he...

Śmiał się zjadliwie, aż ręce z radości zacierał. Siwemu panu głowa trzęsła się coraz mocniej.

— A czyja wina, że ich niema? Czyja, jak nie tych, co ze śpiewkami po Krakowskiem biegali, a potem do lasu z byle czem, z pojedynką, z kijami? Hę? kuzyna pytam? Co z nich krajowi przyszło? Razemeśmy się na to patrzyli...

Pomianowski przyglądał się teraz pod światło nalanej w kieliszek wódce, cedząc bokiem warg tylko, z prawie grzecznym uśmiechem.

— Niektórzy nietylko patrzyli... Byli i tacy.

I zaraz wypił duszkiem, jakby pieczętując. Stary Małołęcki aż osiadł pod tym gestem. Ramiona mu opadły, grdyka chodziła przez chwilę w górę i na dół bezradnie, jakby ją zatkało, oczy wyszły z orbit szklane i błękitne jak jarmarczne paciorki... Opanował się wreszcie. Przytwierdził nawet pogardliwym ruchem głowy:

— A byli. Kuzyn ich lepiej znałeś ode mnie.

Łaziło to nocami pode dwory, po jadło, po kożuchy, ściągali za sobą hordy, postoje, ogień... Gdzie miesiąc bobrowali, tam jakby zaraza przeszła! Pukawki, strzelaniny, a wokół płacz, głód, nędza, ruina!...

Próżno Wanda słała ku ojcu błagalne znaki, by już dać pokój, przestać. W zacietrzewieniu nie zważali nawet na biegającą z półmiskami służbę. Stary rządca aż się na krześle odchylił z uciechy.

— Może tam gdzie parę kur zjedli, choćby i w wielbuszowskich dobrach... Ale zawsze spokojniej u siebie na piecu siedzieć, niż po lasach się tłuc, o chłodzie i wodzie, nawet i z tym kijem, co go tak kuzyn wymawia.

Małołęcki trząsł głową przecząco, wydąwszy dolną wargę wzgardliwie na znak, iż nie słucha.

— Żeby nie my, spokojni, tobyście ten kraj zaprzepaścili na wieczne czasy. Śladuby tu nas nie zostało, języka, wiary!... Spokojni, mówisz kuzyn, spokojni! Ktoś musiał mieć głowę w tym zamęcie. Musiał ktoś rękami się tej ziemi trzymać, żeby przecie wszystkiego nie wydarli...

— Toż mówię właśnie. Spokój i zdrowiu nie wadzi, a i substancja nie zmarnieje.

Siwy pan uniósł się teraz nieco i z szyderczą radością tykał w przeciwnika ostrym palcem, niby przebijając go każdem z kolei zdaniem.

— Aha! Tu kuzyna boli! Substancja! Że ni-

by w Pomianowie obca ręka rządzi! Było i poszło, za nic, za chorągiewki, za śpiewy, za pukaninę! Tu świdruje i dręczy! Że innym zostało, a myśmy swoje za byle co, za wiechetek, za konika z szabelką! O to chodzi!

Twarz Pomianowskiego zczerwieniała w jednej chwilce na burak. Tracąc panowanie nad sobą, wywijał drżącemi z wściekłości rękami, wyrazy wybiegały mu w krzyku podarte i zszarpane jak z zepsutej młockarni:

— Co mnie tu kuzyn będzie liczył! Było za co, czy nie było! Sam wiem! Nie za szabelki, ani za śpiewy! Za ojcowskie nieszczęście, za krew! Za prawo do tej rany, co ją tu, panie... w boku...

Zerwał się i w uniesieniu począł rozpinać grubą kurtę, aż Małołęcki rękami się bronił od tej demonstracji. Wanda również przypadła do ojca, mitygując go nieśmiało i pieszczotliwie:

— Ależ tatusiu, tatusiu...

Spojrzał na nią krwawemi oczyma i odepchnął szorstko.

— Precz poszła! Nie babskie sprawy!

Siadł. Przez chwilę jeszcze przeżuwał pod wąsami gniew i obrazę.

— Za nic... za nic... Wszystko daremnie... za nic...

Ale się uspokoił. Korzystając z chwilowej

ciszy, bo już i Małołęcki palcami tylko po stole bębnił w zadumie, Wanda wyszła coprędzej, niby to zarządzić poobiednią kawę, właściwie by unieść głowę z pośród tego krzyku, którego nienawidziła całą duszą. »Mało im okazji, jeszcze się o politykę kłócą« — drgało w niej serdeczne oburzenie, Wiedziała zresztą, że to dopiero przygrywka, że naprawdę zacznie się tam, w kancelarji, przy rachunkach. Wracając z kuchni obok wiecznie zapstrzonych przez muchy okien tego pokoju, którego ojciec nie pozwalał sprzątać, by mu nie rozrzucano papierów, dostrzegła już dwie starsze, schylone nad rejestrami głowy. »A niech was tam!... — myślała zawzięcie. Od tygodnia nagromadzone w niej strach, bezradność i krzywda wyrwały się teraz gorącym strumieniem żalu i niechęci. A niech się tam zagryzą, co jej do tego! Ani będzie od tego gorzej, ani lepiej. Tak, widać, trzeba.

I przez ten żal, jak przez źle przetartą szybę, dojrzała całe swe życie ciemne, zbyteczne i puste, niby wnętrze głucho zabitego domu. Oto ma w gospodarstwie swoją część, wstaje ze świtem, tłucze się do wieczora po oborach, kurnikach, kuchni, ogrodzie — i poco? Ku czyjej radości, lub potrzebie? »Żebyś darmo chleba nie jadła«, przypomina się surowy rygor ojcowski. Bo dla niej z tego nic. Ni zadowolenia, ni korzyści. Nawet głupiej sukienki nie można spra-

wić bez kłótni i tygodniowych gniewów. A gdyby i można, to dla kogo? Chyba dla Piórkiewicza, gorzelanego z okolicy, co na harmonji grywa i rujnuje się dla niej na krawaty w groszki? Albo dla sąsiedniego rządcy Majewskiego, od którego nikt lepiej nie klnie, ani więcej dzieci po czworakach nie zostawia? A najprędzej chyba na ojcowskie pośmiewisko z jej »szyków« i »elegancji«. Rzucił ją los do tych Głogów, gdzie prócz ojcowskich interesantów miesiącami człowieka nie widzi, chyba takich, których duma odtrąca, jako rodzaj marny i niegodny uwagi. Rzucił ją los nieżałośliwy i oto musi tu tkwić, jak gwódź w nagiej ścianie, nikomu niepotrzebna, śmieszna, zapomniana przez samo życie.

Gdy przechodziła przez salkę z rękami pełnemi roboty, jak co dnia, odbicie własnej urody w wysokich lustrach staroświeckich wydało się jej głupie i nie na miejscu. Próżny, bezcelowy zbytek. Boć ładnemi nogami więcej nie wydrepce, nikomu też kształt rąk w pracy nie pomoże. I przypomniał się jej ów pierwszy młodzieńczy rozkwit ongiś, za pensyjnych jeszcze czasów, nim ją ojciec z szóstej klasy odebrał: jak to się nim pyszniła, jak to chodziła wśród innych brzydszych, co zabiegały o jej przyjaźń, niby królowa, jakie to roiła wówczas plany, jakie marzenia... Skończyło się. Skończyło zaraz

wtedy, gdy ją ojciec po raz pierwszy ironicznie obejrzał, konkludując pod wąsem, żeby »sobie czasem głowy nie nabijała« i »nie myślała Bóg wie czego«. Odtąd zamknął ją na trzy spusty i nosa wytknąć nie pozwala. Skończyło się. Gdy parę lat temu, wyrwawszy się do miasta, do brata, za jego kawalerskich jeszcze czasów, nieostrożnie napisała do ojca, że się nieźle bawi, wezwał ją natychmiast z powrotem, grożąc, »że się jej wyrzeknie i znać nie będzie chciał«. Co było robić? Wróciła, by miesiącami jeszcze słuchać przymówek o te zabawy »z byle kim«, z »hołotą«. Odtąd chodziła w tym swoim głogowskim kieracie, jak wysłużony koń, z zawiązanemi na świat oczyma, spokojna, obojętna, niby na sen ukołysana przez równomierne wycie młockarni i ojcowskie pokrzykiwania.

Czasem tylko, jak dziś, gdy całe to stojące życie rozbełtywało się nagle pod wpływem ojcowskich humorów, zrywał się w Wandzie głęboko nurtujący bunt. Nie może przecież być, by wszystka jej młodość wsiąkła w codziennie rozdeptywane przed kurnikami błoto! Niepodobna, aby tam, z szerokiego świata nie przedarła się do tych zapadłych Głogów jakaś przychylna dla niej siła, by wydrzeć ją z owej musowej śpiączki! Ma przecież dopiero dwadzieścia dwa lata! I już dwadzieścia dwa — odpowiadała wiecznie obecna trwoga. Ogarniał ją

wówczas tak straszny żal za każdym straconym dniem, iż żyła jak w gorączce, co ranka z jedną myślą się budząc, z jednem szalonem pragnieniem: »To dziś! Dziś się coś stanie...« Co — nie wiedziała. I tak nizały się ranki jeden na drugi, jeden na drugi, aż blakły nadzieje, płowiały marzenia, nikł żal — i znowu chodziła w kieracie spokojna, obojętna, jak we śnie...

Teraz, machinalnie licząc przynoszoną z pralni bieliznę, Wanda płonęła żarliwym gniewem przeciw swej doli. Zawzinała się przeciw wszystkiemu i wszystkim. Od godziny słychać już było w kancelarji odgłosy wściekłej kłótni, od godziny trząsł się dom od wymysłów i wrzasku. Wanda robiła swoje zimno, jakby nigdy nic. Nie pomagały nawet chytre manewry Filipkosi. Widząc chłód i obojętność Wandy, gospodyni, cała w nerwowem napięciu, co chwila wbiegała do pokoju, niby to pomagać, właściwie przynosząc podsłuchane pode drzwiami szczegóły:

— Panienko! O te buraki, co to łońskiego roku wygniły! O te buraki!

I znowu, postawszy z bijącem sercem pode drzwiami, jak wygnany pies, wracała śpiesznym truchtem, przy którym jej rozlane kształty chybotały się żałośnie.

— Panienko! Kłócą się też, kłócą! Boże uchowaj! Aby patrzeć, jak się za łby wezmą!

Wreszcie jęła prosić usilnie, natarczywie, czepiając się rąk i spódnic:

— Panienko! Ady niech panienka pozwoli! Niech już panienka pójdzie! Jeszcze którego szlag trafi z tej złości!

Wanda wiedziała dobrze, iż tamtej o jednego tylko chodzi, o ojca. I naraz żal jej się zrobiło tej psiej miłości, tego ślepego przywiązania wbrew codziennym klątwom i potyraniu. Dała się ciągnąć, dobrze znając swą rolę w podobnych wypadkach. Szło o gwałtowną przerwę, o wywołanie dywersji: trzeba było, wynalazłszy jakiś interes, zastukać w najgorszej chwili — i burza cichła. Szczególniej Małołęcki na widok wchodzącej Wandy opanowywał się natychmiast.

Filipkowska tłomaczyła się żarliwie:

— Jabym sama, panienko, ale się boję... Strasznie zły. Jak Bóg na niebie — zeklnie i wygna!

Z pod samych drzwi spłoszyły roześmianego Franka, który na wściekły ruch matki szybko w bok uskoczył, nie porzucając jednak stanowiska, darzącego go głęboką radością. Z kancelarji dochodziło każde słowo, można powiedzieć, każdy gest. Słychać było wyraźnie postukiwanie krzesełka, którym stary rządca wspierał namiętną argumentację.

— To sobie kuzyn psa weź na administra-

tora! Ja tu nie od tego, żebym w nocy po stawach za chłopami ganiał! Kto mówił, żeby stróże podwoić? Kto, jak nie ja sam?! Tylko kuzynowi drogo! Kuzynowi wszystko drogo! Nawozy drogie! Skibowce drogie! Palcem chyba tę ziemię wiercić!... Teraz skąd ryby w miasteczku? Kradną, psiekrwie, żydy! Nie upilnuje, to i kradną! I będą kradli, żeby kuzyn wiedział, że będą! Mówię — postawić ze dwie budy dla stróży! Ale kuzyn nie! Kuzyn znowu nie!

Filipkowska raz wraz pochylała ku Wandzie przejętą niepokojem, starzejącą się głowę.

— Słyszy panienka, słyszy? O ryby kram... mój Ty miły Jezu!

Z za drzwi wyrwał się drżący z wściekłości, naddarty falset Małołęckiego.

— Co mi tu kuzyn stróżami w oczy świeci?! Kuzyn im ordynarję da? Kuzyn zapłaci?! Zamiast żeby parę razy w nocy wstać, wyłapać łajdaków!... Stróże kuzynowi! A ryby na odpuście u kanonika też kradzione?! Kuzyn myśli, że nie wiem, bom daleko?! Więcej ja wiem, niż się kuzynowi zdaje! Dużo więcej!

Zapanowała cisza, niby namysł, niby zdumienie. I naraz rozległ się huk z siłą rzuconego o ziemię krzesła.

— Co kuzyn wie?! Co takiego?! A do kroć stu tysięcy!!... Złodzieja tu kuzyn znalazł?! Jak się co wie, to na stół wywalić! Nie cichcem,

przymówkami! Do stu psów z taką służbą! Rzucę to wszystko do djabła!... Znowu się kuzyn prosić przyjdzie!...

Gospodyni, przysiadając prawie ze strachu za każdym mocniejszym akcentem, szarpała półprzytomnie Wandę za rękaw:

— Panienko! Niech już panienka zastuka! Że podwieczorek... wszystko nakryte, przyszykowane... że wystygnie... Panienko, na miłość Boską!

Lecz w Wandzie zerwał się gwałtowny gniew, jak wicher. Rzuciwszy tylko przez zęby: »A niech się raz zagryzą!«, wydarła się Filipkowskiej i biegła prawie przez podwórze, byle prędzej, byle dalej od tego krzyku. Na skręcie do ogrodu dopędził ją jeszcze nagły przerażony wrzask Franka, szybkie razy, jak kijanek na rzece, i zdyszane, świszczące pokrzyki gospodyni:

— A będziesz się tu, hyclu, wyśmiewał? A będziesz! A będziesz! Ja cię tu, pokrako, nauczę! A masz! masz!

Znalazłszy się w dalekiej altanie, wśród gąszczu, nad którym starodrzew rozłożył milczące korony, Wanda skłoniła umęczoną głowę na szary od deszczów, próchniejący blat drewniany i siedziała tak długo, długo, nasłuchując coraz to słabnącego w skroniach tętna. Niewielkie mrówki czarne biegały kołowato wzdłuż

słojów, ciągnąc ziarenka wiatrem naniesionego piasku, mały pajączek spuścił się z twardego liścia bzu i trwał nieruchomo w powietrzu na nici lśniącej, jak siwy włos. Gdzieś, na skraju alejki, jakiś grabowy sęk odcinał się czarno na błękitnym skrawku, niby o pomoc wyciągnięta ręka. W oczach Wandy zakręciły się szybkie łzy, spłynęły po policzkach i jęły padać na blat, nad którym głowa dziewczyny chwiała się w miarowem, bezdźwięcznem łkaniu.

Spłakawszy się do syta, odczuła znaczną ulgę. Zeszedł na nią ów zimny spokój, serdeczna obojętność na wszystko, złe i dobre — ostatni ratunek ludzi ciężko zmęczonych. Długi czas siedziała jeszcze w altanie, patrząc w swe życie suchemi już oczyma, jak w cudze. Niech tam!...

Wracając, zastała przed drzwiami gromadę chłopów, pilnie czegoś wyczekujących. Starsi, zbici w kupę koło samego ganku, z czapczyskami w garściach, zrzadka tylko przerzucali się słowem ważkiem i nieszybkiem; inni, co młodsi, porozwalani na wjazdowych sztachetach, gwarzyli niedbale, śmiejąc się i gęsto spluwając przez zęby z żołnierskim szykiem. Śmiałek jakiś, siedzący na kamiennych stopniach, na widok Wandy zerwał się jak spłoszony wróbel, ku ironicznej radości całego tłumu.

Umyślnie przeszedłszy obok milczących te-

raz okien kancelarji, Wanda dojrzała na stole flaszkę siwuchy i gorejące, prosto w siebie utkwione oczy ojca. Aż dreszcz ją przeszedł od tego trafu. Udając już, że nie słyszy gwałtownego pukania w szybę, wpadła do kuchni, gdzie od komina doleciał ją zaraz obrażony, prawie urągliwy głos Filipkowskiej:

— A to się ojciec już dawno o panienkę zabija.

— O mnie? Czego znów chce?

Gospodyni nawet nie odwróciła głowy.

— Tego to już ja nie wiem... Zaprzęgać kazał.

W przejściu przez salon, dostrzegła pod oknem wuja Małołęckiego. Schylony nad mapami, tak był zajęty jakiemiś wyliczeniami, że na odgłos kroków chrząknął tylko gniewnie i poruszył krzesełkiem z irytacją. »Łąki na serwituty pójdą, znowu ojcu pensję obetnie« — pomyślała z udręką, wychodząc cichuteńko, na palcach.

Przed gankiem stała już ojcowska bryczka, zaprzężona w dwie stare, wybrakowane chabety wielbuszowskie. Koniska, pomachując leniwie obdartym włosiem ogonów, kiwały mechanicznie zwieszonemi łbami, jak automaty... Na koźle kiwał się miarowo wiecznie zaspany Walek... Ojca nie było. I naraz, gdy się tego najmniej spodziewała, zrobił się ruch w chłop-

skiej gromadzie, głowy schyliły się kornie, jak wichrem zgięte, a z za jej pleców huknął na Walka znany, przejmujący wrzask:

— Śpij, śpij, Ja ci pośpię! Złaź mi zaraz, gamoniu! głąbie! zawalidrogo!

Wandę aż ciarki przeszły. Chłopak skoczył na drugą stronę bryczki, jak zdmuchnięty, i podawał lejce zdaleka, ostrożnie, każdej chwili gotów do ucieczki. Przekrwione oczy starego spoczęły na córce.

— Gdzie się włóczysz? Siadaj!

Stojąc już w bryczce, wymyślał i tupał nogami, jak na klepisku:

— Od sztachet mi tam kpy, jeden z drugim! Od sztachet! Precz! Kupą stać, na środku! Nie czochrać się o płoty!

Pojechali. Z pół godziny siedzieli tak obok siebie w trzęsącej bryczce, milcząc. Wanda patrzała z uporem prosto między końskie uszy, z głową jak przymurowaną, by nie zachwycić wzrokiem czego z ojcowskiej srogiej twarzy. Gdzie jadą? Poco ją zabrał? Nie śmiąc zapytać, szukała odpowiedzi na gliniastej, miałkim pyłem zasłanej drodze. Chabety, podrywane co chwila groźnym pokrzykiem, szparko wzbijały z pod kopyt żółte tumany kurzu, wżerającego się w skórę, jak puder. Wkrótce miała go pełne włosy, uszy, usta. »Żeby choć chustkę dał zabrać!« — myślała gniewnie. Gdy skręcili wy-

raźnie ku polom, gdy koła jęły tłuc się i skakać po dołkach i wyrwach beznadziejnej polskiej drogi, aż się jej na płacz zbierało ze złości. Słysząc zapalanego nad samem uchem papierosa, odsunęła się z żywą niechęcią.

— Cóż tak milczysz, hę?

Wraz z kłębem dymu buchnął na nią gorący, ciężki zaduch przepitego oddechu. Milczała.

— Język zgubiłaś? Spacer pannie nie pasuje?

Odpowiedziała jakkolwiek, byle tylko uchylić się z pod gniotących, tępych spojrzeń przekrwionych oczu.

— Co mi ma pasować... Nie wiem tylko, jak ojciec wuja zostawił samego z chłopami.

Dotknęło go to widać, bo aż skoczył.

— A pannie co do tego?! Hę? Gęsi, indyczek pilnować, nie mnie! Rozumiesz?!

Sapał gniewnie, mrucząc z serdeczną nienawiścią:

— Da on sobie radę, da! Jeszcze i chłopów objedzie! Kutwa! dusigrosz! Panna go tu broni! Panna nie wie, że jak jej dziada wzięli, tom mu się do nóg kładł o pożyczkę. Nie ma, mówił. — On — nie miał! Faskami złoto w ziemię pchał, żeby mu partje nie wzięły. A potem innych, co poszli, skupował za nic, za obierzyny, choćby i te Głogi! Dużo panna wie! Rządź mu tu

teraz, gospodaruj na cudzej krzywdzie! A urwać się nie sposób, bo jak psa koło własnej budy trzyma. Tem trzyma, o! Pomianowem, donacją! — wskazywał batem na widne w cieniu starego parku budynki folwarczne.

Zaturkotały koła na wybrukowanej przez podwórze drodze. Na ganeczku piętrowego śpichrza, przerobionego z arjańskiego ongiś zboru, stał mężczyzna z ogromnym nosem, pod którym żółte wąsiska chybotały się swobodnie, jak wiechy przed karczmą. Poznawszy jadących, ryknął serdecznym grubjańskim śmiechem:

— A, dziedzicowi moje uszanowanie! Pan Pomianowski, ha, ha! Na oględziny majątków, co? Krescencji dojrzeć? No, tak! Pańskie oko konia tuczy! Bramę tam dziedzicowi! bramę szerzej!

Trzęsąc się od szczerej radości, udawał niezdarnie, iż sam oto pierwszy ku rozwalonym zresztą wrotom bieżeć gotów. Stary rządca, zielony z upokorzenia, zasłaniał twarz czapką w milczących ukłonach. Ostro zacięte chabety minęły bramę w śmiesznych, poderwanych skokach.

Wanda spojrzeć nie śmiała na starego. Z ciężkim, świszczącym oddechem dolatywały ją wymysły cięte, jak policzki. »Hycel! hycel! Ekonomczuk! Bodaj cię ciężka śmierć! Dzier-

żawca złodziejski!...« Jechali przez wieś. Serce dziewczyny konało ze wstydu. Siedziała prosto, jak świeca, z dumnie wydętemi usty, nie odpowiadając wcale na pokorne chylenie się spotykanych po drodze ludzi, żeby nie dojrzeć w ich oczach szyderczego błysku. Przed jakąś chałupą skłoniła się nisko przed nimi siwa, starcza głowa. Zdjąwszy czapkę, Pomianowski pochylił się ku córce:

— Michał fornal. Razem byliśmy... Jeszcze dotychczas znak pod łopatką chowa, pamiątkę...

Zaśmiał się z tej pamiątki cicho, zgryźliwie.

Za wsią koniska same skręciły w wąziutką, głęboko w ciężkiej glinie wyrżniętą drogę. Po obu stronach, jak wzrokiem z bryczki sięgnąć, leżała zielona ruń młodych zbóż, gęstych, jak aksamit: ni łysiny nigdzie, ni widnej dla oka brózdy — wszędzie jednaka, radosna sercu bujność. Pomianowski raz wraz kiwał głową i — nie wiedzieć — chwalił sobie to bogactwo, czy je potępiał. Z piersi darły mu się westchnienia, jak urwane szlochy. Gdy rękę z bryczki wyciągnął, by zerwać wystającą ku drodze kępkę, zdało się Wandzie, iż gładzić chciał dłonią te łany, jak gładzi się włosy ukochanych dzieci. Oglądał się za niemi jeszcze, gdy raptem w dół zjechali, ku mokrym łąkom. Potem kręcili długo między torfowiskami, śród koniczyn i łubi-

nów, bokiem olbrzymich nudnych pól buraczanych.

Gdy słońce zczerwieniało ku zachodowi, znaleźli się na skraju starego, gęsto leszczyną podszytego lasu. Ciężko stukając buciarami po korzeniach, stary rządca wylazł na wzgórek, siadł na mchu pod drzewem i patrzał, obu rękami podparłszy szpakowatą głowę. Zdawna, widać, obrał to miejsce. Wanda umieściła się obok, drżąc lekko z przedwieczornego chłodu. Przed oczyma, a z pośród czarnych konturów parku, wyłaniało się lekkie pałacowe skrzydło, jak zjawienie. W któremś z okien żarzyło się słońce, sypiąc rubinowe strzały.

Milczeli. Naraz stary, bez żadnych wstępów, obrócił się ku córce całą twarzą. Oczy miał surowe jak sędzia. Drżącą ręką zatoczył szerokie półkole.

— Nasze to. Rozumiesz, panna? Nasze! — mówił prawie szeptem, jak tajemnicę. — Ten gaik, co go tam panna widzisz, to ojciec nieboszczyk własną ręką... Każda piędź ziemi na tych polach naszą ręką stokrotnie przewrócona... Tam, w budynkach każda belka, każdy gwóźdź!... Zawsze to nasze było! I będzie, słysz panna? Jeśli jest Boska sprawiedliwość... Nic, że donacja! Przyjdzie czas i dadzą odkupić — różne przychodzą czasy... Tylko nie zapominać, pamiętać! jak ja! co rano i co wieczór powta-

rzać, jak pacierz... Dlategom tu pannę przywiózł — i ty zapamiętaj! choć ty jedna po mnie, jak mnie nie stanie — rozumiesz?...

Nagle, ku przerażeniu Wandy, w tych surowych oczach stanęły wielkie łzy. Strząsnął je niecierpliwym ruchem, lecz oto przyszły inne, i znowu inne, aż głowę schował w dłonie i skarżył się teraz bezradnie, jak do siebie:

— Całe moje życie... całe życie ta jedna myśl... A możeśmy z ojcem przemarnowali?... Może trzeba było chyłkiem tylko, z za pieca, jak inni?... Ten dziś mówi: »za wiechetek, za konika z szabelką...« Żeby choć nagroda jaka, szacunek ludzki... nie dla siebie przecież... ale gdzie? Każdy, co mu zostało, rączki z radości zaciera, »głupi« mówi... Takie dobra zmarnowane, takie majątki!... I nic nie lżej, nic nie lepiej... źle, źle, jak było... gorzej nawet, stokroć gorzej...

Patrząc na tę starą, beznadziejnie przytakującą nieszczęściu głowę, Wanda uczuła ostre ściskanie w gardle. Mimowolnym ruchem przytuliła policzek do ostrej twarzy ojca i, za szyję objąwszy, głaskała go jak dziecko:

— Tatusiu... Tatusiu...

PAN BRATKOWSKI

Pisać o panu Bratkowskim trzeba prosto, prościusieńko. Bo sam pan Bratkowski żadnym filozofem nie był — ale, skąd mu tam do filozofa! Za ujmę by sobie uważał, za kpiny przykre i nie na miejscu. Raz, mało że do bitki o ten tytuł nie doszło.

Bo i jakże...

Siedzi sobie kiedyś pan Bratkowski — w Miechowie to było — w zajeździe. Jarmark, luda huk, piją niezgorzej... Pan Bratkowski po dwóch już »większych pieprzowych« peroruje o wojnie, jak to sobie dziś w »Polskim« dokumentnie wyczytał. »Nie może« — mówi — »Francuz dłużej wytrzymać, bo mu ludności ubywa. Nie chcą baby rodzić i kwita! Niemiec szykuje, Austrjak szykuje, a Francuzowi żołnierza brak. Nie da rady, będzie wojna, Bratkowski to panom mówi!« Gada i gada — oczy mu się jak kotowi świecą. Ludzie nic, słuchają, siaki-taki głową kiwa do taktu i dla zrozumienia... Aż tu naraz odzywa się — i kto? dzier-

4*

żawca z Olszynki, Bogusławski, kutwa i kuternoga. Brzuch ze złotym łańcuchem wypiął, palcami po nim bębni i śmieje się prosto w nos. »Duby, panie, smalone baje. Gdzie wojna? co komu do wojny? Próżniakom chyba i darmozjadom... Wojna! Też, panie, filozof!« Pana Bratkowskiego aż poderwało. Jeszcze próżniaka i darmozjada możeby zniósł, ale filozof! Porwał się, czerwony jak krew na gębie. »Kto filozof?!« — wrzeszczy. A już i Bogusławski ruszył z miejsca. »Pan-eś, panie, filozof! Jak Piekarski bredzi!« Więc pan Bratkowski za krzesło, młynka nim wywinął, już, już miał prasnąć, — aż się dzierżawca ku ziem wygiął — ale go strzymali. Sikorskiego jeszcze strącił i Olszewicza małego, co mu pod ramię wlazł — lecz liczbie nie sprosta. »Dać pokój, niema o co« — radzą trzymający. A już i pan Bratkowski ochłonął. »Gębę zbiję, no i co? W kozie siedź i pieniądze płać — niewarto!« Splunął więc tylko z furją, drzwi kopnięciem otwarł i wyszedł.

Wrócił pan Bratkowski do dom, na swą leśniczówkę, zły, jak pies. Ani do niego przystąp. Zośkę, co w szóstym właśnie chodziła, o obiad zekpał na funty, a gościniec to jej na stół szmyrgnął, jak Łysemu — aż płakać do alkówki poszła; smarkacza, co się po Kasi-nieboszczce został, rzemykiem na kwaśne jabłko sprał, choć

mu Józef było, jak i samemu panu Bratkowskiemu; do gajowego Wielkiewicza z pięściami wyszedł... Nie ulżyło mu nic. Legł więc na swoim wyrku z butami, kurzył i siwiejące wąsy gryzł z pasją zawziętą...

Wstyd mu było. Bo pan Bratkowski zna swą słabość: niech tylko pałę zaleje, choćby i niebardzo, choćby krzynę, to zaraz o wojnie. O niczem, tylko o wojnie. I to od lat, od maleńkości... Wojna i wojna! A tu gdzie do wojny? Od tureckiej ani słychu — chyba gdzieś, za morzami. »Kundle się w ogon gryzą — i masz wojnę, stary durniu« — duma pan Bratkowski ponuro. »Do śmierci będziesz trznadle po książęcych lasach ganiał, do swego marnego końca!«

A tęskni pan Bratkowski-Jelitczyk do tej wojny, Boże, jak tęskni! Gdzie mu tam zagajniki sadzić, w ziemi się mokrej babrać — kiedy on jest żołnierz. Choć nigdy w wojsku, jako jedynak, nie był, choć nigdy wojny nie widział. Jest żołnierz i kwita! Żołnierz.

Tylko szczęścia nie ma. Za powstania (mój Ty jedyny Boże!) koszulę w zębach nosił — tyle, że mu ojca pod wściekłym Chmieleńskim zabili, — do wojska jako ta matki podpora i z własnej zawziętości nie poszedł, w tureckiej wojnie wahał się długo, boć zawsze Turcy — poganie i ksiądz mu na spowiedzi zabronił su-

rowo — a potem, ech! te wojny — jakby psu szperkę zdaleka pokazał... Nie szło mu to, nie! A co mundur w obejściu zobaczył, albo musztrę — to go ręce świerzbiły, że miejsca nie mógł znaleźć. Oszukiwał się też na różne sposoby: gajowych swoich wykształcił na pluton, dawnych żołnierzy wyraźnie preferując; na raubszyców plany strategiczne układał i tyraljerą podchodził, że go się jak ognia bali; przez granicę do Galicji przekradał się samopas i w najtrudniejszych miejscach, żeby przecie sercu miły świst kuli usłyszeć... Ale cóż to? furda, zabawki!...

Sam gotów był zawsze. Każdego dnia, każdej godziny. Werndla i Manlichera od austrjackich dezerterów wycyganił, berdankę i nowy, leciuchny karabinek rosyjski od zapitego dragona kupił tanio, rewolwerów i szabel kawaleryjskich miał bez liku w schowku, urządzonym tak pięknie, że, naprowadzeni przez Magdę (co to ją z bachorem wygnał, gdy się z gajowym Florkiem zwąchała) strażnicy wstydu się tylko i kpin najedli. Klaczka pod siodło, oporządzona czyściutko, jak panna na taniec, czekała w stajence (nie wiedzieć, która już z kolei...).

Gotów był pan Bratkowski. I nic. Czterdziestka stuknęła, kudły mu oszroniały — a tu nic. Nic i nic, jak na śmiech, jak za karę. Nic.

Którejś jesieni zaczęto coś przegadywać o Warszawie. Koleje stanęły, gazet ani dudu — awantura. Odżyło w panu Bratkowskim serce. Klaczkę osiodłał pięknie (bułanka akurat była), rewolwer w ukrytą kieszeń wziął — pojechał. Ano tu pochód narodowy właśnie, śpiewy, sztandary sędziwe. Spłakał się pan Bratkowski, jak bóbr. Ale i tyle tego. Nosiło go jeszcze po mieście ze trzy dni: włóczył się, przyglądał, jakby miarę brał. Gdzieś policjantowi żebra zmacał, tu się do bitki wydarł... Ale mu się nie wydało. Nie to. Nie żołnierska sprawa. Rzeczy zawiłe i panu Bratkowskiemu obce. Nie żołnierskie.

Wrócił z tej wyprawy z pogardą dla miasta i kraju. I jeszcze z żalem okropnym. Nie doczeka widać — niema co. Przyjdzie na tym tu, — o! — nogą kopniętym wyrku zdechnąć. Djabli! Pensję mu właśnie podnieśli, siwieć począł na dobre, skapcaniał. Już i do dziewcząt skorość przeszła. Nawet go krótka mauzerowska broń, co ją przez żydów od rewolucji kupił, nie cieszyła. Psu się wszystko na budę nie zda! Liczył lata ze śmiechem: pięćdziesiąt dwa, trzy, cztery... Djabli!

Aż tu naraz, jak grom. Wojna! Serb z Austrjakiem — wojna, Francuz z Niemcem — wojna, Niemiec z Anglikiem — sypnęło się, jak z rozdartego worka. Wojna, wojna! Pan Brat-

kowski oniemiał, a potem żył, jak w gorączce, jak w szale. Dziś strażnicy w nogi, na łeb, na szyję, a już nazajutrz idzie z pod Miechowa lasami wieść, że w miasteczku »Polacy«. Serce w panu Bratkowskim stanęło. »Jacy Polacy? co za Polacy? gadaj, durniu«, trząsł starym chłopem, jak gruszką. »Ano są, po naszemu gadają, jak łońskiego roku, komenda u jeich nasza«. — »Komenda nasza? polska?!« — »Dyć, musi, polska«. »A konni są? gadaj!« — »Są i konni, co nie mają być«. Nie pytał już pan Bratkowski o nic więcej. Ledwie go dygoczące kolana do sieni zaniosły i do schowka: śliwowicy przedniej w manierkę nalał, szablę opasał, mauzera i karabinek leciuchny rosyjski wziął, — klaczkę mu skarogniadą podali — z kopyta ruszył. W imię Boże.

I nie wiedzieć, co tam prędzej po kieleckiej drodze rwało: czy w owsie podufała klaczka, czy pana Bratkowskiego serce. Doczekał się.

Gdzieś już pod Jędrzejowem: »Stój«. Widzi pan Bratkowski — chłopczyna mała, niebieska a okurzona, jak wierzba przy drodze. »Stój« — mówi basem. Dojrzał pan Bratkowski orzełka, karabinek złożony w mig poznał. »Werndl. Ci djabli?!« — rozrzewnił się po cichu. »Swój, Polak« — odpowiada. Ano-pikieta. Niema żartów. Dał się spieszyć; jęli go ci niebiescy jeden drugiemu oddawać, obywatelem

tytułując, surowo do się przegadują, po służbie, miny za katy twarde. Do komendanta najwyższego doszli, od konnicy, wedle pana Bratkowskiego woli.

Siedzi ten komendant przed domem na pieńku, pysk blizną przeorany, mina wesoła, tatarska, koszula na nim, jak święta ziemia... Głową kiwnął grzecznie i zaraz do konia.

— Pańska? — pyta.

— A moja.

Skoczył na klaczkę leciutko, zwrot jeden, drugi, zesiadł, poklepał.

— Dobry koń — mówi. — Czem służyć można?

— A tom się spytać chciał, co panowie za wojsko.

— Toć pan widzi. Polskie.

— Polskie?

— Polskie.

— To się zaciągam.

Przymrużył komendant tatarskie oko, uśmiecha się.

— A nie późno, dziadziu?

Spłonął pan Bratkowski aż pod siwą szczotkę. Aż mu oddech zaparło na chwilę.

— Melduję... melduję posłusznie, że pięćdziesiąt lat czekam... od takiego...

Poklepał go komendant po ramieniu.

— Dobrze, już dobrze... Przyjmuję.

Tak oto na stare wreszcie lata został pan Bratkowski żołnierzem. Siła to tam tego wojska nie było: piechoty pułk leciuchny, no i konnicy czterdzieści trzy ogony. Pan Bratkowski czterdziesty czwarty. Przystał do nich odrazu, wlazł jak cegła w murek. Udała mu się ta armja. Że to ich wszystkich, buty zdjąwszy, na palcachby się dorachował, orali więc za dwa szwadrony. Podjazdy, przewiady, codzień strzelaninka, albo i dwie, a po powrocie musztra — »cugle skróć! marsz!« Rozkosz.

Cieszył się pan Bratkowski tą zabawą, jak dziecko, choć na twarzy miał marsa i powagę, jak żołnierz. Jedno go gniewało: owo komendantowe przezwisko »dziadziu« przylgnęło doń, jak smoła. Nie lubił tego. Najstarszy coprawda był w szwadronie — ale psi komu do tego! A tu podporucznik — jeśli nie służba — »dziadziu!« wachmistrz — »dziadziu«, koledzy — »dziadziu«, nawet i rekruty (lepili bo się do tej konnicy, jak mokry śnieg do płozów). Aż się któryś doczekał. Trafiło na głupiego foszmana z pod Proszowic. Dziś się zaciągnął, a jutro do pana Bratkowskiego »dziadziu«. Zagrało w panu Bratkowskim serce (żołnierzy było przy tem dość). Wstał pan Bratkowski, mówi ostro: »Twój, dziadzio, durniu, kury babom maca, albo na łaskawym chlebie jagły w zupie liczy, choćby i u mnie. Rozumiesz, głąbie!« I zaraz

buch go w zęby, aż się nogami nakrył. Wtedy go w ręce, jak w kleszcze, ująwszy, łbem o słupek potyrkotał łagodnie. »Miej, chamie, rozum«. I już, więcej oń nie dbały, pięście w rajtuzy wsadził i poszedł, gwiżdżąc ku większej paradzie.

Siedział coprawda za tę bitkę dwa dni w ciemmnej, ale okropnego mu to zdarzenie honoru w armji dodało. Zwali go coprawda dziadziem i nadal, ale pocichutku. Chyba, że Grom i Franek. No, ale oni! — Gromby się samego djabła nie zląkł, a dla Franka nijakiej świętości na tej ziemi nie było.

Z Frankiem to było tak. Zwiedział się jakoś, że pan Bratkowski mauzerka kryje (czego bo ta szelma nie wywąchał!) i zaraz do niego. Oczyma przewraca, jak szatan, mówi złodziejskim szeptem. Że jest niby wywiad do zrobienia, daleki, strzelaninka pewna, że jedenastu ma w kieszeni, a chce dwunastu, jak apostołów. Komendant pozwala. Czy dziadzio pójdzie? Na dwunastego, hę? — Pan Bratkowski milczy. — Strzela dziadzio dobrze, Franek sar widział. Więc jak będzie? — Pan Bratkowski milczy. — Boi się dziadzio? A no, może być i śmierć. Więc się boi? — Pan Bratkowski ramionami z pogardą wzrusza, milczy. — Bo to ta konnica (Franek był w wywiadowcach), to

byle dwa razy strzeli i w nogi... Ha, każda broń ma swoje sposoby...

Spłonął pan Bratkowski. »Pójdę« — mówi. Uśmiał się wtedy Franek tęgo.

Ano poszli. Grom z nimi. Przebrani po cywilnemu, mauzerki pod kurtką, naboje po kieszeniach. Podwozili ich kmiotkowie na wozach, żydzi na bryczuszkach — nie, żeby zmuszali, nie: pokazał koniec lufki, żydek jedzie, z ochotą jedzie. — Oj, oj — jemu jest wcale dobrze, nawet zupełnie dobrze, onby z panami na koniec świata. Wio! ty, głupi! — Dalej na piechtę. Minęli ostatnie zajęte wsie, minęli pikiety, zapadła noc. Ulokowali się w jakiejś wsi i u czyichś znajomków. Franek znikł. Całą noc go nie było: amory, albo i nie amory, bo cały ranek gwizdał, smarując ołówkiem w brudnej książeczce. »A teraz zabawa, chłopcy. Jazda!« Znowu poszli. Rozdzielili się przed miasteczkiem, po trzech w główne ulice. Na rynku dragoni konie czyszczą. A już Franek chusteczką machnął... Trach, trach, trach! Jak nie spluną! I znowu! Tr-tr-tr!... tr-tr-tr!... — niczem karabiny maszynowe! Na rynku popłoch, wrzask, kwiczenie postrachanych koni, jęk, pojedyncze po murach strzały. Pan Bratkowski wlazł za żydowskie schodki i walił. Jezu, jak walił! Nim się toto opamiętało — rzeźnia! co łup — to trup! A już komendę słychać, konie bokiem prze-

prowadzają, oficerka rannego przenieśli — komenda — marsz! Poszli. Kilku tylko zostało, gorętszych widać, pod komendą wachmistrza. Strzelają. Na Groma się szczególniej uwzięli. Co chłopak karabinek z za węgła wysunie, już go wachmistrz ma na muszce; co się brodacz wychyli, już nań Gromik czatuje. Ciuciu-babka. Patrzy pan Bratkowski, mógłby wachmistrza z boku dostać, a nie chce, bo ciekaw końca. Widzi — zdjął Grom czapkę z głowy, wsadził na koniec buta. Podniósł nogę, czubek z za murka wysuwa i cofa, wysuwa i cofa... Brodacz aż się oblizuje. Wziął na oko, czeka. I raptem trach! trach! z pięć razy! Aż pierze z czapki poszły! Wtedy Grom nogę spuścił, wysunął się w pół ciała — buch! buch! — tylko dwa razy strzelił... Wrzask zrobił się wielki, poderwali tamci rannego, dosiedli swoich, w konie. Jeszcze im Franek pożegnanie salwą posłał. Zdobyli miasto.

A już poczęły się w maleńkich na rynku oknach pokazywać białe, jak papier, twarze. Żydziaki, żydóweczki śliczne i brudne niesłychanie, matrony roztrzęsione jak galarety, wyrostki blade i ponure... Gwałt, rejwach. Gdy zobaczyli, że ich tylko dwunastu — przerazili się strasznie; gdy usłyszeli polską mowę — przestraszyli się stokroć bardziej... Płacz, krzyki, machanie brudnemi rękami, lament. Wystąpiło

dwóch patrjarchów, poszwargotali z Frankiem krzynę, atrament się zjawił, bibuła. Zagryzmolił Franek papier z pieczątką, kazał przybić w środku rynku. »My, dwunastu wywiadowców wojsk polskich, przepędziliśmy cały wasz szwadron. Servus. Franek«. Przetrząsnęli jeszcze zabitym kieszenie, papiery im zabrali, książki służbowe i — zbiórka. (Groma trzeba było gwałtem w sieni od jakiejś żydóweczki odrywać). Uformowali sześć dwójek, zaśpiewali żydom »Jeszcze nie zginęła« ku większej paradzie — poszli.

Za miastem zwolnili szyków, podyrdał każdy, jak kto chciał. Franek, wesoły, jak szczygieł, trącił w bok pana Bratkowskiego.

— No, jakże, dziadziu? Dobrze było?

Pan Bratkowski wzruszył ramionami z pogardą.

— Co dobrego? Tyle, że trzeba będzie broń czyścić.

— Zawsześmy tam szwadronik spłoszyli.

— Phi... Wielka sztuka! Z zasadzką konnica rady nie da. Wiadomo.

Obraził się Franek.

— Niewiedzieć, czegoby znów dziadzio chciał. Pułki mieliśmy rozbić? armaty? generała do niewoli?

— To nie... Ale tak szarżę i po łbach się przejechać! Ba!

Teraz Franek wzruszył ramionami.

— Te, Grom! Słyszysz go! Husarz z pod Wiednia. Szarża mu we łbie.

Grom podniósł sokolą twarz od roboty, bo właśnie swego wachmistrza kreską na kolbie znaczył (zebrało się tych kresek już siedem), pomyślał chwilę i mówi.

— Śliczna była żydóweczka! Wiesz, Franek, ja tam wrócę. Nie daruję.

Tamten splunął ze złością:

— Szczeniak!

Nie miał Franek dużej pociechy z pana Bratkowskiego w tej wyprawie. Rozstali się z wzajemnym szacunkiem, ale i trochą urazy. »Lepiej każdy swoje«... myślał pan Bratkowski. »Ja jestem żołnierz regularny«.

Coś wkrótce potem formowano drugi już szwadron tej konnicy. Wołają pana Bratkowskiego do komendanta razem z Gromem. Grom skrzywił się, idzie, idzie i przystanie — myśli, czy nie o tę głupią żydóweczkę. Nie lubił drobiazgów.

— Jakże, dziadziu — pyta komendant — zdrów?

— Wedle rozkazu, komendancie.

— Mam tu dla was obu nominację na wachmistrzów. Do nowego szwadronu. Chłopaków mi werbować, o konie dbać, musztrować, ostro trzymać. Już.

— Wedle rozkazu, komendancie!

Myślał pan Bratkowski, że mu z ochoty dłoń do czapki przyrośnie przy tem salutowaniu. Niebo się przed nim otwarło. »Poznali się na Bratkowskim, choć stary« — myślał z dumą: »ale jeszcze Bratkowski więcej pokaże«...

Paliła mu się ta robota w rękach. Inny w dziewczętach tak nie przebiera, jak on w rekrucie: ale co którego na koń wsadził, to siedział, jak przyszyty. Całe Kieleckie o szkapy zjeździł, kulbaki zacne miał, jak łóżka... A musztra, mocny Boże! Najtęższe chłopy stękały z umęczenia, a jemu mało i mało, źle i źle. Mocnego słowa zaś, a i ręki, gdzie trzeba, nie żałował: jeśli skąd srogi wrzask dochodził, uśmiechali się oficerowie: — »Oho, dziadzio swoich kształci«. Zesechł się temi czasy na wiórek: nos mu wyciągnęło w sępi dziób, pod nosem wiechy ogromne, białe, w czarnej twarzy ślepia błękitne, jak turkusy, a ostre, jak stal. Wyszykował też plutonik galanty. Grom aż za dziewczętami przestał chodzić z zazdrości, a jak kiedyś na rewji zwinął pan Bratkowski szeregi i znów je rozwinął i skręcił jakby cyrklem, to szmer przeszedł śród najstarszego oficerstwa: »Patrzcie, patrzcie! Bratkowskiego pluton!« A pan Bratkowski z boku, w czyściutkim mundurze, sznurek przez pierś zielony, mina —

kroć sto tysięcy, klacz pod nim skarogniada, jak łza!

Ba, ba! Szczęśliwe to były dla pana Bratkowskiego czasy.

Wiedział dobrze, żę choć go chłopcy teraz »starym djabłem« w cichości zwali, a przecie żadenby plutonu nie zmienił dobrowolnie; śród zwierzchników mir miał ogromny, w wojsku sławę niezgorszą. Mało go ogólne perypetje wojny obchodziły; gazet nawet w cukierni nie czytał. Dziwiło go też ogromnie powszechne przy odwrocie zmartwienie: odwrót, nie odwrót, a wojsko polskie jest i on w tem wojsku; skoro jest wojsko, to się będzie biło, a jak się będzie biło, to i zwycięży... Tę pewność nosił w sobie, jak słońce. Wysforowawszy się ze swoim plutonikiem naprzód, myszkował po tych rodzinnych stronach, jak król. Tu strzelaninka, tam paru jeńców, ówdzie koników kilka, czasami rekruta trochę... Dbały był teraz o swoich chłopców, jak ojciec — wygody mieli też niezgorsze, niejednemu pyski świeciły się od jadła, niby polewany garnek.

Doszli tak aż do Olszynki. Tu ucieszyło się pana Bratkowskiego serce. »Poczekaj, Bogusławski, kutwo stary, poczekaj!« — myślał złośliwie. Zaraz też pchnął przodem pocztik po owies.

Gdy dojeżdżali wolniuśko do zapadłego

w ziemi dworka, słońce zachodziło właśnie za drzewa czerwienią na wicher. Z zabudowań dobiegały głosy ostrej przegwarki, klątwy i zaklinania. »Oho! chłopcy gospodarzą«, uśmiechnął się stary wachmistrz. Ledwie się na podwórku ukazał, wrzaski wzmogły się jeszcze.

— Jest tu i na was władza, draby — darł się Bogusławski — ja tu zaraz do starszego... Ja wam pokażę! Panie starszy! — dyrdał do wachmistrza zasapany — panie starszy! słyszane to rzeczy, żeby spokojnemu obywatelowi...

Naraz stanął. Przyjrzawszy się panu Bratkowskiemu pod światło, aż się w mokrą z zacietrzewienia łysinę dłonią klapnął.

— Wszelki duch! Nadleśny Bratkowski, czy ki djabeł?!

Ten wąsa pokręcił z uciechą.

— Ten sam. Bratkowski, wachmistrz drugiego szwadronu pierwszego pułku ułanów. Czołem, panie Bogusławski. O co chodzi?

Bogusławski mruczał jeszcze pod nosem coś, jakby »stary warjat«, ale praktyczność wzięła górę.

— Powiedz-no pan tym swoim drabom, żeby mi się po stajni nie tłukli! Konia chcą brać, mówią, że płacą. Nie sprzedaję! Nie chcę! Owsa dam trochę, choć, jak mi Bóg miły, biorą i biorą, dziś ci, jutro inni!...

Lamentując ze znaczną już wprawą, oczkiem

ku panu Bratkowskiemu zerkał ciekawie. Nie mógł wreszcie strzymać ciekawości.

— A pan niby co tu robisz? Przecież pan tutejszy, nie z Galicji.

— Ba! W wojsku polskiem służę.

Twarz Bogusławskiego skurczyła się i pomarszczyła z radości. Udawał przez chwilę, że źle słyszy.

— Hę? W jakiem to wojsku?

— W polskiem, mówię.

Brzuszyszko ze złotym łańcuchem poczęło trząść się długo i ironicznie.

— Hi, hi, hi!... W polskiem... Hi, hi, hi!...

Wachmistrz osłupiał. A tamtemu aż grdyka latała z uciechy. Oczki wpadły w tłuszcz i utonęły tam beznadziejnie.

— Hi, hi, hi!... Hi, hi, hi!...

Pan Bratkowski aż przybladł z irytacji.

— Czegoś pan kontent! Do stu kroć djabłów!

Bogusławski urwał natychmiast. Jakby nie on się śmiał.

— Ja? nic — mówi — mnie nic do tego.

— Do czego niby?!

— Do tych waszych polskich wojsk.

— Do jakich waszych? Czyś pan zwarjował?!

— Ano, do tych waszych... Po jednem z każdej strony. Hi, hi, hi!

5*

— Z jakiej znów strony... Co pan bredzisz?!

— Ano z każdej, mówię... Hi, hi, hi! W gazecie stało!

Pan Bratkowski zbladł teraz na dobre.

— Gadaj pan, do stu djabłów, z sensem. Gdzie stało? co stało?

Dopieroż Bogusławski, ująwszy go pod ramię, odprowadził na bok w alejkę, perorując długo i wymownie. Pan Bratkowski spocił się, jak mysz, przy tej rozmowie. Przystając co chwila, powtarzał bez przekonania a z uporem: »Nie może być, panie Bogusławski! Nie może to być!« A tamtemu znowu brzuch brodę obijał z uciechy: »Hi, hi, hi! A właśnie, że może, panie Bratkowski! Właśnie, że może, skoro jest! Tak, wachmistrzu wojsk polskich... hi! hi! hi! tak!...« Głębokie obrzydzenie do tego rozmówcy wzmagało jeszcze w panu Bratkowskim gorycz informacji.

— Więc według pana jak? — pytał z irytacją — siedzieć spokojnie?

— A pewnie, że siedzieć. Nie pchać się na mur z pięściami.

— I pieniążki za owies zbijać, hę?

— Dużo ich tam weźmie, szczególniej od tych właśnie polskich wojsk — hi! hi! hi!

— A pan sobie jednak temi wojskami gęby nie wycieraj!

— Ja niby? Dla mnie to wszystko jedno — choćby greckie! hi! hi!

Obrócił się pan Bratkowski ku dziedzińcowi, huknął:

— Chłopcy! Owies jest? Na koń!

I rozliczając się już z Bogusławskim, dorzucił kostycznie:

— A ceny to pan sobie liczysz wojenne, co?

Tamten ręce rozłożył szeroko:

— Czego bo się nie robi dla rodaków... Jeszcze wojskowych! Hi! hi!

Prześladowały pana Bratkowskiego te śmiechy długi czas. Kiwał się oto na siodle, stępa ku noclegowi zdążając, a w uszach świdrowało owo wstrętne, skrzeczące »hi! hi! hi!« I noc mu nie przyniosła ulgi, ani dzień następny, ani te inne, ciągnące się teraz, jak smoła. W najpiękniejszych chwilach, kiedy, w obliczu już nieprzyjaciela, przykładał kolbę do twarzy, przeszywał go nagły lęk i żal straszny. Więc jakże? Więc na to czekał pięćdziesiąt lat, żeby wpaść w awanturę, nie w wojsko? Kiedy już myślał, że jest regularnym żołnierzem? Kiedy mu się zdawało, że od ojczyzny tę wachmistrzowską szarżę przyjął? Nie może to być! — powtarzał sobie stary pan Bratkowski. Ale zwątpienie ssało duszę nudnie i męcząco. Ani go już teraz służba nie zajmowała, ani wyprawy. Robił swoje, bo robił, ale od niechcenia więcej, jak

z łaski. Bo i co mu tam, jeśli to nie prawdziwe polskie wojsko. Gdzie dopadł okowity w karczmie, to sobie nią manierkę wypełniał dobrze, dla weselszych w głowie myśli. Nie pomagało. Dla ludzi swoich nie surowy już był, lecz przykry i opryskliwy. Bo niechże wszystko djabli!...

Aż kiedyś (w Galicji to już było, w jakiemś miasteczku stali) urwała mu się cierpliwość. Zobaczył na rynku komendanta swego. I oto olśniło go, jak objawienie. Pójdzie i zapyta. Wprost pójdzie, powie: »Tak i tak, komendancie, nagadano mi to i tamto...« Przecie odpowie, musi odpowiedzieć.

Zameldował się drogą służbową, czeka. Czeka dzień, drugi. Pod wieczór wzywają go. »Stary« woła. Ano oczyścił się z przyzwyczajenia, rzemyki opatrzył, szablisko podciągnął wyżej — poszedł. Zastał komendanta w salonie przy herbacie. Roześmiała mu się na widok pana Bratkowskiego gęba, pod ramię go wziął, usadził, tatarskie oczka łyskają mu z uciechy, jak tarki.

— Co tam — mówi — dziadziu? Jakże zdrowie? Może papierosa?

Pan Bratkowski siadł na czubku krzesła, sztywny, za papierosa dziękuje.

— Więc cóż tam? Służbowa sprawa? Lepiejby się dziadzio herbaty ze mną napił...

Pan Bratkowski podziękował grzecznie i po-

czął mówić. Opowiedział jak z Bogusławskim było, że tak niby i tak, rady sobie dać nie może, sam nie wie, czem właściwie jest... Tamten nic — słucha. Oparł się na szabli i słucha. Tylko im dłużej pan Bratkowski mówił, tem ostrzejsza mu się twarz stawała. Blizna na gębę wyszła, czerwona i szeroka. A pan Bratkowski mówi. Widzi, że źle jest, ale nic, mówi dalej, jak sobie to postanowił. Skończył wreszcie. Czeka. Komendant wstał, chodzi miękkiemi krokami, jak żbik — tylko sapanie słychać coraz głośniejsze. Milczy. Milczy dalej. I naraz przed samym pana Bratkowskiego nosem jak nie wrzaśnie:

— Wachmistrzu Bratkowski! Baa-czność!!

Wyprężył się pan Bratkowski, jak struna.

— Kto wachmistrza zaciągał?! Ja, czy nie ja?! Odpowiadać!!

— Komendant, według rozkazu.

— Pytał wachmistrz, co to za wojsko?!

— Według rozkazu! Pytałem, komendancie.

— Mówiłem, że jakie?!

— Polskie, komendancie.

— Wachmistrz Bratkowski słyszał, czy nie?!

— Słyszałem, komendancie.

— Stanąć jutro do raportu! A teraz — w prawo zwrot! Marsz!!

Radośnie brzęknęły ostrogi pana Bratkow-

skiego, jak w tańcu. Za drzwiami poprawił czapczyska, odsapnął »uf!«, otrząsnął się, jak pies po kąpieli — i poszedł. Leciutko mu było w duszy, niczem po spowiedzi. »To ci odprawa!« — myślał — »to ci komendant! Wachmistrz Bratkowski jutro do raportu — i należy się za głupie pytania święcie. Należy się. Będziesz jutro oczyma, stary koniu, świecił. I słusznie, do kroć djabłów! Że jakiś tam kuternoga, kutwa, dzierżawczyna, byle co baje, to ty, panie Bratkowski, a jeszcze wachmistrzu, komendantowym słowom nie ufasz! Tfu! Stań, panie Bratkowski, do raportu na stare lata!«

Toż to było *gaudium* w całym pułku, gdy nazajutrz rano, przy raporcie, podporucznik ogłosił: »Wachmistrz Bratkowski dwie godziny karnej warty z rozkazu komendanta«. Uszom nikt nie wierzył. Z pierwszego szwadronu przychodzili oglądać, jak to »dziadzio« karabin za rzemyczek trzyma, niby (wstyd wyrzec) piechur. I niewiadomo za co. W głowę brać szwadronu zachodziła, jak nigdy. I nic. Niewiadomo. Ugrzęzła owa tajemnica między panem Bratkowskim i komendantem.

A w parę dni potem znów ruszono naprzód, za Wisłę. Poszły wszystkie naraz serca w górę, więc i zmiana wachmistrzowego humoru przeszła bez wrażenia. Wesół zaś był stary, znowu rzeźki i zdrów na pokaz. Pełen animuszu

i wściekłego, jak komendant, męstwa, harcował po tej bogatej sandomierskiej ziemi, ku uciesze żołnierskiego serca i sławie polskiej broni.

Tyle, że niedługo już pochodził.

Melduje któregoś ranka porucznikowi posłusznie, że chciałby samotrzeć w bok skoczyć o milkę, do żyda, u którego onegdaj nocował. »Po cóż to, dziadziu? Czy nie znajomka aby?« Ale, papiery jakieś zostały i pieniędzy z pięć rubli. Ano — jazda. Wziął ze sobą ułana jednego i rekruta, parobka z Bukowca, głupiego, że ściany tłuc. Pojechali.

Nad wieczorem wraca do pułku sam parobek na wachmistrzowej klaczy. Koń zgoniony na nic, chłopczysko też ledwie na nogach stoi. Do komendanta. — »Gdzie Bratkowski?!« — Uśmiecha się parobas głupowato. — »Ano, melduję, że zabit...« — »Gdzie zabity?! Co bredzisz?!« — »Ano, na śmierć zabit...« — »Gdzie, jak?! Gadaj!« — »Ano, kiej tamte we wieś wpadły, to mówi wielmożny do mnie: »Konie, durniu, trzymaj!« Więcem trzymał, a oni strzylali. Ino co się tamten zara wykopyrtnął, a i wielmożny rychło był gotów, może za pacierz. Tyle co krzyknął na mnie: »Jezus! Szkapę, durniu, ratuj«. Więcem wsiadł i jestem według rozkazu«. — Więcej się odeń nie dowiedzieli.

Tak zginął pan Bratkowski-Jelitczyk, nadleśny, wachmistrz drugiego szwadronu pierwszego pułku ułanów. Przez żołnierza poczęty, na żołnierza zrodzony, całe życie na urlopie spędził, stare dopiero serce polską bronią ciesząc. Nie mówiono doń mów, ani braterskie go grzebały ręce. Cicho zginął, jak żył. Po żołniersku. I tylko trąbki konnicy pamiętają o nim w starej ułańskiej piosence:

...Śpij, kolego, w zimnym grobie,
Niech się Polska przyśni tobie.

RODZINA KALINOWSKICH

Pani Kalinowska dłubie włóczkową robotę na drutach. Stara jest, wypłowiała cała i wypełzła, jak zdeptany dywanik przed łóżkiem. Bo po pani Kalinowskiej depce życie od sześćdziesięciu prawie lat. Urodę z niej starło i cały ludzki wdzięk, wyniszczyło do ostatka. Siedzi oto w zdawna zapadłym fotelu i dłubie. Zegar cyka obrzydle sekundę po sekundzie, a pani Kalinowska robi włóczkową robotę. Myśli, że ją dziś nerki bardziej bolą i że czas zapalić lampę, a nafty szkoda.

W mieszkaniu zmrok. Dwa wysoko zasłane łóżka czernieją po kątach jak katafalki. Natłoczone meble zastygły w konturach surowych i fantastycznych. Cały pokój zapadł w ponury sen. Nawet ucząca się przy drugiem oknie pannica nie wnosi tu młodości i życia: wparła krótkowzroczne oczy w książkę i przebiera wargami bez głosu, jak snąca ryba.

Dzwonek. Pani Kalinowska ani drgnie. Otworzą i tak. Niema się z czem spieszyć. Pani

Kalinowska nie spodziewa się już niczego po wizytach lub listach — kłopot zaś i nieszczęście zawsze dość wcześnie przychodzą. Nie każe nawet zapalać lampy. Po co?

Ktoś wchodzi, potyka się zaraz u proga o kant krzesła i stoi. Pyta zirytowanym głosem:

— Pani Kalinowska jest?

— Jestem.

Pani Kalinowska podnosi się niechętnie. Rządca — oczywiście. O komorne jeszcze za przeszły miesiąc. Nawet jej się mówić o tem nie chce. Nie ma. Józiowi dała. Uprzedza długie wywody:

— Pan o komorne? To do męża.

Rządca ciska z pasją na stół brudny kapelusz.

— Znowu do męża? Już ja znam te korowody — pani śle do męża, mąż do pani! Długo tu będę jak głupi do państwa łaził? Skaranie Boskie!

— Mąż w domu rządzi. Ja nie mam. Prosiłam — zaczekać.

— Mąż rządzi — właśnie! Oddam do sądu, eksmisja i kwita. Będzie pani koszta płacić!

Pani Kalinowska milczy.

— Więc gdzież ten mąż? Ciemno jak w uchu!

— Jadziu, przeprowadź.

Pani Kalinowska siedzi znów na swoim fo-

telu i dłubie. Oczko za oczkiem, oczko za oczkiem — na szarem tle okna druty latają szybko i obojętnie. Za ścianą słychać podniesione głosy. Pannica porusza się niespokojnie.

— Czego znów mama nie płaci? Wstyd.

— Nie mam.

— A jakże! Zaczyna mama jak ojciec. Nie mam i nie mam.

— Głupiaś. Nie twój interes. Cicho siedź i ciesz się, że masz co do ust włożyć.

— Wolę już nie jeść... Ciągły wstyd.

— To idź do kuchni.

Jadzia milknie, trwożnie nasłuchując. Każde starcze, miamlące zdanie ojca napełnia ją odrazą i wstydem.

— Nic nie wiem, panie szanowny, ja nic nie wiem... Jestem tu lokatorem u żony, sam płacę za wszystko, co mam. Stary jestem, chory. Temi trzęsącemi rękami cały dzień w cudzych rachunkach grzebię. Sam, panie szanowny, nie mam nic. Ani grosza, ani feniga. Na śmiertelną koszulę nie starczy.

Drzwi otwierają się z trzaskiem.

— Co mi pan w głowie zawraca! Śmiertelne koszule, bajdy! Płacą państwo, czy nie płacą?! Ostatni raz jestem!

Pani Kalinowska wstaje. Jej głos pokornieje nagle, nabiera tonów łagodnych i cichych.

— Niech się pan nie gniewa... Choć dwa tygodnie! Zapłacę. My ludzie biedni, panie...

— Bardzo biedni... Oj biedni, panie szanowny! Skąd brać? sam pan rozumie... Temi staremi rękoma nie wyrobi... Jeść, panie, niema co, z osłabienia aż się w oczach miga...

Jadzia przemyka się pośpiesznie między ojcem a rządcą.

W kuchni dochodzi ją głuchy stukot kaloszy.

— Tydzień czekam. Ani dnia dłużej!

Służąca Marjanna mruczy pod nosem:

— Ładne państwo!...

Stary Kalinowski czekał tylko na huk zamykanych drzwi. Wytrząsa teraz przed żoną zawiędłemi palcami z sykiem.

— Znowu nasyłasz? Znowu? Co?

— I będę nasyłać! Będę! Słyszysz? Dosyć już mam; rozumiesz, wstrętny człowieku?! Toś ty mąż, toś ty ojciec, głowa rodziny? Zbierasz te pieniądze, dusisz, dzieci krzywdzisz i co ci z tego? Umrzesz, nie zabierzesz! Tylko że ja się dłużej mordować nie dam! Słyszysz?!

Na wzmiankę o pieniądzach szyja starego wyciągnęła się nagle i grdyka latać poczęła w wielkiej pasji. Aż głosu znaleźć nie mógł.

— Jakie pieniądze?! Co za pieniądze! Nie szalej, kobieto! Toć już przecie kolacji nie jadam, żeby taniej. Wszystko oddaję, szelążka

marnego nie zostawiam! Szelążka marnego, rozumiesz?! To ty na starość warjujesz! Pieniądze? Jakie pieniądze?! Jakie, na miły Bóg?!

Pani Kalinowska sucho ucina te lamenty.

— Nie łżyj! Chodziłam do biura pytać; wiem, co masz! Będziesz mi się tu w lokatora bawił, za życie płacił jak obcy... niedoczekanie twoje, kutwo! Jeszcześ za kolacje urwał, a chleb mi z kredensu ściągasz! Co z resztą robisz?! Dusisz, dusisz...

Głowa starego trzęsie się boleściwie.

— Te parę groszy co na trumnę... Żebyście mnie przecież nie jak psa, nie do wspólnego dołu... Tych paru groszy żałują...

Pani Kalinowska śmieje się krótko a niemiło.

— Parę groszy... Już ja cię dobrze liczę, nie bój się, kochanku! Przeszło pół pensji co miesiąc!...

Stary aż się zachłysnął ze wzruszenia. Twarz mu poczerwieniała, oczy na wierzch wyszły, okrągłe, blade, ogromne... Wyziera z nich nienawiść i trwoga. Starczy głos łamie się i syczy.

— Liczysz... wiem. Ale ja się zamykam... Ja pilnuję... Bo tybyś mnie z Józkiem okradła... Ty! Znam was! Wybyście zamordowali. Ale za ścianą są ludzie... I broń mam...

Pani Kalinowska przerywa ostro.

— Nie warjuj! nie warjuj! Bo pójdziesz do

Jana Bożego z temi myślami! Duś, tylko płać, co trzeba! Musisz dać na mieszkanie, bo wyrzucą! Skąd wezmę?!

— Nie dam... Nie dam... Wyprowadzę się...

— A wyprowadź się. Tam cię dopiero okradną... u obcych...

Stary nie słucha już. Skulił się w sobie, niby coś drogiego przy piersiach trzymając, powłóczy drżącemi nogami... Wyblakłe wargi miamlą uparcie:

— Nie dam... Nie dam... Nie dam...

Pani Kalinowska siada znowu na swoim fotelu. Ciężki mrok opadł na pokój — pracować nie można. Mimo przebytej sceny dusza pani Kalinowskiej jest spokojna jak głęboka woda. Na samem dnie uleżała, kamienna mądrość: życie — udręka, troski — codzienny chleb, łaska jedyna — spokój. Byle nic nowego, byle dziś, jak wczoraj. Pani Kalinowska nie myśli o tem: ona wie. Pani Kalinowska złożyła w ciemności obie ręce na kolanach, rozprostowała dłonie i siedzi. Pewnie nie myśli nic. Odpoczywa. Zegar cyka swoje sekundy nudnie i głupio.

Ktoś wszedł. Ostry szelest sukni o sprzęty, stukot wysokich obcasów.

— Cóż tu tak ciemno? Mama jest?

Pani Kalinowska zrywa się z pośpiechem.

— Jak się masz, Zosiu... Nie uderz się, poczekaj! Marjanna, lampę!

Kręci się, podsuwa krzesło. Córka siada przy stole bez ceremonji i bębni po nim palcami.

— Cóż to? Już się wcale nie pali? Nowe oszczędności?

Pani Kalinowska uśmiecha się pokornie w ciemnościach.

— Jak to u nas, dziecko... Sama wiesz najlepiej.

— A wiem, wiem!...

— Dzieci zdrowe?

— Tegoby jeszcze brakowało!... Zdrowe. Będzie ta lampa?

— Zaraz, zaraz, córuchno... Marjanna, lampę! Z mężem spokój? Praktyka jest?

— Ah!...

Marjanna wnosi lampę. Spostrzegłszy panią Zofję, ociera ręce w fartuch i całuje łaskawie podaną dłoń. Chwila milczenia. Pani Kalinowska znowu wzięła do rąk robotę i dłubie. Czyni to szybko i sprawnie. Słucha.

— Spotkałam ojca na schodach... Jakże ten człowiek chodzi? Łachmany jakieś, brud! Dlaczego Marjanna nie oczyści, nim wyjdzie? Wszelki wstyd zatracił... Mój Staszek przestał już w cukierni na rogu bywać, bo mu zawsze teściowskie rachunki do płacenia dawali...

Przywitać się stary bał, a rachunki przysyłał... Milczkiem — po pięć ciastek naraz. Kelnerzy się śmieją... Hańba! A potem ja w domu odpowiadam, ja mam awantury... Ech!

Pani Kalinowska potakuje z obojętnością. Milczy.

— A przecie ojciec ma pieniądze... Ho, ho, ładne parę tysięcy nazbierał! Potrafi, to jedno potrafi...

Źrenice pani Kalinowskiej mignęły szybko i skryły się gdzieś w kątach oczu.

— Ii.. co on tam ma... Co on tam może mieć...

Znowu dłuższe milczenie. Twarze rozmawiających zacięły się nagle.

— Jadźka gdzie?

— W kuchni. Uczy się.

— Przyniosłam tu mamie, co zawsze... Niełatwo przychodzi, coraz trudniej...

Doktorowa piastuje wyjęte z torebki pieniądze, jakby je trudno było oddać. Kładzie wreszcie na stole z westchnieniem. Pani Kalinowska zagarnia je szybkim ruchem, mimowoli spoglądając na drzwi od korytarza. Mówi tonem pokornym i ciepłym:

— Dziękuję, córuchno... W samą porę. Bo już nie wiem, cobym robiła. Właśnie rządca był o komorne, ojciec znowu urwał. Już głowa pęka... Nie dla siebie przecież. Co mi tam! Sa-

ma byle czem żyję, skórkami od chleba... O, patrz!

Otwiera kredens i wyjmuje jakiś talerz z resztkami jedzenia. Pani Zofja odwraca się ze wstrętem.

— Niech mi mama da pokój... Zawsze to chwalenie się — nędzą. Jest czem rzeczywiście. Wstyd. Więcej i tak nie dam!

I jakby ukłuta samym dźwiękiem tego wyrazu, wybucha nagle:

— Nie dam! Nie dam i nie chcę! Rozumie mama? Sama muszę żyć. Niech pracują, niech żyją jak ludzie!

— Toć pracuję, dziecko. Widzisz przecie. Od rana do nocy ta włóczka, aż oczy wypłakuję ze zmęczenia... Czego chcesz ode mnie?

— Nie od mamy też! Nie od mamy, mama wie! Dlaczego Józiek nic nie robi?

Oczy pani Kalinowskiej stają się nagle skupione i uważne.

— Jakto nic nie robi? Pracuje przecież w tym banku?

— A właśnie, pracuje. Od miesiąca wyleciał — fiut! Zwierzchnik mu ubliżył — hrabia się obraża... Dureń! Mama nic nie wiedziała? Nie chwalił się, gagatek?!

Pani Kalinowska kiwa głową powoli, niby z nagłego podziwu.

— Jezus, Marjo!... Jezus, Marjo!...

— A właśnie — Jezus, Marjo! Tylko że ja więcej dawać nie mogę, a Stasiek też nowej posady nie znajdzie. Mówi, że dość. Niech sam o sobie pomyśli.

Pani Kalinowska oddycha ciężko i boleśnie. A tamta zawzina się tem więcej:

— Ale to jeszcze nie wszystko. Helka pisała, że chce się ze mną widzieć, też o Jóźka! Nowa przyjemność! O, niech mama patrzy.

Elegancki bilecik drży w starych rękach, trzęsie się i dygoce.

— Przeczytaj, Zosiu... Nic nie widzę, nic... Jezus, Marjo!...

— Co czytać? Będzie tu u mamy za chwilę. Prawdziwa satysfakcja spotkać się z siostrzyczką, co się puściła. Ładna rodzinka: Helusia, Józieczek...

— Cicho, Zosia... Dzwoni ktoś, ona pewnie.

— No więc co? Gadać niewolno?! Królewna!

Jednakże doktorowa milknie i zbiera się w sobie jak do obrony. Twarz oblekła się w wyraz surowej godności, palce znowu bębnią po stole nerwowo. Pani Kalinowska wstała i nasłuchuje z niepokojem. Wbiega zarumieniona Jadzia.

— Helcia przyszła!

Pani Kalinowska macha na nią obiema rękami.

— Dobrze. Idź, idź! Idź do kuchni!

Wchodzi Helena. Swobodna, ładna i elegancka. Uprzejmie całuje matkę w rękę.

— Dobry wieczór mamie.

Pani Kalinowska nie może trafić drżącemi ustami. Całuje jakiś sztucznie skręcony loczek, błagalnie patrząc na starszą.

Doktorowa rumieni się gwałtownie. Powaga prysła w ogromnem, ponad siłę zmieszaniu. Niezręcznie podaje rękę.

Tamta ściska ją z obojętnością. Chłodnemi oczyma taksuje siostrzaną urodę. »Postarzała się«, myśli: »jej, jak postarzała... Ano, troje dzieci, mąż... Kurze łapki, na policzkach cienie... Stara«.

Mówi sucho i dosyć wyniośle:

— Wezwałam cię tu o Józia. Wizytuje mnie od pewnego czasu ciągle, przesiaduje całemi godzinami... Dwa razy prosił o pieniądze. Niewielkie sumy, ale sensu niema, żeby odemnie brał. Sądzę, że mnie zrozumiesz i poprzesz. Trudno mu przecie drzwi zamknąć...

Pani Zofja patrzy na nią z mimowolnym podziwem. Jaka ładna, ach, jaka ładna! I ta dystynkcja, surowość prawie. Odpowiada byle co, pierwsze, co się na usta nawinie:

— Tak, tak... Niema sensu. Trzeba zrobić porządek.

Lecz Helena nastaje. Mówi teraz z naciskiem, akcentuje wyrazy z pewnym wstrętem.

— Koniecznie i to szybko. Taki jest przytem niedelikatny: wina mi wypija, likiery. Nawet jak mnie niema. Nie wiem już, co służba sobie myśli. Kiedyś nie miałam czasu — rozumiesz — prosiłam, żeby wyszedł, a on wprost — »przedstaw mnie«. Przecież to okropne! Coprawda dobrze już miał w głowie...

Rysy pani Kalinowskiej zmartwiały w beznadziejnej zgryzocie. Parę razy tylko kiwa głową, sobie samej czy córce przytakując. Milczy. Cóż ma mówić? Doktorowa również milczy. A Helena dodaje po chwili z ironiczną pasją.

— Ja się rodzinie nie narzucam. Chciałabym też mieć spokój.

Pani Zofja wstaje.

— Ja to załatwię. Bądź spokojna.

Znowu patrzy z podziwem na żegnającą się siostrę. Ogląda zręczność jej ruchów, wytworność i elegancję stroju. »Tylko one mogą się ubierać« — myśli z żalem. »Ale umie, potrafi« — przyznaje z pewną dumą. Mimowoli wyprowadza ją do przedpokoju, mimowoli prawie nadstawia policzek do pocałunku. I nagle, gdy tamta całuje ją z pewnem wahaniem, wyrywa jej się gdzieś z pod serca:

— Ech, Helka! po co tyś to zrobiła?

Helena patrzy na nią przez chwilę ze zdu-

mieniem, nie rozumiejąc. Potem odwraca się z niedbałem wzruszeniem ramion. Wychodzi.

Pani Zofja jest teraz zawstydzona i gniewna. Spostrzegłszy przylepioną u kuchennych drzwi Jadzię, wybucha irytacją:

— Cóż ty, podsłuchujesz? A do kuchni, smarkata!

Stroskana twarz matki napełnia ją nową zawziętością. Teraz dopiero uświadamia sobie całą Józiową sprawę.

— Ładnie mama synalka wychowała! Niema co! Tylko patrzeć, jak kraść albo i rozbijać zacznie. Od rzemyczka do koniczka! Niewiele mu już brakuje. Porządny człowiek! Kryminału tylko jeszcze w rodzinie nie było, ale po nim i to nas czeka! Mamine wychowanie!

— Wszystkich jednakowo chowałam...

— Nieprawda! Nas, córki, zawsze ostro, zawsze w ciężkiej pracy, bez pobłażań... Z nim jednym cackania wieczne! Józieczek to, Józieczek owo! Pieszczoszek, gagatek, podpora mojej starości... Doczekała się mama podpory!

W oczach pani Kalinowskiej stanęły dwie łzy.

— Bo on był syn. Jedyny. W nim cała przyszłość, cała nadzieja jakiejś poprawy losu... Czy ty nie rozumiesz, Zośka? Samaś przecie matka... Twarde masz serce jak kamień.

Doktorowa wstydzi się wywołanych łez, a ustąpić nie chce.

— Życie miałam twarde, to i serce twarde. Żeby się student-lokator nie trafił, skisłabym tu u mamy na ocet, albo jak Helka... Co tu gadać? słów szkoda. Cóż teraz z Józkiem będzie?

— A bo ja wiem...

— Coś radzić trzeba... Więc tak: najpierw mu nagadam, a potem — ostatnia próba. Znowu mu się miejsce znajdzie. Jeśli nie wysiedzi — koniec. Każe mu się mama wyprowadzić i niech sobie robi, co chce. Dobrze?

— Ty wiesz najlepiej...

Pani Kalinowska wstaje. Wstaje i córka. Ma wyjść, a ociąga się jeszcze, jakby jej trudno było się od tej nędzy oderwać. Pyta w zamyśleniu:

— Niech też mi mama powie... Czy u nas zawsze tak było?

— Co, córuchno?...

— No ta obrzydliwość, to całe wstrętne życie... Czy mama sobie nie przypomina?... Choćby rok, dwa?...

Pani Kalinowska pochyla głowę i milczy. Wreszcie podnosi na córkę wzrok ciężki i surowy.

— Zawsze, córko.

CZYN

Z otwartego na trzeciem piętrze lufcika dobywa się nieludzki już wrzask:

— Karool! Kar-r-o-o-l!!!

Karol ani drgnie. Odziany w długą, z ojcowskiego surduta przerobioną kurtę, pracowicie zmiata do podwórzowego rynsztoka brudną mieszaninę błota ze śniegiem, stopionym szybko przez cudne styczniowe słońce. Sucha, drapieżna twarz, w której nagłem zdumieniem przejmują fiołkowe pod czarnemi brwiami oczy — oczy tak jasne i dziecinne śród tych surowych rysów, iż godzą w patrzącego, jak dwie niebieskie strzały — jest napiętaześrodkowaną uwagą. Ma do niej poważne przyczyny. Nie na to przecież dostaje się od »starego« nowe buty i czyści je »pożyczoną« z »pierwszego« pomadką, by chodzić ochlapany całą niedzielę. Jeszcze taka niedziela! Może dlatego nie podniesie nawet głowy od roboty na ów lecący jakby z nieba w studnię ryk.

— Kar-o-o-l!... Kar-o-o-l!... Smutna — twoja — twarz...

Przez cienkie wargi Karola przewija się uśmieszek i ginie, jak wąż wśród liści. Już widać teraz z ostrożnego łypania ku górze, że słyszy i miarkuje — lecz ręce pracują dalej wprawnie i wytrwale, jakby nigdy nic. Czeka.

— Kar-o-o-l!... Kar-o-o-l... Smutna — twoja — mu-rzyńska — twarz!!...

Otóż to! O to właśnie chodziło! Smutna twoja murzyńska twarz. Szczególniej — murzyńska. Karolowi podoba się to określenie tak bardzo, że za to samo gotówby usługiwać Łaszewskiemu darmo, nie zaś na nigdy niezapłacony kredyt. Przegiąwszy z niebezpieczeństwem nowego kaszkietu głowę, drze się cienkim, mutującym falsetem:

— Słyszęę!... Czegoo!...

Z lufcika wygląda czerwony rozczochrany łeb o ogromnych wąsiskach. Straszny bas huczy na całe podwórko w tonie łagodnego wyrzutu:

— Cóż ty, głuchu jeden, sobie myślisz? co? Że będę dla ciebie delikatne gardziołko zrywał? Sam tu! Piorunem!!

Karol podśmiewa się zlekka. To styczniowe słońce, nowość pewnych części ubrania, a przedewszystkiem cała długa, iskrząca od rozkoszy i niebezpieczeństw niedziela, napawają go wściekłem szczęściem. A to dopiero poranek — tyle, tyle czarownych chwil do wieczora, chwil,

co fruwają obok, jak motyle o tęczowych skrzydłach. Byle rękę wyciągnąć i chwytać! — Usilnie melancholijnym tonem, by drażnić interlokutora, ciągnie wyrazy, jak klej:

— A... bo... niby... co?

Bas dyszy znowu wściekłością:

— A ty, byczy synu, opryszku, zawalidrogo! Takeś kołnierzyki przyniósł!! Świętej niedzieli nie szanujesz, oprawco?! Pójdziesz do Studzieńca, będę w tem, że pójdziesz, synu nieprawości, kołtunie pieroński!! Rypaj, co pary w gnatach, do pralni, pókim ci lampy na łeb nie spuścił!... Czekaj! czekaj!! Stój, koniu jeden, gdy mówię!...

Czerwone lica wysuwają się jeszcze więcej, bas tchnie teraz przyjazną konfidencją:

— Te... Uważ... Jak myślisz... względem tego piwska i serdelków, co? Przyniesiesz?

— Hm... Na gwóźdź?

Głos z nieba drga obraźliwą ironją:

— Nie... za gotówkę... dam ci zaraz rubla do zmiany... Ech, Karol, Karol! nie będzie z ciebie ludzi, boś głupi, synu!

— Jedna dla mnie? To sypię.

— A idź, duszo grzeszna, idź!... Daj folgę nałogowi!...

Karol nie słucha dalej. Sunął z miejsca, jak zastały źrebak, nagle i z fantazją, czując do szpiku kości sprawność swych szesnastoletnich

mięśni. Za bramą dopiero stanął, jak wryty, rozglądając się uważnie w mijającym tłumie.

Tłum, jak tłum — przesuwa się wolno, niby w zwykłą niedzielę na sumę, podobny do olbrzymiego węża o ciągle zmiennych, migocących pierścieniach: rzemieślnicy w surdutach czystych, a wytartych przez zużycie na metal; zdefigurowane matrony, pełne kaczej powagi, niezgrabne, a obfite w plączące się pod nogami potomstwo; dwie panie w wykwintnej żałobie, jak nieoczekiwane na zgięciu alei cyprysy; dalej dziewczęta blade, o bezkrwistych znużonych wargach, stare służące z nabożnie zwartemi usty, urzędnicy, posłańcy, emeryci, całe gromady nurkujących sprawnie między pierścieniami bębnów... Wszystko zlane ciepłemi strumieniami złota, co, nagle w niebie rozbłysłe, śpieszy się całe rozdać śród świata, między te wszystkie twarze, stare i młode, zmarszczone i jak sny dziecięce czyste. Przewija się w słońcu tłum, drga barwami, dyszy jasnem upalnem życiem... Hojne, pańskie ponad wszystkiem słońce.

Karol mruży przed blaskiem rzęsy, jak stary kot, i patrzy badawczo, z uwagą. Serce drga mu radośnie. Bo go nie oszuka ani słońce, ani ów spokój pobożnego tłumu, ani emeryci, ni kucharki — ani mu na połamane latarnie spojrzeć trzeba, by sobie wczorajszy szalony dzień przypomnieć. Dostrzegł już śród fali zniszczone

robotnicze kurty, kaszkiety, na bok z fantazją zsunięte, obojętne, niby zagadane grupki podobnych doń wisielców, nerwowe twarze pod studenckiemi czapkami, oczy napięte w zimnem postanowieniu czynu, prędki szept i słowa ostre, krótkie, jak rozkaz... Rysy Karola drgają słonecznym zachwytem. »Będzie heca! będzie heca!« — drze się w nim radość na całe gardło.

Uspokojony, pędzi teraz do pralni, gwiżdżąc i zaczepiając spotykane wśród tłumu dziewczęta. Zna tu je na swojej ulicy wszystkie, zna dobrze, niektóre nawet »jeszcze lepiej«, ho, ho!... toć przecie albo się wie o swoich fiołkowych oczach i robi z nich użytek, albo można kazać się »wypchać i pomalować na zielono«, jako »szczenię« zgoła pośledniego gatunku. Karol o fiołkowych oczach wie i rozmyśla tylko nad tem, czyby nie zawinąć do środka przydługich rękawów. Oczywiście dla szyku. »Zośka!... Byłem ci wczoraj w piwnicy... frajda, mówię ci... no! A może wiesz z kim, co?... Ha, ha!... Zgadnij!...« Zośka unosi się gwałtownie z oburzenia, ale Karol już daleko.

Właściwie nie ma czasu, a prócz tego... do djabła! co o tem myśleć!... O tem »prócz tego...« Żeby można nie myśleć!...

Mijając brudny parkan ogromnego składu węgli, wsuwa nos między szpary i zagląda gorliwie. Czasem i tu można znaleźć coś ciekawe-

go. Choćby i teraz. Twarz Karola kurczy się nagle, schnie, oczy szarzeją na mat, jak u schwytanego jastrzębia. Z piersi wychodzi lekki, radosny gwizd.

— Ooo!... Kozunie! Kozunie!

Naraz pryska od parkanu, zza którego wysuwa się brodata gniewna twarz pod kosmatem czapczyskiem. Karol wali już wprost do pralni, co pary w nogach. Będzie taniec — zaraz będzie! Czekają już aniołki, czekają... Żeby się tylko nie spóźnić, żeby z lokatorem załatwić na czas!

Mimo pośpiechu Karol nie niesie piwa za jednym zachodem, choć pamięta o niem dokładnie. Przyczyną tej zdumiewającej nielogiczności jest »prócz tego«. Ach, to nieszczęsne »prócz tego!« Jakże go ono irytuje! obrzydłe, wszędzie obecne, cudne, złe, ukochane!... »Prócz tego« ma na imię panna Henia, mieszka z matką w oficynie na drugiem i nie zwraca na Karola śladu uwagi. Ale to absolutnie — śladu. Mówi, naprzykład, z niedbale łaskawym odkłonem: »A, dzień dobry, dzień dobry, Karolu...« i patrzy w okno przeciwnej oficyny, gdzie się właśnie rozpiera ten Borowicz, z medycyny... Albo znowu: »Niech Karol powie mamie, żem gotowa«... i zpoza rozpiętej parasolki uśmiecha się do Majewskiego, z prawa, tego, co to na pierwszem... Bo i cóż ją to obchodzi, że Karol

się wścieka? Ani odrobiny! Nie obchodzą jej nawet oczy Karola, a już zawinięte rękawy i nowy kaszkiet z pewnością najmniej. Rozpacz, — sposobu niema! »Panienka, psiakość!... Myśli, że ją student weźmie — a jakże!« Karol dowiedział się z głęboką satysfakcją, że poza matczyną emeryturką — nic! golusko, jak na pustyni!... »Będą lecieli, myślisz, na miłość — niema!« — konstatował z gorzką niby-obojętnością, ukradkiem spoglądając w jej oświetlone okna z przeciwległej sieni, co zdarzało się prawie co wieczór. Próbował być niegrzeczny, jak tragarz, byle czemś zwrócić na siebie uwagę... biegał z listami na koniec miasta za jeden uśmiech, naprawiał dzwonki, zmienił zdartą słomiankę na nową, by dogodzić — nic i nic. Nie widzi. Zawziął się wreszcie i plunął. »Co mi tam!« Śmiał się nawet, gdy ją spotkał w sieni z Majewskim... Co mu tam! »Mało to się telepie szurgotów...« Raz tylko obruszyło go mocno, gdy właśnie Majewski chciał przezeń posłać liścik na drugie piętro, »byle do rąk, żeby nikt nie wiedział...« Ale go zekpał, no!

Pozwala sobie teraz na jedno tylko szczęście — i ono jest właśnie przyczyną dzisiejszej nielogiczności. Można spotykać kogoś na schodach, zupełnie nienaumyślnie, prawie nie pamiętając o tem, iż się czekało pół godziny, i... I nic więcej. To jest właśnie szczęście. Szczę-

7*

ście ma niepojęte usta, strasznie smutne oczy (jedno najsmutniejsze) i ogromnie wiele dumy, — tyle, iż myśli co najniżej o studentach. Ach, prawda! »szczęście« uśmiecha się jeszcze do obcych tak, że można z bólu oszaleć, patrząc na to. Karol, rozumie się, nie szaleje, bo gardzi głupstwem. Z trudnością nawet przyznaje się w duchu, że jeżeli tak chętnie biega do Łaszewskiego, to dlatego również, że między parterem i trzeciem piętrem leży miejsce na ziemi najpiękniejsze — drugie piętro — gdzie raz na pięć razy zdarzy się ujrzeć granatową sukienkę i obojętne oczy (jedno najsmutniejsze). A panna Henia ma właśnie granatową sukienkę. Dlatego Karol pędza na »trzecie« oddzielnie z kołnierzykami i oddzielnie z piwem, żeby odrobić swoje cztery razy. Bo tylko raz na pięć razy spotyka go szczęście; wyliczył to sobie dokładnie.

A Łaszewski klnie.

Boże, jak ten człowiek wyklina!

Ani mu przez myśl nie przejdzie, że między trzeciem piętrem a parterem jest również i pierwsze z ciemnawą niszą, gdzie można wpaść najniespodziewaniej na »szczęście«, lecz nie samo, a ze studentem Majewskim, tym z prawa. Nic go nie obchodzi także, że kołnierzyki wówczas nabierają olbrzymiej wagi, schody piętrzą się śmiesznie i bezsensownie, a głowa uczuwa

raptem ciążenie ku piersiom. Nie martwi się o to ani trochę. Klnie, aż się rozlega.

— Ach ty fąflu jeden, kulfonie, duszo astrachańska, bedłko cuchnąca i zgniła!! Dam ja ci żarty ze starszego stroić! O zbirze wenecki, gębo kłamliwa, bodajeś własną śmierć przyniósł zamiast kołnierzyków! Ty, kundlu niewierny! Ojcembym ci był, żeby twoja matka za młodu na mnie wpadła... rozumiesz, potworze!!

Ostatni aforyzm nastraja Łaszewskiego nieco lekkomyślnie. Zapomniawszy o gniewie, czeka na efekt dowcipu, niby zmarszczony jeszcze, lecz już pełen śmiechu. Karol milczy. Łaszewski strzepuje palcami z żalem, iż go tu nie rozumieją... Podły los! Zupełnie kwaśnym tonem pyta spokojnie:

— Przyniosłeś?

— Toć pan widzi...

— A po piwo pójdziesz?

— Pójdę.

— Pójdę, pójdę... Złam obie nogi! Łaskę może robisz, czy jak?

— Jaką tam łaskę...

— To czego paszczę drzesz? Patrzcie-no, czekam na kołnierzyki godzinę, a ten!... Wiesz, murzynie, gdzie pan idzie? Do wdowy od frontu na randkę... Niby mieszka od frontu, bo tybyś zaraz myślał... znam cię, wywłoko... A wdowa pieniążków ma... ho, ho, ho!... no i wdzię-

ków też... bardzo, bardzo... I tybyś co uszczknął, niby z rubli, choć możebym i wdzięków nie pożałował... dla przyjaciół, takim człowiek... No, ale co będę dowcip o słup obijał...

Karol ani się uśmiechnie. Czy mu się zdawało w tej niszy, czy też rzeczywiście? Całowali się, czy nie? Schodzi ze schodów ostrożnie, cichuteńko, a zazdrość szarpie mu piersi, jak wściekły pies. Przechodzą w pamięci najohydniejsze wyzwiska, a stosuje je do niej z rozkoszą. »Taka, jak wszystkie« drga w nim ból, a nadzieja, lekka, jak puch, podszeptuje, że już ich teraz nie spotka, że się rozejdą przecie, że go się zawstydzi... Schodzi na palcach, bez szmeru...

A jakże! Są. Są i całowali się napewno — Karol widzi po twarzach i po ruchu, jakim nagle poprawia włosy. Patrzy nań zresztą, jak na pień, jak na lampę... ani się zarumieni. Karol czuje pełne piersi gniewu, i nagle błyska mu głupi, śmieszny projekt natychmiastowej zemsty.

Udając, iż nic nie spostrzegł, przechodzi obok nich do pokoju studenta, niby sprzątać, jak codzień. Dzięki Bogu, kubeł przy umywalni pełen brudnej, zamydlonej wody. Dodać mu jeszcze z dzbanka. Tak. I pixavonu... dla barwy. Karol krzywi usta w jadowitym uśmiechu. Teraz wychodzi się z kubłem powoli, niby do

zlewu, potyka w odpowiedniem miejscu, miarkując, by pomyje zachwyciły możliwie najwięcej z błękitnych studenckich spodni i granatowej sukienki...

U! ciężkie kublisko! Ostrożnie... stopień, drugi... teraz się potknąć... tak... Raz!

Aż sam się przeraził ostrego wrzasku, co się wydarł z niepojętych ustek panny Heni. Jak można tak krzyczeć o sukienkę! Możeby i żałował po niewczasie, gdyby nie radość z wściekłości rywala, któremu nawet rozpaczny uskok nie oszczędził kąpieli.

— Ośle! Bałwanie! Ślepyś?! Bodajeś djabła zjadł!... Nowiutenieczkie spodnie!... Bodajeś...

Karol jest niepocieszony. Skrucha i pokora przeziera z każdego jego ruchu.

— Że też takie zdarzenie!... Tylkom się odrobinę potknął, a tu zaraz... Ale wytrę, na glanc, na suchuteńko... niech się panna Henia nic nie martwi... W try miga wysuszę...

Rzeczywiście nakładem własnej chustki pracowicie ociera granatową sukienkę, wyczuwając pod palcami młode, jędrne ciało z rozkoszą tem większą, iż wydaje mu się jakby wydarta rywalowi. »Chciałbyś, chojraku«, — rozmyśla złośliwie: »aleś nie na frajera trafił... Sam dam radę«. Pogrążony w tej słodkiej, krew do głowy napędzającej czynności, drwi z bezsilnej

złości studenta, który utulić się nie może z żalu:

— Dwanaście rubli, jak jeden grosz, zepsuł — o, hyclu! Nowiuteńkie były, na niedzielę szykowane, jak złoto... bodajeś zmarniał, bestjo dzika! Czyść teraz, czyść! Ślepia ci zawiało?! paraliż cię w kulasach ruszył, czy co?! Wisielec! Parys z podwórka! Poczekaj, powiem ja ojcu!

Karol podniósł się właśnie z klęczek, stwierdzając z serdecznym żalem, jak krótko trwa rozkosz. Cała udana skrucha prysła momentalnie, jak szkło! Rąbie prosto w nos studentowi, akcentując wyrazy z możliwą ordynarnością:

— A bo co? No?

— Weźmiesz rżnięcie, jak Bóg na niebie! Poczekaj!!

— No, a jakbym nie zechciał, to co?

— Milczeć!!

— Oo... żebym się aby nie przeląkł!... Zabija się o głupie spodnie, jakby rubla nie widział... Galant!

Student sunie już ku niemu z zaciśniętemi pięściami.

— Milczeć, Karol, pókim dobry!!

W rękach Karola znowu bulgoce błyskawicznie pochwycony kubeł. Cofa się powoli, z drżącym uśmieszkiem pilnując najmniejszego ruchu przeciwnika.

— A chodź, chodź... tak ci facjatę zamaluję, że najrodzeńsza nie pozna! Chodź!.. . bliżej, lalusiu!... na co czekasz?!...

— A, szczeniaku!

Ostatni wymysł jest już pusty, jak plewa, użyty jedynie celem podtrzymania nastroju, upadającego wobec groźnej postawy chłopca. Ryzykować cały mundur, bieliznę!... Hm, hm... Student chwyta się, jak deski zbawienia, przerażonych okrzyków odciągającej go panny Heni.

— Panie Tadeuszu! Panie Tadziu! Niech pan ustąpi... ja proszę... Co tam... z byle osłem!...

Możliwie najwynioślejszy ruch ręką i sytuacja uratowana.

— Bo i prawda... Z byle osłem...

Karol śmieje się w głos ze zjadliwym triumfem.

— No i czego się rzucał, co? Kto teraz szczenię? Pan student — wielkie mecyje — a też się zlęknie! Nawet mu panny nie wstyd... he, he...

Radość to udana, którą w zarodku truje wzgardliwe, książęce spojrzenie czarnych, najdumniejszych oczu. Schodząc wolno po schodach, unosi je ze sobą w piersi, jak stalowy grot. Nawet mu słów nie potrzeba. »Z byle osłem«... Chłopak zgrzyta zębami i sam już nie wie, czy tam przeważa czar, czy ból, czy gniew. »O mój Boże, mój Boże!... psiakrew!«... — jęczy

w nim głucho. Chce obudzić w sobie owo dawne »co mi tam!« — i nie może. W głowie, jak pijana, plącze się myśl, niby pociecha, niby zemsta: »Pójdę po piwo... do Lodźki«...

Bo Lodźka jest dlań jedyną kotwicą spokoju w tych miłosnych zapamiętaniach. Zaczęło się to między nimi dawno, jeszcze czasu dziecinnej gry »w Berka« w upalne, letnie wieczory. A z pół roku temu, kiedyś, gdy znosili razem towary z piwnicy... Dziwna jest ta Lodźka! Wysoka, szczupła, słabo jak na szesnaście lat rozwinięta, o bladej zastygłej twarzy, w której mienią się oczy o blaskach niepewnych, jak opale. Zamknięta w sobie, sucha, a dla Karola miękka i łasząca się, jak pies. Już w czasie owych podwórzowych gier zastanawiało go zawsze, że ona, rozkazująca nawet chłopcom, poddaje się jego woli z jakiemś dziwnem wylaniem, iż szuka wprost okazji, by mu być posłuszną. A teraz — drży. Gdy mówi do niej, całe jej ciało jest jak rozpalona wibrująca struna, dająca jeden tylko ton rozkiełznanej tęsknoty. Karolowi aż przykro było, nim się przyzwyczaił. Teraz nie myśli o tem nigdy: wie, że ma duszę oddaną na własność, jak rzecz, podwładną, jak rękojeść miecza, i — panuje. Nie on przyjmuje pieszczoty — o nie! On ich udziela łaskawie, z pańską fantazją, jak chce i gdy mu się spodoba; dzieje się to najczęściej z gorzką

myślą o tamtej, jako mistyczna na niej zemsta za odrzucenie. A że się Lodźka całej historji domyśla... ba! cóż jego to obchodzi?

Ponury, jak jesienna wichura, przekrada się do sklepiku tylnem wejściem, omackiem rozpoznając znaną wśród pustych pak drogę. Stanąwszy u drzwi, wyczekuje chwilę na przechodzącą za kontuarem dziewczynę. W odpowiednim momencie pociąga ją lekko za suknię.

— Karol, ty?

— Nie — on... Lodźka! matka jest?

— Wchodź, wchodź... Niema nikogo.

Z rękoma w kieszeniach, gwiżdże obojętnie, udając, iż nie spostrzega jej nagłego wzruszenia.

— Po piwo dla Łaszewskiego... Trzy butelki, na gwóźdź.

Dziewczyna, starając się nań nie patrzeć, przebiera nerwowo tanie koronki przy bluzce. Palce ma długie i cienkie.

— Dobrze. Tylko że matka mówiła...

— Co ci znowu mówiła?

— ...żeby więcej nie dawać...

— To nie dawaj! Proszę się, czy co?

— Karol!... Karol!... Wiesz przecie...

Szybkiemi ruchy stawia butelki na kontuarze. Karol ani spojrzy. Opalowe oczy zachodzą zwolna łzami, jak mgłą.

— Karol! Ja wiem, czegoś ty zły... Karol!

— Czego znowu?

— Że ona, Heńka, z Majewskim... w sieni... Prawda, Karol?

Chłopak sztywnieje jeszcze bardziej. Głosem zimnym, jakby z lodu struganym, pyta ostro:

— To i co?

— Nic, nic...

— Chyba, że nic!

Ach, jak ona żałuje tych niebacznie wypowiedzianych słów! Łzy ściskają gardło tak szczelnie, iż ledwie mówić może.

— Karol, Karol! Nie chodź jeszcze... Poczekaj!... Choć to piwo zabierz ze sobą...

— Do djabła z piwem!

— Karol! Karol... Czego ty?...

Chwyta go teraz za rękaw, zasłaniając sobą drzwi. Nic, że odtrąci ją brutalnie raz i drugi, nic — i ona zna swą siłę. W tem szamotaniu napiera nań całem ciałem, owija go wszystkim żarem młodych piersi i członków giętkich, jak stal, — aż i jego oczy stleją na ciemny szafir, a serce uderzy w pierś mocno, radośnie, jak w srebrny puklerz.

— Karol... Ka-rol...

— Lodźka!... Uważaj... Jak zamkniesz... przyjdź na strych... drugie drzwi... na prawo... Wiesz?

Poprzez gorący war przemykają się myśli

szybkie i błyszczące, jak złota łuska: »Nie ty jedna... nie ty jedna... I ja, gdy zechcę«...

— Przyjdziesz... Lodźka?... Za godzinę...

— Przyjdę... przyjdę... Och, Karol!...

— No, pamiętaj... Puść!

— Nie...

— Puść!

Wydarł się z tego uścisku, jak z płonącego domu. Jeszcze przy wyjściu czepiała się go drżącemi rękami.

— Dajże już spokój... puść!...

— Karol! Aby mi jedno zrób... tak cię proszę... Nie chodź dziś na ulicę... dobrze, Karol? Policji, mówię ci, wojska!... Strzelali od samiusieczkiego rana... No, zrób to dla mnie, Karol...

Spojrzał na nią ze zdumieniem. A to znowu co? Żeby nim baba miała rządzić? Też pretensje! Strząsnął z siebie natychmiast cały miłosny nastrój, jak wiatr strąca pożółkłe liście.

— Zwarjowałaś?

— Nie, Karol... ja tylko tak...

— Właśnie! Języka szkoda!... Piwo dawaj, bo późno. Łaszewski klnie.

Przypomnienie ulicznych rozruchów podziałało nań jak pobudka. Idzie przez podwórze z myślą jasną, jak zalewające je słońce. Dumne »co mi tam« wróciło na swoje miejsce w duszy i, zdawałoby się, stoi w niej wyniosłe i chłodne, niby marmurowy łom. Co mu po

głupstwach, gdy gdzieś tam do kogoś tam strzelali? Gdy, jak wczoraj, można robić wszystko, czego robić niewolno, z niewielkiem nawet ryzykiem kulki w łeb?

»Co mu tam!«... Machając butelkami, kroczy zwycięsko po asfalcie, z pogardą »dla wszystkich tam historyj«.

A jednak!... a jednak... Przechodząc koło pierwszego piętra, nogi same stąpają cichutko, jak po dywanie, a w oczach łyska coś niepewnego, jakby lęk... Niema ich, Bogu dzięki! Tylko dlaczego klucz we drzwiach od Majewskiego nie sterczy nazewnątrz, jak zwykle? Znowu to serce! Czego wali, głupie? Przecież mógł wyjść i klucz zabrać z sobą... Tak, tak, rozumie się... Zresztą sprawdzi później, wracając.

Łaszewski stanowczo dziś niekontent z Karola.

— No i czego się krzywisz, pokrako? Brak ci pieniędzy, a boisz się ukraść? Tak?... Sam, bracie, nie mam, ale dla przyjaciela z pod serca wyłonię... masz pół rubla. Nie chcesz, że ostatni? Szkodzi nic — i tak pożyczony... bierz, jak z ołtarza. Nie? Pół fajgla nie chcesz? Z bykaś spadł?! Uuu... niedobrze, niedobrze... to już widać amory... Nie tłomacz się, bo nie cyrkuł... Toć widzę, jak się między spódnicami plączesz; ze krwi to podobno idzie... Żal mi cię,

chłopcze: masz tu butelczynę, idź z Bogiem, a pij, bo i tak umrzesz...

Karol schodzi po schodach ostrożnie, z namysłem. Boi się tak, iż każdy stopień odczuwa, jak bolesne szarpnięcie. A może naprawdę?... Cicho, cicho... Klucza niema. Skrada się na palcach do samych drzwi... zimne żelazo klamki aż piecze go w ucho. Nic. Cisza. Niema nikogo... Gwałtowne bicie serca, jak dzwon wdzięczności dla losu.

I nagle szelest, jakby sukni, a za nim szept gorący, pełen skargi:

— Nie... ja nie chcę... za nic... Och, mamo!

Karol nie pamięta dalej. Zdaje mu się, że zstępował wolno, zupełnie spokojnie, kurczowo ściskając w dłoni butelkę piwa. Bo szczękanie zębami nie liczy się przecież. Dopiero na samym dole, w sieni, opiera się skrzyżowanemi dłońmi o ścianę i stoi tak długą chwilę. Właściwie nie myśli o niczem. Gdzieś koło futryny drzwi umieścił się pająk i złemi ślepiami patrzy na Karola. Karol również patrzy na pająka. Patrzą na siebie długo, bardzo długo...

Trzymana w drżącej ręce butelka stuknęła lekko o tynk. Prawda, jest przecież piwo! Wprawnem uderzeniem, wedle dorożkarskiego sposobu, Karol wybija korek i, przechyliwszy głowę, pije chciwie, zachłannie, aż do dna... Potem, odetchnąwszy z ciężkiem westchnie-

niem, siada w cieniu na stopniach, z twarzą w dłoniach ukrytą...

Och, nie liczą czasu złe myśli! W pewnej chwili zdaje się Karolowi, że ojciec wrócił z cyrkułu, że woła go nawet... Tak, tak... słyszy wyraźnie klątwy, złączone ze swem imieniem. Po podwórku przesuwa się znowu smukła postać Lodźki... Ogląda się, szuka go pewnie... Niechże szuka! Wszystko jedno — najlepiej siedzieć tak bez ruchu. W ociężałej głowie przesypuje się drobny kłujący piasek z monotonnym szmerem... Sypie się ostry piasek, zamula każdy odruch, odziewa wszystkie myśli beznadziejną szarzyzną...

Karol wsłuchuje się w jednostajny szelest w głębokiem milczeniu duszy. Wydaje mu się czasami, że dźwięki rosną, zmieniają się w jakiś odległy huk, czy gwar, i milkną nagle, jak przywalone spadającym piachem. To słychać znów jakby pojedyńcze wrzaski, śpieszne i radosne... Cicho! Czy to tak w uszach huczy? Jakaś znana, do szpiku kości przejmująca wrzawa, odległy bełkot tysiąca naraz języków... A może to śpiew? Tak, tak, z pewnością nie złudzenie... Śpiewają! W mózgu Karola, jak rakieta, wybucha naraz ognista myśl: »Heca idzie!« Wybuchła i rozprysła się w duszy tysiącem kolorowych gwiazd. Słyszy teraz wyraźnie

spieszne, nerwowe na podwórku kroki i wściekły wrzask ojca »Bramę zamykać! Bramę!!«

Karol zrywa się ze stopni nagle, jak wypuszczona strzała. Na podwórku aż zachybotał się od powietrza i słońca. Stanąwszy przed wejściem do bramy, ogląda się uważnie: furtka otwarta, tylko że ojciec stoi obok z gniewną i śmiesznie przerażoną twarzą, cicho o czemś z Lodźką przegadując. Chłopak sunął prawie mu pod ramieniem, jak wiatr.

— Karol! Karol!!

Ale! Już jest na drugiej stronie. Pałającemi oczyma, które za każdem spojrzeniem sypią, zda się, niebieskie skry, ogląda się wokoło. Robotnicy, andrusi, baby, studenci, chmary brudnych dzieciaków... Tak, tak. Będzie heca na całego, lepiej może, niż wczoraj. Chrapy rozdymają się nerwowo w szybkim oddechu.

— Lodźka! Czego tutaj?

— Tak stoję... Karol, wracaj!...

— Głupiaś!

— Jak chcesz...

— Co tu się dzieje?

— Stawiają coś tam... Na rogu monopol rozbity.

— Dawno?

— Będzie z pół godziny.

— Kozacy byli?

— Aby patrzeć.

Spogląda wgłąb ulicy, zasłaniając oczy ręką od słońca. Rzeczywiście coś stawiają. Wóz przewrócony, dryndа, jakieś kupy wyrwanych z bruku kamieni... Okucie sterczącego w górę dyszla połyskuje, niby armatnia lufa. Któż to ten laluś w rozpiętym mundurze?... A on, Borowicz... Wywija rewolwerem w garści, jak pajdą chleba — chojraka robi! Karol plunął, zdecydowany, że tam nie pójdzie.

Uwagę jego zwraca piskliwy, andrusowski wrzask.

— Walek! Walek! Ciągnij, taki synu, ciągnij!...

Z pięciu chłopa, co jeden, to straszniejszy, nawaliło się na końce powroza, zaczepionego wysoko o telegraficzne druty. Aha — drut, żeby ulicę zamknąć — łapka na koniki. Dobra nasza! Nadzieja fizycznego wysiłku śmieje się do Karola serdecznie. Staje migiem koło jakiegoś draba, co ledwie nań spojrzał krwawemi z wysiłku oczyma, i ciągnie. Ciągnie z całej duszy.

— Ciągnij!... cią...gnij!... Równo!... Raz... dwa...

Gdzieś w górze nad głową zgrzytnęło coś nagle i trzasło, jak mały piorun. Karol leży obok swojego draba i zaśmiewa się, patrząc na jego niezdarne wysiłki. Pijany chyba, bo ledwie wstał, a wyklina...

— Sobaka, nie drut! Cienkie to, a wali chłopem o ziemię, kiej korcem!

I, spojrzawszy na sąsiada, zalewa się nagle nieoczekiwanym, grubym, a dziecinnie wesołym śmiechem:

— Ho, ho, ho!...

Śmieją się teraz wszyscy. Ktoś drze się ostrym, sprytnym głosikiem:

— Co będziem, chłopcy, mordować się po próżnicy!... przyniosę od majstra nożyce, że djabła, nie drut, przetnie! Aby podsadźcie na słup!

— Podsadzim, podsadzim...

Karol czuje, że nic już tu po nim. Ogląda się za nową sprawą.

Znowu Lodźka?!

— Jeszcześ tu?!

— Ulica dla wszystkich...

— Będziesz się czepiać — zleję! Poszła!

— Karol... wróć...

— Odknaj, mówię, bom zły!

Borowicz dostrzegł go wreszcie. Drze się przez całą ulicę:

— Karol! Karol! Do nas tu! Chodź, głupi!

Chłopak odwraca się pogardliwie tyłem. Jak obrót noża w ranie, przeszywa go nagły ból: »A oni teraz... tam...« Czuje niepewne świdrowanie w okolicach oczu, coś, jakby przedsmak łez. Aż zadrżał z wściekłości. »Niech! Niech!

Co mi tam!! Właśnie, psiakrew, co mi tam i już!«

Jest pod Lodzinym sklepem. Babina jakaś, czerwona na gębie, a brudna, jak święta ziemia, podaje sąsiadom wiaderko z cuchnącą, czarną cieczą, w której sterczy olbrzymi pędzel. Piszczącym głosikiem uprasza, jak o jałmużnę:

— A zamalujcie ten szyldzik po jednej stronie, dobrzy ludzie! Samabym zrobiła, ino że nie wiem po której.

— Dajcie-no, matka!

Stojąc na przyniesionej niewiadomo skąd drabince, Karol maże zawzięcie. Góruje teraz nad całym tłumem. Gdzieś niedaleko dojrzał utkwione w sobie czujne oczy Lodźki. Posyła im spojrzenie tak wściekłe, że dziewczyna odwraca się momentalnie. Do djabła z babskiem! Maluje gorliwie, z humorem, nietylko szyld, ale i ścianę, co zachwycić może, ku radości niewybrednego audytorjum. Powodzenie rośnie co chwila; dochodzi wreszcie do zenitu, gdy Karol olbrzymiemi kulfonami wypisuje nad bramą sentencję nietyle sprytną, co nieprzyzwoitą.

Ktoś akcentuje głośno, z głębokiem uznaniem:

— A, szczenię!...

Karol odpala z punktu:

— Hycel, psów szuka!...

Tłumek ryczy znowu. Wieść o napisie obiega sąsiadów: ludzie gromadzą się i przechodzą, a zawsze wyrażając sympatję dla twórcy. Popularność Karola wzmaga się z każdą chwilą.

Lecz on o to nie dba. Od dłuższego już momentu wsłuchuje się w niepewny łoskot, dobiegający z przecznicy. Młode, wprawne zmysły wyróżniają wśród wszystkich hałasów stuk równomierny, jak oddalony tętent. Wzrok Karola nabiera rysiej ostrożności, rozpalona twarz schnie znowu, tężeje jakby w upalnym wichrze. »Kozacy!« Źrenice rozszerzają się, jak w zachwyceniu. Jeszcze chwilka napięcia. »Tak, tak, kozacy napewno!«

Nagle zatrzepotał się na swej drabince rozpacznie, niby schwytany sokół. Uciekać, bo miazgę zrobią! Tyle ludzi! Ostrym, przenikliwym głosem, przerzynającym wszelkie śmiechy i wrzaski, jak stal tnie żelazo, drze się na całe gardło:

— Kozuunie!!... Ludzie, ludzie! Ratujcie sięę!... Ko...zuu-nie!!...

Na tłum spadł moment śmiertelnej ciszy.

I zaraz gwar niespokojny, szarpany, niby gdakanie przerażonych kur.

— Gdzie?!

— Ludzie, ludzie!... Nie wierzcie!!

— Stać!!

— Strąć go tam który, szubrawca! Żarty, psiakrew!!

— Jezusie!... O, Panno Najświętsza!!...

— Stać, stać! Cichoo!!...

— Słuchać!... Słuchać!...

Karol trzęsie się, jak w febrze. Nie wierzą, łotry, nie wierzą! Poginą, bestje, jak psy, a nie wierzą! Przecież już słychać wyraźnie: łup, łup! łup, łup! łup, łup! O, Boże!

— Ludzie, ludzie! Ratujcie sięęę!! psiakrew! Kozuunie!!...

Usłyszeli wreszcie! Och! Jakiś nieludzki, przerażony ryk, ścinający krew zimną grozą. Pochylenie całych tłumów, jak pod ulewnym deszczem, zamęt, zwierzęcy skowyt kobiecy, gorszy od psiego wycia, tupot rozbieganego stada, ostry wrzask deptanych dzieci, ruchy bezsensowne w nagłej dzikości, szał... Później już tylko szybki łoskot uciekających po kamieniach kroków, podobny do olbrzymiego gradu, i okropny, beznadziejny trzask zamykanych bram... Cisza. A od przecznicy szybki po brukowcach tętent i świst dziwny, jedyny w świecie.

Karol patrzy w tę stronę, jak oczarowany. Zapomniał, że jest na drabinie, widoczny, niby gotowy cel. Oślepłym z zachwytu wzrokiem ogląda, nie patrząc, tych kilku, tam koło wozu... Nie uciekli! I Borowicz... z rewolwerem w rę-

ku... Z rozwartych ust chłopaka wyrywa się mimowolna pochwała, o której nie wie:

— A chojraki!... a chojraki!...

Właściwie patrzy tam, w przecznicę. Już, już... Wpadną na nich, jak burza!... Są! Jezus Marjo! To ci pęd wzięli!

Małpiemi ruchami, z oczyma wlepionemi ciągle w jeden punkt, skacze, nie schodzi z drabiny... Czepiają go się u dołu jakieś cienkie, o długich palcach ręce. Prawie nie słyszy skowyczącej prośby:

— Karol!! Nie chodź!!

— Precz, psiakrew!

Odrzucił jednym ruchem, jak snop. Pędzi... Boże, żeby choć zdążyć przed nimi. Nie, nie! Nie zdąży! Wpadli, psiakrew, przed nim! Aha, stanęły koniki, stanęły... ha, ha! Nagły błysk i tuman, jakby gęstego kurzu. Drugi, trzeci... Borowicz strzela, Borowicz! Po co strzela, warjat! Aha — teraz w nogi... W nogi, to w nogi!! Choć pewnie brama zamknięta i tak... Nie, nie zamknięta, Lodźka pilnuje! Dobrze, Lodźka!

— Borowicz! Borowicz! Dymać do bramy! Dymać!

A gdzieś za nimi wściekły, jazgocący wrzask:

— Studenta, studenta dzierży!

Dymaj, dymaj! Jeszcze pięć łokci, jeszcze dwa! Aaa... oparli się aż o ścianę...

— Lodźka! Bramę! bramę! Zatrzaśnij!! Tak!

Borowicz dyszy ciężko, blady, jak trup, ze spoconą, o błędnych oczach twarzą, piastując w ręku rewolwer, jak pieścidełko. Karol patrzy nań z dumnym uśmieszkiem. »Wystrzelał się, widać, cały... he, he...« — kombinuje z odrobiną pogardy.

Nagle uderza weń myśl tak okropna, iż zgina się cały, jakby szarpnięty łuk. Boże! Boże! Co to będzie?! Toć oni swego nie darują... wedrą się tu zaraz... studentów szukać... tak, tak!... Przecie Borowicz strzelał... Boże, jedyny Boże! A ona tam z Majewskim... znajdą razem... sołdaty... jedyny Boże! Błyskawicznie przesuwają mu się przez mózg sceny ohydne, okropne, jak obnażanie świętości... Nie, nie! Za nic! Jaka jest, taka jest, ale te jej oczy dumne, książęce, oczy najsmutniejsze są jego... jego też, Karola... Co robić, Boże, co robić?... »Aaa« — skowycze w nim z bólu...

Szarpie nieprzytomnego Borowicza za rękaw, szepcząc mu wściekle nieswoim głosem:

— Borowicz! Borowicz, psiakrew! Chować się, marsz! Zaraz tu będą... słyszysz? Ojciec puści... Lodźka, nie daj ojcu, nie daj, póki możesz! Słyszysz? Rozumiesz, Lodźka?! Bo nas zatłuką!...

Głos mu się łamie w spaźmie. Konie przed bramą — słyszy! Ciągnie bezsilnego Borowicza,

jak worek, popychając i klnąc głucho, z uszami w bramie.

Dobijają się, dobijają! Aż brama jęczy!...

— Borowicz! Słuchaj, psiakrew! Teraz już po schodach... prosto... na strych! Wal, psiakrew, sam! A cacko oddaj, żeby nie znaleźli... tak! Idziesz, głuchu?! Borowicz, bo strzelę w łeb, jak psu! No, Borowicz!...

Ocknął się, dzięki Bogu — pędzi, aż schody trzeszczą... Teraz do nich! Prędko! Boże, jak ci walą w tę bramę!

Dobija się do drzwi Majewskiego wszystką siłą. Oczywiście, zamknięte z wewnątrz!

— Majewski! Otwierać, cholero łysa! Zaraz otwierać, bo wywalę! Szukają was, słyszysz?!

Łomocze całem ciałem, — można rzec — całą duszą. Zawiasy zgrzytają, jak potępieńcy.

— Otwierać! Duchem, psiakrew!... No, nie zdążę, nie zdążę... Majewski!!...

Ustąpiły. I raptem Karol dostaje uderzenie w bok, aż się zachwiał. Ani go to obeszło.

— Majewski!

— Won, durniu!

— Szukają was... kozunie... zaraz będą... zmiataj, mówię, Majewski!

— Co? Kogo szukają?

— Was... studentów... Borowicz strzelał... Prędzej, psiakrew! — nie słyszysz w bramie,

czy co?! Prędzej! Jak stoisz, na strych... Chować się, prędko!

Zrozumiał odrazu. Już ze schodów pyta drżącym szeptem:

— Klucz?...

— Masz... prędzej! Poszedł!

— Tam Heńka!...

— Wiem, psiakrew, wiem!...

Nie krzyknęła, widząc go wpadającego. Patrzy nań tylko strasznemi, rozpaczliwemi oczyma.

— Panno Heniu! Ubierać się... byle jak... prędko... i do siebie... Byle jak i do siebie!... O Jezu! Już się ojciec z Lodźką bije!... Prędko, bo tu sołdaty zaraz, do siebie... prędko do siebie... no!

Nagle słyszy zwierzęcy krzyk ojca w bramie. Puścił... walą go... Teraz już niema co! Byle zatrzymać jakoś!

— Piorunem, Henia, bo już są! Ubieraj się, Heńka, tak! Prędko! prędko!

W przelocie chwyta studencką czapkę i mundurowe palto, by ustroić się w nie pośpiesznie, już na schodach. Uda studenta — wielkie rzeczy! Nim dojdą, co i jak, — ona będzie u siebie. A choćby i nie doszli... Co tam! Dla niej przecie... Karol jest teraz zupełnie względem siebie szczery, pozwala sobie na to

śmieszne uczucie bez myśli o skrzywdzonej dumie... Djabeł wie, co być może!

Schodzi powoli, nie śpiesząc się, zdziwiony, że ich jeszcze nie spotkał. Słyszy przecie na podwórzu: ludzie, konie... Poszli chyba od frontu, czy jak... Oho! są, są aniołki! Aż im się doń oczy śmieją... Biegną... pędem biegną...

— Student, student! Dzierży!

Otoczyło go pięciu draba; oficer, z gołą szablą w ręku, świdruje go zdenerwowanemi oczkami, a twarz ma czerwoną z gniewu, niby jarmarczna chusta. Karol kurczy się, przerażony, pokorny...

— Wy student?

— Student.

— Strzelali?

— Nie, jam nie strzelał... Tu mieszkam, panie oficerze... Słyszę hałas, schodzę, żeby zobaczyć...

Do ciemnawej sionki przedziera się Lodźka, dygocąca, z oczyma żółtemi ze strachu:

— On nie student! Nie wierzcie mu! Nie wierzcie!! Karol — stróża syn, Karol!

Oficer otrząsa się ze wstrętem, zatykając uszy przed tym wrzaskiem. Syczy przez zęby:

— Precz z babą!

I zaraz:

— Obszukać!

Karol uśmiecha się dziwnie. Ten przeklęty

rewolwer! Że nie rzucił... ech, djabli nadali! Taki widać, los! Nie broni się wcale, bo i po co? Znajdą — zatłuką i tak. Tylko pokorę strącił z siebie, jak brudny łachman.

— Aha! Ot on i rewolwer! Strzelałeś?!

— A strzelałem.

— Jak?

Karol śmieje się szeroko, serdecznie.

— Bo mi się podobało...

— Ot ty jak!! Nu!

Chłopak czuje okropny ból w twarzy i wali się na ziemię, jak kłoda. Myśli jeszcze: »To nic... pięścią...« I zaraz potem coś, jakby biały błysk nad głową...

Z CZWARTEGO PLUTONU

I.

Wywczasy.

— Wstawać! Wstawać!

Nie rusza się nikt, choć słońce przerzuciło już gorący pas poprzez otwarte okno, choć cały zawalony żołnierzami stryszek pełen jest ciężkich i dusznych wyziewów, od których budzący dyżurny aż nosem pociąga i klnie zcicha. Młodość śpi. Rozrzuceni na cienkiej warstwie dawno zbrukanej słomy, ściśnięci tak, iż nieraz we śnie jeden drugiego kopnie, lub łokciem pchnie, aż zęby szczękną, kuląc się od porannego chłodu, śpią chłopcy szczerym, głębokim snem młodości. Złożone na mundurach, na czapkach, lub wprost na tornistrach, krótko strzyżone głowy podobne są do szeregów krągłych kamieni, które jedynie siłą podnieść można; zczerniałe twarze, o otwartych przeważnie ustach, wyrażają jedynie głęboką pracę odżywczą organizmu. Spać! jeszcze spać! — mówią te twarze.

A dyżurny niewywczasowany żołnierz tłucze się, jak senna mucha, po stryszku, wykrzykując co chwila z wściekłością swoje:

— Wstawać! Wstawać! Dokąd was będę budził! Wstawać!

Wie już, że wszyscy słyszą, udają tylko sen, byle choć chwilkę, choć moment urwać z żmudnego dnia. Gdzieś w głębi podnosi się jakaś złota w słońcu szczecina, mruczy coś i opada znowu. A z niewiadomego miejsca dopada dyżurnego obrażone, typowo andrusowskie wezwanie:

— Te, Gieniek! Poszczekaj na swego brata, jak go masz! Dyżurny! Admirał!

Gieniek zwraca natychmiast w tę stronę najwyszukańsze inwektywy:

— Pogadaj mi, Heniek, pogadaj! Jak cię tym butem zdzielę!... Zara mi wstawaj!

Lecz Heńka liczne już głosy biorą w obronę:

— Ale, od samego rana będzie klął! Patrzcie go, durnia!

— Te, komendantowiś buty wyczyścił? Pucer!

— Jak mi tu będziesz po kulasach łaził... Uważaj, noga! Głąbie wenecki! Pokrako!

— Wróć, wróć, kiedy ci mówię!

— Baranie, koniu jeden!

Wiara się budzi. Nikt jeszcze głowy nie podniósł z legowiska, ale oczy już ma większość

otwarte. Właśnie Koszowy, podoficer poza frontem, kadet, pierwszy na oficera w plutonie kandydat i tęgi służbista, słuchacz zresztą genewskiej filozofji, zerwał się, jak batem podcięty, i huknął po swojemu, z ostrą powagą:

— Milczeć mi tam! Co za wrzaski! Wstawać! Raport za pół godziny! Wstawać! po śniadanie z menażkami!

Szerokie, rozlewne chrapanie sąsiada udarło się na ten głos, jak dobrze szarpnięty łachman. Z pod kupy słomy, pledów, ubrania, wyjrzało zaspane oblicze, roześmiane zresztą od ucha do ucha. Oblicze to, do chytrego Buddy podobne, pytało zcicha, migając szelmosko zmrużonemi oczyma:

— Koszowy, Kazik! Przepustki na miasto będą? Co? Czekolady ci przyniosę, papierosów...

Koszowy tylko ramionami wzruszył.

— Przepustki! Dla kogoby nie było, jeśli nie dla wielmożnego Wiatra... Choćby na cały dzień!

— Te, Kazik, nie bądź idjotą, podaj do raportu! Podasz?

Tamten wykrzykuje już swoje na cały strych, nie odpowiadając:

— Wstawać mi zaraz! Dobrowolski, Edmund, Nowina — wstawać! Konrad, czego się tłucze? Ubierać się!

— A bo mi któryś pasek ściągnął! Koledzy, psiakrew! Wezmą najlepszy rzemień...

Huknęły śmiechy ze wszystkich kątów:

— Te, Konrad... A czyj był ten pasek? Komu przódzi zginął?!

— Słuchajcie-no, wiara! Konradowi ściągnęli pasek... ha, ha... Pilnujcie się sąsiady, pilnujcie się na miłość Boską, bo Konrada rozstrzelają!

— Ale, takiego żołnierza! Zębami będzie spodnie trzymał, a szedł!

A Konrad chodzi po kątach, skarżąc się żałośnie wśród powszechnych śmiechów, jako że znany był z chciwości i łacniej cudze wziął, niż swoje oddał:

— Taki mi pasek wzięli, taki rzemień! Niechże was!... I za koronę takiego nie kupi!

Żołnierz ubiera się gwałtownie, szybko, sprawnie. Siaki taki leci już z ręcznikiem na dół, skąd dochodzi wesoły pluskot obficie rozlewanej wody i metalowy stuk artezyjskiej studni. Co szybszy, a większy brudas i żarłok, sprowadził buchającą parą menażkę i ku zazdrości kolegów łyka już partykę komiśnego chleba, gęsto ją tłustą herbatą przepijając. Pod oknem, gdzie, od wyziewów wiary się broniąc, zległy pierwsze dwie »inteligenckie« czwórki plutonu, agronom Dobrowolski, niedźwiedź, słusznie dla łagodności duszy i naiwności oczu »świętym

Alojzym« zwany, budzi kamrata Nowinę, adwokackiego koncypjenta, Wiatrowego kolegę i »mecenasa«:

— Nowina, wstawaj! Wszyscy już na nogach! Raport, wstawaj!

Ale Nowina, zły zawsze, gdy śpiący, zmęczony i głodny, burczy niedość życzliwie:

— Odejdziesz?! Dobrowolsiu, pókim dobry! Wróć, bo zginiesz!

— Wstawaj, Nowina, wstawaj!... Przepustki dają...

— Dobrowolski odejdź! Zginiesz nędznie, Nowina ci to mówi! Zginiesz! A do kroć!!...

»Św. Alojzy« ledwie odskoczyć zdołał, bo zamach Nowinowej pięści był tak potężny, iż go samego na kolana prawie poderwał. Został też w tej pozycji chwilę, podumał, podumał, ręką rozpaczliwie, jakby na koniec świata, machnął, warknął na Wiatrowe dowcipy, jak zły pies, i począł się ubierać leniwie, wśród klątw, zachowując gorącą wściekłość duszy aż do samego śniadania.

Zewsząd już rozlegają się smakowite mlaskania i dzwonienie łyżek o manierki. Niejeden, w grosze co obfitszy, dopycha się bułkami, nabytemi w miejscowej kantynie, »u stróżki«. Sław, mizerny w okularach chłopczyna, dobre, niezmiernej zaś żarłoczności stworzenie, namawia właśnie świeżo zwerbowanego do plu-

tonu malarza Strzechę, aby, wspólnie z nim, wzgardziwszy »herbacianą zupą«, szedł na śniadanie do stróżki.

— Chodźcie! Kawusia, mówię wam, jak złoto... Rogale z masłem, że buzi dać...

Palec podniósł i oczy wytrzeszczył z zachwytu, aż malarzowi kiszki marsza grają z uciechy. Idą przez podwórze, pełne jeszcze półnagich śpiochów, oblewających się w słońcu po pas zimną, jak lód, wodą i parskających, jak młode konie. Po drodze dopada ich przykra wiadomość, szeptana pantoflową pocztą, że »bataljonowy wściekł się«, »zły, jak narwana osa«, i że przepustek niema — fiut! Malarzowi Strzesze aż pociemniały z żalu błękitne źrenice: taką konkietę zrobił w ostatni wtorek, w cywilu jeszcze, a tu o siódmej randka i nic. Bataljonowy wściekł się — bodajto! »Ciężki jest zawód patrjoty« — powtarza w myśli popularny dowcip z melancholijnym uśmiechem.

A w maleńkiej budce stróżowskiej, rozpalonej od całodziennego pod fajerkami znicza, gwarno i rojno, jak w zapusty. Wiara obsiadła stół, komody, łóżka; reszta z parującemi garnuszkami stoi, stłoczona, że się przepchnąć trudno. Gorąc, wrzask, dym, buchająca nad kominem para, nawoływania się i dowcipy, żołnierskie, twarde »wice«! Na pierwszem miejscu, od ognia najdalej, wedle lustra, siedzi — kto?

Wiatr, oczywista. Któżby, jak nie Wiatr. Rozwalił się jak basza, siedm bułek koło garnca kawy zgarnął i prorokuje:

— Słuchajcie, wiara! Idzie ci wczoraj Chmurą — ten długi z drugiego plutonu — do inspekcyjnego: »A to, melduję posłusznie, ząb mnie boli. O przepustkę...« Dali mu przepustkę na rano. Chłop ucieszony, wali jak na bal, do miasta. Najem się mięsa, myśli, papierosów napalę, w cukierni posiedzę fajnie...« Aż tu inspekcyjny. »Dokąd to?« — »Do dentysty, melduję«. — »To po drodze, bo i ja tam«. — Chłop zzieleniał, a tamten z uśmiechem: »Boli?« — »Rwie, komendancie, melduję posłusznie, oj jak rwie...« — Aż się za gębę chwyta. Inspekcyjny pociesza: »Nic, ńic, zaraz dojdziemy, to wyrwie...« — Nasz Chmura ledwie nie pękł ze złości: »Bodaj ci ten ozór wyrwał, bestjo« — myśli. I co powiecie chłopcy? Do samego dłubizęba go dowlókł, przypilnował i Chmurze ząb wydarli z paszczęki, jak gwóźdź ze ściany. Bronił się, o plombie mówił — ale! Wyrwali najzdrowszy, że to czasu niema plombować. Miał przepustkę, co? Cały dzień wczoraj jak struty chodził, inspekcyjnego klął w żywy kamień!...

Wszyscy pokładają się ze śmiechu, niektórzy aż się kawą krztuszą. Są już wszyscy »nasi«, całe dwie pierwsze czwórki, a i z innych wiary dość. Jest Sław i Strzecha, i Dobrowolski cier-

piętnik, i nadęty Nowina i dwaj bracia Topory, paniczyki, i srogi Wampir, co już dwóch rannych ma na sumieniu, i Edmund, i śliczny Malinowski, co robi bronią, jak nikt, jest i Koszowy, i Farys, sekcyjny pierwszej sekcji, przemiły, o żelaznych nerwach i łagodnym spokoju politechnik. A z innych plutonów chmarami! Pije to wszystko, połyka, a śmieje się, a baraszkuje!

Wpada właśnie Heniek, andrus, zecer z Tarnowa, co się przedarł do pierwszego pułku, nie mogąc się innych »dziadów« doczekać. Wpada ze swojem zwykłem:

— No, koledzy. Na ochotnika. Kto mi się da obciągnąć? Prędko!

Otrzymawszy zaś papierosa, już się przymila do panny Józi, dorastającej stróżowej córki:

— Panno Józiu, a kawa dla mnie z kożuszkiem jest? Odsłużę na weselu, choćby własnem! No? Śliczna też panna Józia, jak róża. Będzie kawa, co?

Panna Józia »zrumieniona jak wiśnia« wlewa kawę drżącą rączką, bo z Heńka chłopak, jak świeca. Aż stróżka się uśmiecha, bacznie jednak pilnując, by jej zaś córki z kawą nie zarekwirowali.

Uśmiecha się stróżka i dziwuje się temu wszystkiemu w sercu. Całe bo oto swe nędzne życie przestała przy tym swoim stróżowskim

w monopolu kominie, ogień jej blask z oczu wyżarł, skórę na gębie zczerwienił, wysuszył do cna, praca plecy skuliła, dzieci jej wyrosły wielgaśne, Mateuszowi szron wąsy sprószył, — a takich oto spraw nie widziała. Doczekała się też, Boże mój, doczekała! Przyszło to nie wiedzieć skąd, w siwych mundurach, młodziusieńkie, nie na żołnierzy prawie, a tu Rusy uciekły, wszystkie flachy z monopolką stłukły, samych tych »rużji« napsuły straszną moc i poszły. Przed takiemi młodziakami poszły!...

Ruskie! Moskale! Strażnika teraz, żandarma — ani poświeć; ale, co tam strażnika — sam pan gubernator uciekł, »jeich« starszy pono w gubernji siedzi! Takie to czasy przyszły, takie czasy!... I co to z tego wszystkiego będzie, Matko Najświętsza!... Stoi sobie stróżka znowu przy kominie, gotuje, warzy, na swoich, Józkę i Antka, wrzeszczy, jak zwykle—a w sercu swojem dziwuje się bez miary. Cały dzień ich pełno, tych »strzelców« — jak o sobie mówią — a tyle, a tak różnych, aż się w głowie mąci!... A wszystko to po naszemu mówi, po katolicku, niektóry to się nawet przed kawą przeżegna poczciwie, a co niedziela do katedry ich pędzą, mój ty miły Jezu!... Księdza nawet ponoś swojego przywiedli...

Warzy stróżka kawę garncami, rozgląda się po bezwąsych obliczach, uśmiecha się — i dzi-

wuje. Niektórych, co codzień chodzą, to już zna dobrze. O, pan Wiatr, i panowie Topory, i pan Nowina (zły dzisiaj), i pan Henryk (żeby też sobie dziewucha we łbie nie przewróciła!), i pan Dobrowolski i nowy jakisi z nimi, też z panów widać. Pan Sław, pan Sław, jak ci to zajada, chudziaczek. »Że też matka puściła, Jezu!... Toćby i mój Antek mógł już prawie« — ogląda się za synem, a serce jej matczyne zamiera na chwilę z żalu i przestrachu. »Wystrzelają ich ruskie, wystrzelają...« myśli z goryczą.

Wzrok jej pada na Wiatra — i przywalone żalem zdziwienie znowu podnosi głowę. Pan Wiatr, taki pan! A panowie Topory! A inne! Tacy panowie! Te koszule, co Józka jeim prała, czysty jedwab! Stróżka dobrze rozumie, że nie wszyscy ci żołnierze są sobie równi: uczone są i proste, panowie i zwyczajne miejskie. A przecie dla wszystkich na jedną biedę wyjdzie. Jak ci to kiedyś taki z czerwonym sznurkiem oficer pana Topora skrzyczał przed frontem! przed wszystkimi żołnierzami! Rany! Józce to aż łzy w oczach stanęły (za miękkie ma dziewucha serce, za miękkie!). I po co to im było iść? Nic stróżka z tego nie rozumie... Z dobrawoli, mówią, idą, płacy nie biorą żadnej... Ruskich, mówią, bić idą, śpiewki nawet takie śpiewają wieczorami... »Ale, pobije tam Rusów! taką moc sołdatów i tych armat, i wszyst-

kiego! Tyle co się zmarnują chłopaki« — wzdycha smętnie przy kominie.

A Wiatr właśnie drugą kawę dopił i pięknie się o trzecią doprasza.

— Jeszcze kawy, jeśli pani łaskawa, — mówi, a gębą jak młynem bułki ściera. »Jeśli pani łaskawa«, powtarza sobie stróżka z rozrzewnieniem. I nalewa odrazu dwie kawy, bo widzi, że przez podwórze prosto do budki wali taki z czerwonym sznurkiem. »Oficer« — myśli z mimowolnym szacunkiem.

— Cześć kolegom — uśmiecha się oficer, wchodząc w ten młody, zadymiony, serdeczny gwar.

— Cześć! Cześć! Niech żyje Młot! Niech żyje! — wołają liczne głosy, bo oficer lubiany jest przez wszystkich. Usuwają się, miejsce mu wygodne robią, choć się od tych grzeczności uchyla, rękami i słowem broni.

— Dajcie spokój! Kawy, pani, prędko! Zbiórka zaraz — dodaje.

Nowina tylko oczyma łysnął wściekle.

— Pali się im u djabła! Zbiórka... w pełnym rynsztunku, co?

— W pełnym. Tylko Wiatr jeden na sucho, w meloniku, z laseczką.

— A jakbyście, Młot, wiedzieli, że mi tornistra na ćwiczenia szkoda — stwierdza Wiatr obojętnie.

— A jak prosto z ćwiczeń wymarsz?

— Ale... Toby oficerska habenda została? Niema strachu.

— Nibyto nam dużo, niż szeregowcom, lepiej... — ironizuje Młot z mimowolną melancholją.

Wiatr aż się zaperzył.

— Bo się urządzać nie umiecie! Byłem tu kiedyś w innym bataljonie: obiad oficerski w sali, kwiaty na stole, krupnik, drogi panie, sztuka mięsa, pieczeń, legumina... Skąd wszystko? Bo jeden żonaty — i żona w sanitecie. Ożeńcie się, Młot, choćby jutro: kobiety w bataljonie brak... Sama kawalerja bez ostróg: język z głodu gryzie, śliną popija... Niech tylko zostanę oficerem...

— Tu, tu mi włosy wyrosną, nim zostaniesz! — puka uprzejmie w dłoń Nowina.

— Wiatr? Jenerałem marynarki w Krynicy... za gorliwość. Sam mianuję... — dochodzi z przed drzwi uprzejma nominacja.

To sierżant Kos, matematyk z fachu, wyrzuca z duszy zgryzotę, iż oto paru centów na głupią kawę nie ma. Za dumny, żeby przyjąć pożyczkę, skubie, oparty o futrynę, szorstką, przez niegolenie nabytą brodę, wdychając wściekłe z nad komina zapachy z westchnieniem.

— Zobaczycie, że zostanę, prędzej od was.

Do Warszawy z czerwonym sznurkiem wejdę — zapewnia Wiatr spokojnie.

— Ale, kolega Wiatr? Tylko papierosa da, to zostanie — łasi się Heniek.

Naraz wpada jak bomba do budki sanitet Wójcik, »faktem jest« zwany.

— Zbiórka, koledzy! Zbiórka! Kawy prędzej! Faktem jest!

Siaki taki porwał się coprędzej i za drzwi, a Wójcik, wyczekawszy, aż się złuźniło, i zająwszy wygodne miejsce, poprawia:

— Zbiórka, koledzy, ale za chwilę. Za 5 minut, faktem.

— Bodaj ci się rycynus w kieszeń wylał, koński doktorze! — gnębi go dobrodusznie Nowina, w lepszym już po śniadaniu humorze. Ale Wójcik ułapił już gar kawy obiema rękami i o świecie bożym nie pamięta. Nawet Wiatr, wygodnie papierosa kurząc, z podziwem na Wójcikowe hausty spogląda:

— Ma spust — mruczy.

W tej chwili wpada Koszowy.

— Zbiórka! Zbiórka! Pierwszy pluton już stoi! Wiatr! Nowina! Alojzy!

Budka opróżnia się momentalnie. Nawet Wójcik porzuca niedopitą kawę z bolesnym wrzaskiem: »Zmarnuje się, faktem jest! Tyle kawy!« Na obszernem podwórzu rumor i bieganina. Wiara wyciąga z kwater karabiny, tor-

nistry; leń jakiś, co ze śniadania nawet dla snu zrezygnował, śmiesznemi w małpiej szybkości ruchami pakuje się w pomięty mundur; siaki taki z ustami wypchanemi bułczyskiem doprasza się niezrozumiale, a pokornie: »Przypnijcie też, koledzy, menażkę; przypnijcie, tam pasek wisi...« Szuka każdy, dopada swego miejsca — i jakby w ziemię wrósł. Stoi już Farys sekcyjny, stoi Nowina, stoi gorliwy rekrut Strzecha, stoją Topory, Dobrowolski, jak zwykle w samą porę zjawił się Wiatr z tornistrem leciuchnym, jak jasiek, stoi cała plutonowa wiara z Koszowym na przedzie, który, z surowo ściągniętemi brwiami, stał się odrazu uosobieniem władzy sprawiedliwej, lecz ostrej.

— Równaj w praa-wo! Sław, równaj! Pierwsza czwórka, druga czwórka... Na ramię... broń! Baaczność! Spocznij! Konrad, ja ci tu pogadam! Postoisz mi godzinę na baczność! Bacz-ność! W lewoo-patrz!

Raporty: Plutonowy, kompanijny, bataljonowy. Czwórki, w prawo zwrot, marsz! Cały dziedziniec jak ruchome mrowisko: ci stoją już, ci idą, ci na miejscu trzymają tempo miarowem uderzaniem podkutych butów. Do nogi broń! W jakiejś kompanji słychać ostry wrzask bataljonowego: »Wróć! Kompanijny!« Mycie głowy oficerom, niższym szarżom i żołnierzom. »Do nogi broń! Wróć! Do nogi broń! Wróć!!

Wystąp! Dwie godziny karnej warty! Karabin masz w garści, nie kłonicę! Wróć! Na ramię... broń!« Wszystkie twarze jak skamieniałe, zastygłe w bacznej uwadze. Ruchy miarowe, automatyczne, jakby jednego człowieka. Oficerowie z gołemi szabliskami pochmurni, jak pojmane sępy. Po długich wrzaskach upragniona komenda: »Czwórki w prawoo... zwrot! Bataljon... marsz!«

Wreszcie! Długie dudnienie na mostku, potem już tylko miarowy łomot na obrzydłych miejskich kamieniach. Wiara trzyma tempo, wobec wyległej ludności, jak na paradzie. Głowa do góry, piersi naprzód, sprężysty dziarski krok: raz, dwa!... raz, dwa!... Ani karabin szczęknie, ani kto parę z ust puści...

Za miastem dopiero komenda: »Otrąbiono!« Palić wolno, rozmawiać — zaraz też rozpoczynają się w szeregach zwykłe gawędy, baraszkowania, prześmiechy. Zupełnie już rozczmychany Nowina przekpiwa idącego przed nim piechura z innego plutonu, któremu przy każdym kroku wyziera coś białego z podartego munduru, jak z ciągle rozwieranej gardzieli:

— Mularczyk! Kolego! A założcie tam hotel »Belle Vue«, bo wrota już macie gotowe!

— A może to tylko dla szyku? Ein Ventil-Überzieher!

Buchnęły śmiechy, aż się Mularczykowy sekcyjny zasromał.

— Mularczyk, głąbie! Zaszyłbyś dziurę, czy jak... Wstyd dla całego plutonu!

Mularczyk maca owo miejsce z niechęcią.

— Zaszyłbyś, pewnie... — mruczy — z apteki sukna pożyczę... Mundur cały, jak sito, djabli! — spluwa ze złością.

— Bacz-ność! Stój! Pierwsza kompanja — marsz!

Rozchodzą się oddziały w różne strony, co równiejszego terenu upatrując. Rozpoczynają się zwykłe ćwiczenia kompanijne, każdemu już, jak własna kieszeń znane, nudne i ciężkie. Słońce wzbija się coraz wyżej, już gdzieś nad głową praży, siecze promieniami, jak rozpaloną rózgą. Sucha szczecina ściernisk łamie się pod nogami przechodzących oddziałów z sykiem, przydrożne i w rowach trawy wydeptane, jak przez tabuny koni.

— Pluton! Bacz-ność! Kawalerja z lewej strony! Z lewej, psiakrew! Salwa! Raz! Ładuj! Salwa raz! Markować strzały! Heniek, głuchu, salwa!

A gdzieś z boku dochodzi wściekłe:

— Trzeci pluton! Baczność! Kierunek tamta kępa! Odstęp zwykły! W tyraljery! Biegiem!

Słychać głuchy stęk ziemi pod butami i raptem łomot, jak upadek. To »padnij!« I znowu:

— Celownik — osiemset! Paczkami! Paczkami! Bezpiecznik! Biegiem!

Z żołnierzy spływa gorący pot, wszystkie twarze pochmurne i zacięte. Ciężki grzmot tornistrów w biegu, jak ciągłe na plecach urąganie; kolana, łokcie, lędźwie — utytłane w kurzu, w zieleni rozgniecionego zielska. Od ciągłego ruchu w brzuchach skwierczy, jak na patelni. Kiedyż koniec tej zabawy?

Wreszcie, dopiero coś koło 10-tej upragnione: »Spocznij!« Ciężkie westchnienie »a a a...« przelatuje po szeregach z ulgą. Żołnierze kładą się na tornistrach, tyłem do słońca, oficerowie gwarzą, siadłszy na ziemi w kółko, po turecku. Wyjeżdża na świat Boży czekolada, kawałki pomiętego w kieszeniach sera, zeschłe pajdy komiśnego chleba. Każdy obdziela swoich, co bliższych sercu, wedle ustalonego zwyczaju. Po kwadransie bierne zmęczenie ulatnia się z młodzieńczych ciał, jak kamfora. Podnoszą się czapczyska z nad tornistrów, siaki taki bębni nogami dziarskiego marsza, aż dudni.

— Satyr! Bataljonowy jedzie! Patrzcie jak to sadzi! Bataljonowy!

— Niech żyje Satyr! Niech żyje Satyr! Niech żyje!

Powitanie przeniosło się po kompanjach, jak grzmot. Biały konik tańczy przed szeregami, jak na popisie; bataljonowy pozdrawia

swoją wiarę z twarzą jasną już jak słońce. Ani śladu złego humoru! Wie, że mimo surowości i wrzasku, kochają go i wierzą mu żołnierze i dumny jest z takiego powitania. Przystanął przy naszym plutonie:

— Chłopcy! Ćwiczenie bataljonowe! Nieprzyjaciel w tamtych domach, armaty na wzgórzu! Wziąć mi szturmem! Oficerowie giną na pierwszych pozycjach, podoficerowie na drugich. Prowadzi pierwszy zastępowy i żołnierz!

— Wiwat! wiwat!

W to nam graj! Ulubione ćwiczenia, gdzie można wykazać trochę samodzielności. Rozlega się miarowy głos Koszowego:

— Pluton, zbiórka! Równaj w pra-wo! Bacz-ność! na ramię — broń! Czwórki w prawo zwrot! Marsz!

— Poczekaj, Kazik, bestjo — mruczy Wiatr — zaraz zginiesz! Ja prowadzę!

— Cicho mi tam w szeregach! — uśmiecha się Koszowy.

Wystawiono patrole, ruszyły kolumny, rozsypała się wiara po polu, jak groch. Każdy pluton robi swoje, sprawnie, cicho, znakami tylko komenderując, bo ze wzgórza przecież imaginowane armaty grają. (Niedługo na prawdziwe czekali!) Oficerowie już w pierwszych rowach zostali, podoficerowie zlegli na drugich pozycjach.

Farys stoi przed frontem, Wiatr głowę do góry zadarł, znaku czeka. Naraz poderwał się, ręce jak ptak rozłożył, na kępę drzew wskazał — i biegiem. Zerwała się wiara, karabin w garść, leci. Padnij! »Celownik dziewięćset! Szybciej strzelać! Szybciej strzelać!« biegnie wzdłuż tyraljerskiej linji, »Bezpiecznik... bezpiecznik... bezpiecznik...« Znów Wiatr ręce rozłożył — biegiem! Jakaś leżąca przed nimi linja dodaje w biegu: Celownik — osiemset... osiemset...« Poderwali ją, padli znowu! »Szybciej strzelać! Szybciej, psiakrew, strzelać!« dochodzi z boku od Wiatra. I znowu: biegiem, biegiem! Serca tłuką, jak młoty, wzrok utkwiony w nieprzyjaciela. Na czterysta kroków od wzgórza parów. Krótka narada z Farysem i pierwsza sekcja skrada się dołem po błocie na prawo. Później jakieś strumienie, mokre łączki — Wiatr prowadzi. Bagnet na broń! bagnet na broń! Serca drżą. I nagle gdzieś z boku wściekłe hurra! jak tatarskich zastępów, tupot nóg, szczęk broni, łomot tornistrów... Hurra! hurra! Lecą jak oszaleli, sadzą olbrzymiemi skokami, jak tygrysy... Hurra! hurra! drze się Wiatr, że mu ledwie żyły nie pękną. Hurra! hurra! wrzeszczą Topory, i Sław, i Strzecha, i Nowina, i Farys... Bagnety skrzą się, jak srebrne, lecą, naprzód, naprzód... stop!...

— Któż to tam z boku? Ki djabeł! — pyta bataljonowy ze wzgórza.

— Wiatr, starszy żołnierz! »Pierwsza sekcja...« odwrzaskuje Wiatr skromnie.

Bataljonowy podjechał bliżej.

— Dobrze, Wiatr, dobrze... Tak trzeba! Z parowuście skorzystali, co? Tak, tak, z boku psubratów...

I odjeżdża do innych oddziałów. Wszędzie zachęta, gdzieniegdzie pochwała, przy jednej tylko kompanji wrzaski niesamowite: jakiś zdezorjentowany pluton... Wiara dyszy teraz ciężko, poprawia tornistrów, ładownic, a gada, gada!... Każdyby poprawiał atak, każdy rozumienie ogólnego planu przedstawia. Wiatra otoczyli kołem, winszują mu pochwały, aż poczerwieniał z uciechy. »Co tam Wiatr! ja was poprowadzę naprawdę do zwycięstwa!« chełpi się Nowina. »A tamten pluton? słyszeliście? martwe pole — a ci walą, walą, jak psu w ogon! Aż im łącznika przysłali z gębą! To ci osły!« — »Co tam! Ale na obiad krupnik, wiecie? Krupnik« — mlaska językiem przemęczony Sław.

Znowu zbiórka, pluton za pluton zachodzi, kompanja za kompanję. Wszystkie miny dziarskie, wesołe, choć niejednego mundur jak tygrysia skóra plamisty od potu. Krok biorą duży, szybki, bo to na obiad. Każdy już czuje w ustach przedsmak gorącego krupniku, nie-

wymownej rozkoszy. A tu jeszcze kompanijny wreszczy po szeregach:

— Chłopcy! Piwa czy kiełbasy? Bataljonowy pyta — za ćwiczenia!

— Piwa z kiełbasą! — drze się Heniek, a cała kompanja podtrzymuje jednomyślnie:

— Piwa! piwa!

— Będzie piwo! Chłopcy! przez miasto z szykiem! Wolno śpiewać!

We wszystkich aż serca rosną. Obiad będzie, piwo; bataljonowy zmiękł — może i przepustki się znajdą. Wiatr już przyjmuje sprawunki do załatwienia.

— Koledzy! Idę do miasta wieczorem. Kto ze mną?

— Takiś pewny! pójdziesz, chyba z rontem...

— Jakbyś wiedział: w służbowej sprawie. Mogę i drugiego zabrać, Grom mi kazał.

Strzecha ledwie się z szeregu nie wyrwał.

— Mnie weźcie. Wiatr, mnie! Taką mam ważną sprawę! — a samemu oczy, jak wilkowi rozbłysły na myśl o swojej konkiecie. — Wiatr! weźcie! randkę mam! — szepcze.

— Strzecha idzie — decyduje Wiatr.

— Ale, patrzcie go! Wiatrzysko już protekcji udziela po ćwiczeniach... Zdumniał, psiakość! Komendant ślepej roty! — dogaduje Nowina.

— Nowina, wróć! Nowina, wróć! — biorą Wiatra w obronę. Wiadomo, że jak Wiatr pójdzie, to cały pluton będzie miał tytoń i czekoladę na tydzień.

Ktoś potknął się na wystającym kamieniu. »Padnij«, — komenderuje cały pluton wśród śmiechów.

Gdzieś na przedzie rozlegają się już dźwięki narodowej piosenki. Podtrzymuje ją sekcja za sekcją, szereg za szeregiem, przelewa się już pieśń po kolumnie, jak płomień. Odbijana taktem butów na brukowcach, wzmaga się, rośnie, tężeje jak grom.

Panie poruczniku, prowadźże nas dalej,
Bo my chcemy dzisiaj jeszcze szturmować Moskali,
Szturmować Moskali!

Bucha pieśń radością, młodem, żołnierskiem weselem! »Szturmować Moskali, szturmować Moskali! — wykrzykuje Nowina, ledwie mu gardło nie pęknie. A Farysowi oczy błyszczą, jak kotu na sperkę; dziw, że się oblizywać nie zacznie. »Żeby tak, żeby...« — mruczy żałośnie głodny Sław — »stoimy tu już tak długo...« »Jest ich dosyć, nie bójcie się i dla nas starczy« — pociesza Koszowy.

A piosnka grzmi:

Moskalu! Moskalu! Ty pogańska duszo!
Maszeruje oddział strzelców, na proch cię rozkruszą!
Na proch cię rozkruszą!

A spokojni mieszkańcy wylegli, patrzą się, słuchają. Babina jakaś podaje nieśmiało przez płot parę jabłek. Ale! śpiewają, nie widzą nic. Chyba tę panienkę, co z balkonu chustką wieje, aż jej się oficer odkłonił. Zadzierają się w pochodzie wszystkie głowy, uśmiechają się wszystkie twarze. A piosenka rwie, jak wezbrany potok.

Na proch cię rozkruszą!
Na proch cię rozkruszą!...

Rzucili tę, podjęli inną, jeszcze weselszą, jeszcze większej radości pełną. Przeszli przez miasto, znowu na szosę wrócili z drugiej strony, a pieśni grzmią jedna za drugą, jedna za drugą, i dumne, i wściekłe, i swawolne, pełne prostej, dziecinnej pustoty...

Aż oto gdzieś, przy samej już kwaterze, urwał się nagle śpiew, jak szablą ścięty. Ani wiadomo, kto pierwszy przestał. Krótka komenda: »Bacz-ność! Biegiem!« i oto wszyscy, cała długa kolumna cwałuje już ciężko po mostku, nic z tego rozkazu nie pojmując. »Co to znów za dowcipy!« — mruczy wściekły Nowina — »Po ćwiczeniach i znowu biegiem?!« Huczy ciężko wysłany kamieniami gościniec, każdy pluton pędzi do swego legowiska.

Przed stryszkiem stoi już Alojzy-Dobrowolski w pełnym rynsztunku.

— Te, uferma! Cóż ty tu robisz? — pyta Nowina w biegu.

— Wyruszamy. Alarm!

Nowina aż stanął.

— Co takiego? Wyruszamy? — i zrozumiawszy nagle, gwizdnął przeciągle — fiuuu!

A obok Alojzego zebrała się naraz cała kupa luda.

— Ale! Wyruszamy? Na Moskala?

— Wyruszamy.

— Dobra nasza. A obiad?

— Wylali. Już kuchnia spakowana.

— Wylali... — jęknął Sław.

Wszyscy pędzą na górę zbierać zostawione rupiecie. Wśród rozrzucanej na gwałt słomy klęczy zawodzący żałośnie Wiatr:

— Niechże to djabli! Puściuteńki tornister, nicem nie wziął! Pomóżcie, koledzy, spakować, pomóżcie, na litość Boską! Bo zostanę!

Koszowy pomaga mu, dogadując:

— A widzisz, Wiatr! A mówiłem! Wszystko wygoda, komfort, nic na plecach — a teraz co? — i zwracając się do wszystkich:

— Chleba nie zostawiać! Brać, brać! Obiadu niema już.

Co szybsi wypadają na podwórze, i do stróżki. Żeby choć kawy łyknąć przed marszem, bułek wziąć! Gorliwy Strzecha czerpie mleko z otwartej dzieżki, a po każdej szklance

wzdycha z ciężkim żalem: »Nic z randki. Jak pech, to pech!« I znowu pije, na zapas. Józka nalewa mu do manierki, rycząc gorzkiemi łzami, aż go dziw zbiera.

— Czegóż panienka?

— A bo... panowie... idą... Pan Wiatr... pan Farys... Koszowy... i pan Heniek... uuu!...

— Nic, nic, wrócimy!...

— Nie wrócą panowie... nie!... pan Heniek... uuu!...

Widząc, że tu się nie dogada, chce płacić ponuremu Antkowi, co wsparty o futrynę, patrzy na dziedziniec z tęsknotą... Ale! żachnął się tylko, nawet rąk z kieszeni nie wyciągnął...

A stróżka, sama stróżka, wpadła w jakiś żałosny szał. Rozcierając łzy brudnym fartuchem, rozlewając mleko w manierki i na podłogę obficie, nawet sobie o płaceniu mówić nie da, a wrzeszczy jak opętana:

— A bierzcie mleko, moje panowie kochane! Wszystko bierzcie: i ser i bułki... Już ja was nie zobaczę... Józka, panu Sławowi, panu Sławowi! Niech też was Bóg prowadzi, Panna Najświętsza! Antek, gamoniu! bułek tu dawaj, bułek! Żebyście też zdrowi... uuu! mój słodki Jezu! Antek, niech też pan bierze! Daj wam Panie Boże! Niech też was Pan Jezus...

— Zbiórka! Zbiórka! — rozlega się wściekły wrzask Koszowego.

Strzecha chwycił bułek w dwie garście i pędzi na swoje miejsce, bo już wszyscy stoją. Ledwie dobiec zdążył — baczność! Wysunął obie ręce w tył i prosi się, aż pot zeń ścieka: »Bierzcie, koledzy, bierzcie, na Boga! — bo niechby tak teraz »Do nogi broń!« Z bułkami!

Śmieją się z tyłu półgębkiem, bułki wydarli, dobrze, że nie razem z palcami! A tu już raport, czwórki w prawo zwrot, marsz i znowu: stój! spocznij!

— Podobno Moskale podchodzą... Wiecie? Będzie bitka! — śmieje się Farys radośnie, a cicho.

— Bogu dzięki. Nareszcie! — ściska Topór karabin z rzewnością.

— Damy im bobu! No! — chełpi się Konrad.

— Wiatr!! A ty skąd bułki wziąłeś? — dziwi się ktoś opchanemu formalnie pieczywem Wiatrowi.

— Nie! Będę, myślisz na Moskala głodny chodził! Na takie święto — właśnie!

— Na Moskala! na Moskala! — dzwoni w szeregach. Zapomnieli już o obiedzie, o piwie obiecanem, o zmęczeniu. Na Moskala! Nareszcie! — cieszy się cała wiara. Prędzej już! prędzej!

— Bataljon, marsz!

Zakołysały się pierwsze kolumny, ruszyły! Pierwsza kompanja — marsz! Druga kompanja — marsz! Dudni przed koszarami mostek, wyległa płacząca z dziećmi stróżka... Wszyscy zniecierpliwieni. Ruszaj już! Nareszcie:

— Pluton — marsz!

Poszli.

II.

W marszu.

Rozciągnięty jak wąż, łyskliwy od niesionej broni, przemierza pułk żołnierskim krokiem polskie pod Moskalem drogi. Jak okiem na zakrętach sięgnąć, wali polski żołnierz, bataljon za bataljonem, kompanja za kompanją, pluton za plutonem, wlokąc za sobą długi łańcuch trenu. Tysiącami podkutych nóg zbita, na miał rozkruszona ziemia owija cały ten pochód tumanami pyłu, długo jeszcze po przejściu w zadumie stojącego. Ucho tak przywykło do jazgotu żelastwa, chrzęstu skóry i tupotu nóg, iż nie słyszy ich już wcale. Ledwie tętent przebiegających tam i sam adjutantów sztabowych lub powracającej z wywiadu konnicy, wlewa nieco życia w ten jednostajny, nakazem wymierzony ruch.

Wyruszył pluton coś koło czwartej rano, a teraz już piąta popołudniu. Ciężki tornister z nabojnicą wygniata plecy, straszny słoneczny

spiek wyżarł wszystką siłę w kościach, miałki, duszący pył wypełnił płuca, usta, nos i uszy, wgryza się w każdy szmat odkrytej skóry, czarnym śniegiem osiadł na wąsach, brwiach, włosach... Z pod wygniecionych czapek raz wraz ściekają strugi brudnego potu nie na czoło już, lecz za kołnierze: nikt się nie obciera, bo ciągleby ręką machać musiał... Idzie oto jak nakręcony sprężyną »raz, dwa! raz, dwa!«, porusza nogami, jak czemś obcem, zgoła do własnego ciała nienależnem. Na »spocznij!« całe szeregi kładą się na ziemi jak powalone. »Póty stoisz, póki idziesz« — mimowolna zasada organizmu. Przed południem siaki-taki, w wiedzy wojskowej co uczeńszy, obliczył chytrze spoczynki na regulaminowych zasadach: pierwszy za dwie godziny, drugi za godzinę, trzeci znowu za dwie, potem obiad... Ale! Śmieli się też wszyscy z mądrali, gdy spoczął dopiero w południe, a na obiad mógł chleba czarnego zjeść z serem, jeśli go miał... Szedł już potem i nie obliczał nic zgoła; zrozumiał wreszcie: forsowny marsz — żadnych pieszczot, ani żartów!

Wszystkie głowy w plutonie spuszczone, wszystkie twarze pochmurne i złe. Kilku słabszych, o niepewnem sercu i żołądku, zostało, by się gdzie do trenu przyczepić. »Marody!« — klnie z pogardą komendant kompanji, przezwiskiem Suchy. Reszta idzie. Idzie z zaciętemi nie-

raz zębami, o każdym kroku myśląc z przerażeniem, że to może ostatni, że padnie, idzie jednak — bo jakże! zostać maruderem, shańbić się przed całym plutonem, przed kompanją?! Żołnierz, co zostaje w rowie po głupich stu kilometrach w półtrzecia dnia?! A nie! od czegoż ambicja! Każdy odrzuca pokusę i idzie dalej. Idzie, idzie, idzie... Jeden tylko sekcyjny Farys, słuchacz lwowskiej Techniki, głowę trzyma do góry i kroczy z prawego boku lekko i równo jak na paradzie. Niewprawny rekrut Strzecha, malarz, co przejął się był rzymską sentencją »Inter arma silent Musae«, patrzy nań z uwielbieniem i zawiścią: toć Farys nawet czyści mundur szczotką na postojach, gdy inni leżą jak barany. Jak to maszeruje, bestja! Strzecha czuje, że już nie może dalej, że »niech się tam, co chce, dzieje«. Nie zważając na złe pomrukiwania trącanych sąsiadów, przesuwa się ku Farysowi.

— Farys! Farys! Nie ujdę dalej!

Ładna młodziuchna twarz Farysa wyraża szczere zmartwienie:

— Dajcie, Strzecha, spokój! Ujdziecie! To tylko z początku. Pod Skałą było gorzej... Idźcie, proszę!

I Strzecha idzie dalej, jakby mu ten łagodny, współczujący głos siły dodał.

Z drugiej strony szoruje służbista Koszowy,

absolwent genewskiej wszechnicy, podoficer poza frontem, kadet, pierwszy w plutonie do czerwonego sznurka kandydat. Zły dziś jak osa, bo mu się nie udało na postoju mleka dla swoich chłopców dostać, a w dodatku Wiatr i Nowina, krakowscy prawnicy, »zmarodowali«. Z pierwszej czwórki, słyszane rzeczy! Inteligenci, kandydaci na sekcyjnych! Służbista Koszowy poruszony jest do głębi duszy. »Panienki!« mruczy: »iść, draby, nie mogą! Wygodnisie, angielskie pieski!« Przypomina mu się zamęczona żałosna mina Wiatra, gdy się meldował, lecz budzi tem większą zawziętość. »Skonaj, a idź! Twój żołnierski obowiązek! Każdemu ciężko!« — myśli, poprawiając tornister na obolałych plecach, na których prócz własnej habendy z dobrej woli dźwiga jeszcze »smakołyki« dla swoich chłopców. Ma tam tytoń, choć sam nie pali, ma czekolady trochę, sera, trzy jaja na twardo... Chowa je na ostatni koniec, dla najsłabszych... Tymczasem wrzeszczy, groźnie zmarszczony, bo w szeregach powstała jakaś kłótnia.

Słychać piskliwy dyszkant Bielewicza, benjaminka plutonu, co to »mówi o sobie, że ma już siedemnasty«:

— Odejdź, Edmund, bo jak cię strzelę! Widzisz go, przyczepiać się będzie!

— Milczeć mi tam w szeregach! Cicho!

— Kiedy Bielewicz znowu płacze!

Bielewicz wywrzaskuje poprzez wyraźne w głosie łzy:

— Kto płacze? Ja płaczę?! Łżesz, Edmund, jak pies! Wcale nie płaczę!

— O, o, nie płacze!... Patrzcie, zalewa się!

Niewiele co starszy Edmund triumfuje, bo »małemu« rzeczywiście sypią się łzy, jak groch po policzkach.

Wszyscy, cały pluton zaśmiewa się z tej pary; wiadomo powszechnie, iż jeden drugiego łapie ciągle na łzach ze zmęczenia, a żaden nigdy jeszcze nie »zmarodował« z ambicji przed drugim. Popłakują, a idą. Bielewicz, czerwony teraz jak piwonja z wysiłku powstrzymywania łkań i z gniewu na zdradzieckiego sąsiada, pieni się ze złości, widząc zwróconą na siebie uwagę:

— A sam to nie płacze! Cały dzień ryczy! I dziś przed południem!

Teraz Edmund rumieni się z kolei:

— Przed południem? Kiedy przed południem?! Łżesz!!

Wszyscy się zaśmiewają, szyk nawet nieco popsuli od ciągłego obracania się. Lecz już słychać rozkaz Koszowego:

— Sław! zmienić Bielewicza. Marsz!

Mały nieporządek w szeregach, i oto z ramienia Koszowego Farys podtyka już Bielewiczowi kawałek czekolady.

— Macie, Bielewicz!... Posilcie się, macie!...

— Kiedy ja nie płaczę wcale. Nic mi nie jest. Oho!

— Też nie dlatego... Jedzcie, bo obiadu nie było.

Bielewicz chrupie, aż mu szczęki latają. Nieobeschłe łzy wiszą mu śmiesznie na opylonych rzęsach jak perły.

Idą dalej. Zamilkli. Znowu słychać tylko jazgot potrącanego żelastwa i głuchy warkot poprawianych tornistrów. Co chwila któryś westchnie ciężko, jak w chwili skonania. Agronom Dobrowolski prostuje z miną bezdennie strapioną swe niedźwiedzie bary, postękując za każdym krokiem. Sąsiad w szeregu, Strzecha, wysłuchuje tych jęków długi czas w milczeniu. Pyta wreszcie:

— Co wam, Alojzy?

— A nic. Piętę mam tylko gołą. Każdy kamień czuję.

— Owińcie. Dam płótna, siądźcie w rowie i owińcie...

— A później gonić? Pójdę już tak...

Umilkli. Strzecha nieprzytomny już prawie ze zmęczenia, jak przez sen słyszy Farysowy głos z boku:

— Alojzy! Dajcie karabin, poniosę. Dajcie, mówię!

Niejeden już tam cudzy karabin dźwiga.

Żarłoczny Sław, co wprost z kadeckiej szkoły do Legjonu trafił, chłopak o gołębiem sercu i straszliwym apetycie, dyguje już dwa karabiny i Edmundowy chlebak; paniczyki, bracia Topory, wspomagają się wzajemnie z ochotą, nawet wesoły Tarnowiak Heniek wziął cudzą broń, coprawda za łyk wody.

Woda! Każdy, kto ma manierkę, a w manierce trochę brudnego płynu, jest kapitalistą, bogaczem! Niejeden, któremu język na szczapę zesechł, a z gardła, zda się, wióry lecą, łypie ku takiemu bogaczowi zezem, a prosić nie śmie i wzdycha tylko jak miech kowalski. Gdy kto pije, wszyscy spoglądają nań z zawiścią, a każdy bulgotu słucha jak niebiańskiej muzyki. Gdy zaś kto kogo poczęstuje — cóżto za Wersal, co za ceremonje!

Oto sierżant Kos, c. k. profesor w cywilu, widząc, że Strzecha ledwie już nogi powłóczy, podtyka mu czarną od kurzu dłonią manierkę pod sam nos.

— Pijcie, Strzecha.

Lecz Strzecha wie, że nie wypada brać tak odrazu, jak zwykłą sobie rzecz. Piasek tedy w zębach gryzie, siłę woli kształci, a odmawia:

— Dziękuję. Sami niewiele macie...

— Jest trochę. Pijcie. Może baby po drodze wyniosą...

— Nie, nie! Dziękuję. Pijcie sami.

— Pijcie! No, bo ręka zemgli...

Bierze tedy Strzecha Kosową manierkę i pije łyk jeden i drugi.. Nie więcej. Więcej nie wypada — trzeba dla innych zostawić. Chrząka tylko z rozkoszy i dziękuje z wylaniem.

— Panie Boże zapłać, Kos. Może odsłużę.

— Niema za co.

Nagłe okrzyki »w lewo trzymać«, »w lewo trzymać!« przerywają tę wymianę grzeczności. Całe kolumny wśród gęstych klątw schodzą na brzeg drogi, którą wali jakaś rozpędzona bryka. Pluton gapi się i oczom wierzyć nie chce. Dwa tęgie koniska pędzą jak na złamanie, a Nowina, »marod« Nowina, pogania aż biczysko trzeszczy! Na siedzeniu zaś rozparł się Wiatr z papierosem, jakieś skrzyneczki lewicą podtrzymuje, prawą zaś wita pluton niedbale, wesół i dumny...

Dopierożto na nich wrzaski, że jak panowie jadą.

— Marody! Marody! Wiatr! Nowina! Wiatr! Marody!

Ci tylko ramionami wzruszają.

— My, marody? Z amunicją jedziem! W lewo trzymać!

— Ale, z amunicją! Marody! Marody!

Wiatr obrócił się jeszcze, dłonie w tubę złożył i wrzasnął:

— Dochodzimy! Miasto zaraz!

Okrzyki ustały nagle. Za tę radosną nowinę przebaczono »marodom« ciężkie przewinienie odrazu. Siaki-taki myśli z ulgą: »Niech tam sobie jadą... Od tego mi nie gorzej«. Jeden tylko Koszowy nie rozmarszczył czoła. Darować nie może, że w jego plutonie nie wszyscy idą, że »inteligenci« zostali.

Zaczął kropić niezły deszczyk. Cały pułk odetchnął od wściekłej całodziennej spieki. Z nadzieją w duszy przewalono przez jedno wzgórze, przez drugie — i oto jest! — miasto jak na dłoni. W zapadającym zmroku czerwone gdzieniegdzie światełka witają przybyszów jak umówione znaki; twardy łoskot szeregów na oślizgłych w rynku brukowcach brzmi sercom jak miłe hasło. Jeszcze chwila — i już stoją. Zaraz na kwatery.

Każdy poprawia jeszcze rzemienie na obolałem ciele z westchnieniem, ale wszyscy mają już uśmiech na wargach. Skończony dzienny trud! Przekpinki latają już w szeregach, radosne wołania... Słowa komendy lgną do serc, jak rzewne namowy, zapalone latarki zwierzchników migocą w dali jak świetliki... Kwater szukają, kwater! stodół, co wygodniejszych... Jeszcze kwadrans przykrej niepewności, bo oto wyznaczają oddziały na nocne patrole i placówki. Każdy pluton oblicza swe służby, przy-

pomina, kiedy ostatni raz miał warty... Byle nie dziś! nie dziś! dziś już spać, tylko spać! —

Nie poradzi! Oto, poszeptawszy coś z Koszowym, Farys komenderuje miękko: »Pierwsza sekcja... W le-wo zwrot! Marsz!« Alojzy, Strzecha aż jęknęli. Niema rady. Służba. Ciężko stukają podkutemi obcasami po kamieniach, wysoko wzniesiona latarka oficera oświetla ich ponure twarze... Wszyscy? Wszyscy. Już i Nowina i Wiatr są na swoich miejscach w czwórce. Gorliwie słuchają czyjejś w mroku pociechy, że ich o północy zluzują... Poszli.

A reszta plutonu za parę chwil śpi smacznie w obszernej, dostatniej stodole. Przegryźli jeszcze czarnego chleba na kolację, albo i nie przegryźli, i leżą oto, zaszyci w słomę po uszy, bez marzeń, bez pamięci... Gdzieś, o którejś godzinie nocy, skrzypią wrota stodoły, tłuką się jakieś po nocy światła, słychać szepty: »Posuńcie się! posuńcie!...« Siaki-taki otwarł przemocą jedno oko, zobaczył Wiatrowy nos w świetle i Sławowe okulary, pomruczał coś gniewnie i obrócił się z tęgą złością... Spać nie dają! Za chwilę znowu ciemność, rozlega się tylko równe Wiatrowe chrapanie.

Obudzili się coś koło szóstej, aż samym dziw, że im tak długo spać dali. Wstali rzeźcy, czerstwi, bez śladu prawie wczorajszego znużenia: gdzieś tam ledwie na ramieniu boli jak

dotknąć — rzemień, gałgan, za wąski! Poniektóry ogląda też ze zwątpieniem poranione nogi, naogół jednak nastrój świeży, poranny... Szelma Heniek zdążył już być w izbie i wraca z miłą wieścią, że »gospodarstwo morowi — buzi dać!« Mimo drobniutkiego deszczu, co pada już od wczoraj, na podwórku myją się wszyscy do pasa ze śmiechem i radością. Miejscowy parobczak, polewający żołnierzy z konwi, śmieje się, aż mu dziąsła widać nad białemi zębami. Edmunda zlał do suchej nitki. Sław, jeszcze z ręcznikiem w ręce, zawiadamia Strzechę tajemniczym szeptem, że zamówił jajecznicę z piętnastu jaj na dwóch! Ubierają się też, aż wszystko w rękach warczy: kto prędzej będzie gotów, więcej dostanie, a tu kiszki mglą z głodu, aż się słabo robi...

W dwu obszernych izbach gospodarskich roi się od luda. Wiatr z Nowiną piją już gorące mleko w garnuszkach do dzieżek więcej niż do kubków podobnych. Chwalą sobie, widać, ten system, bo gęsto bułkami przegryzają, a chlipią głośno, przyciszoną jakąś z gospodarzem prowadząc rozmowę... W drugiej izbie Heniek rej wodzi, bo słychać stamtąd wesołe dziewczyńskie śmiechy i przekomarzania... Gospodyni, młoda jeszcze kobieta, biega z buchającemi parą garnuszkami i dolewa każdemu, zapraszając gorliwie:

— Bierzcie też, panowie, bierzcie! Swojacy przecie, nie obcy! Kozakom nie zostawię!

Matka staruszka pitrasi na kominie, a swędzi, aż nosem pociągają od zapachów. Mleko, jajecznica, gorące ziemniaki! Dziewczęta biegają jak kołowate, odbierają puste naczynia, a podtykają pełne, dymiące... Wiara nie daje się długo prosić, mimo iż Koszowy biega, a upomina, żeby bez zapłaty nic nie brać... Ale jak tu płacić?! Wysunęło się kilku z pieniędzmi, to gospodyni aż poczerwieniała z obrazy:

— Bośmy to nie katolicy, cobyśmy od swoich brać mieli?

I złożywszy na fartuchu ręce, dodała dumnie:

— Nie zbiedniejem!

A i gospodarz zakazał pieniędzy przyjmować. Siedzi oto koło Wiatra poważnie, a tamten językiem miele, jak nabięty gada. Zaraz widać, że adwokat! Strasznie się sobie spodobali, bo gospodarz flaszeczkę araku do herbaty wyniósł.

— Nie pogardźcie, panie! Pijcie! Żeby się już nam lepiej po tej wojnie działo!

— W wasze, gospodarzu!

— Pijcie zdrowi!

O księdzu rozprawiają, gospodarskim bracie, co się z Moskalami nie użył i gdzieś teraz w Ameryce msze odprawia... Gospodarz foto-

grafję w pięknej ramce zdjął ze ściany, rękawem obtarł i nadyma się, po twarzy widać, setnie, że duchowną sukienkę ma w rodzie. Alojzy ze świętą miną fotografję palcami lekko ujął, niby to się do światła przysuwa, do stołu, a arak ma coraz bliżej... Za chwilę siedzi już w dobrej kompanji, gorącą herbatę z rumem łyka, radośnie do całego świata uśmiechnięty...

Wiara najada się po gardła. W jakimś kącie Strzecha stoi bezradnie z misą jajecznicy w rękach i po każdym kęsie powtarza z westchnieniem: »Nie mogę już! och, nie mogę!« A Sław, któremu aż oczy na wierzch wyszły z natężenia, podsuwa mu tylko ruchem łokcia bochen chleba i napchaną ziemniakami gębą szepce surowo: »Jedzcie! Jedzcie! Na zapas!« Koszowy syty również i wesół, przestał pokrzykiwać i uśmiecha się nawet do wczorajszych »marodów«, Wiatra i Nowiny. Nawet śpiewać pozwolił.

Ustawili się wedle komina, tenorzy na przedzie i jak hukną na Farysową komendę »Jeszcze Polska nie zginęła!...« Aż szyby zadźwięczały, a z sąsiednich domów ludzie wyszli. A potem wszystkie patrjotyczne i wojskowe dawne, ułańskie, strzeleckie, i ulubioną, wszystkim zarówno miłą:

»Bo my chcemy dzisiaj jeszcze
»Szturmować Moskali! szturmować Moskali!

Zapłonęły wszystkie lica, rozgorzały wszystkie oczy. Dziewczynom aż łzy stanęły, na tych chłopaków patrzący, gospodyni bez ceremonji zapaską je obciera. Gospodarz słucha w zadumie, wzdycha czegoś ciężko i coraz to innemu araku dolewa...

Naraz wpadł Wójcik, co się w marszu z saniteta na batalljonowego ordynansa przedzierzgnął, i urwał śpiew odrazu:

— Broń w kozły! Pełny rynsztunek i czekać!

Rzucili się chłopcy na podwórze, jak wysypane z worka ulęgałki. Sprawili wraz wszystko, jak kazano, i czekają. Wymarsz, widać! Dzisiaj, wyspanym i sytym, wydaje się ciężka droga miłym, zdawna pożądanym spacerem. Tli się też nadzieja: może się wreszcie na Moskali natkną...

Czekają godzinę, dwie, trzy... Siaki-taki oddawna już sobie rzemienie zluzował, reszta na słomie leży, gawędzi, niektórzy śpiewają zgoła już lekkomyślne piosenki. Koszowy napełnił wszystkim chlebaki starannie, rozdzielił nabytą u żyda czekoladę i papierosy. Czekają. Niejednemu sen znowu powieki skleił, chrapie, aż się po opłotkach rozlega.

Dopiero coś koło drugiej usłyszano wesoły wrzask Wójcikowy:

— Zbiórka, panowie, zbiórka! Już tam plutony stoją!

Rzeczywiście, cała kompanja w szyku. Komendant Suchy zaciera ręce radośnie przed frontem:

— Chłopcy! Idziemy wprost na Moskala!

— Wiwat! wiwat, Suchy!

— Prochu powąchacie! chrzest weźmiecie!

— Ja już brałem — odzywa się ktoś dumnie. — Pod Tumlinem.

— A ja w Kielcach!

— Ja pod Małagoszczą...

— Dobrze, to poprawicie... Baczność! Kompanja — marsz!

Idą przez miasteczko wypoczętym, sprężystym krokiem, na wszystkich twarzach radość aż lśni... Nareszcie zobaczą Moskali. Przeszli rynkowe brukowce, wpadli w beznadziejne błoto żydowskiej uliczki, za miasto wyszli, za ostatnie placówki... Odsunęli się od siły głównej dobrze, odbili, sami już zupełnie, niebo już tylko o nich wie i ziemia polska. Miętoszą nogami tłuste błoto swojskiej ubogiej drogi; po rowach się chwilami kryją, po dołach... Każdy czuje w sercu, że nie marsz to już, lecz wyprawa. Trzech wiorst nie uszli, zaszeptano w szeregach, jeden drugiemu na kraj bliskiego lasku wskazuje: »Widzisz? Trzech stoi... konno! Tam, gapo! za drzewami!«. Komenda: »Stój!«. Ja-

kaś sekcja ruszyła w tym kierunku, na przełaj, przez pola. Reszta — marsz! Do wsi się jakiejś zbliżyli, znowu stoją. Biegiem! Dudnią ciężko tornistry, nogi więzną w rozmokłej ciężkiej ziemi. Skryli się za stodołę na skraju. »Przetrząsnąć wieś! Pluton! Kto na ochotnika?« Zerwali się wszyscy, jak jeden mąż. »Ja! ja! ja!« Komendant Suchy aż zaklął na tę gorliwość. »Koszowy, wyznaczyć!« Wrócili zziajani, oburzeni. Wieś wolna. Kompanja maszeruje dalej, biegiem dopadając każdej chałupy, każdego po drodze lasku, każdego wzgórza... Moskali ani poświeć, mimo to bliskość wroga wyczuwa się w każdem spojrzeniu spotykanych mieszkańców, w niepewnych dygotliwych ruchach i odpowiedziach. Wszyscy są zelektryzowani tą bliskością. Nikt nie czuje ciężaru warkoczącego na plecach tornistra; przewieszony w ręku karabin wydaje się lekki jak piórko.

Słysząc ciężki oddech biegnącego przed sobą Wiatra, Strzecha pyta:

— Wiatr! Ciężko wam? Może karabin wziąć?

Tamten odwraca tylko czerwoną z wysiłku twarz, na której maluje się bezgraniczne zdumienie. Jemu ciężko?

Uszli w ten sposób, ubiegli dziewięć wiorst. Odłączył się po drodze niejeden oddziałek, bokami idąc, wtył i naprzód. Na miejscu przezna-

czenia, w dużej wsi kościelnej, siła główna stopniała do zgoła drobnych rozmiarów: zajęto wszystkie drogi, szczelnie obsadzono wszystkie przejścia, powysuwano placówki w dalekie pola. Na drobnym siekącym deszczu zaczęło się nowe wyczekiwanie z bronią każdej chwili do strzału gotową; po chwili dopiero pozwolono ukryć się w sąsiedniej stodole.

Ale zaledwie tam weszli — strzał. Słaby, daleki huk. Potem drugi, trzeci, i znowu kilka rozsypanych, a wreszcie tylko bezustanne odgłosy: trach! trach! trach! Wszystkie twarze stały się poważne i surowe.

— Biją się — stwierdził Farys z uśmiechem.

— Et, awantura na placówkach — machnął Koszowy ręką lekceważąco.

Mimo to wszyscy cisną się do wrót stodoły, na deszcz, jakby tam rzeczywiście można było coś zobaczyć. Na podwórku rozkazy, bieganina. Saniteci z doktorem wzięli nosze, wybiegli. Wyprowadzono ze stajni ładnego konika, założono mu uzdę piorunem, wsiadł podoficer na oklep, pojechał.

— Na zwiady jedzie! Na zwiady! — szepcą.

Strzały nie ustają. Na ostry rozkaz cofnięto się do stodoły z powrotem. I zaraz wpadł ktoś z rozognioną twarzą, wołając radośnie:

— Kto chce Kozaka na kolację? Tylko morowy chłop!

— Ja! — wrzasnął Wiatr. Nim inni zrozumieli o co chodzi, nim odkrzyknąć zdołali, już Wiatr ze stodoły wypadł — pobiegli. Siaki-taki aż kręci się na miejscu z zazdrości.

— Jabym też na ochotnika... — pyta nieśmiało Edmund.

— Siedzieć! — warknął groźnie Koszowy.

Niedługo usiedzieli. Wpadł sierżant Kos z rozkazem komendanta:

— Wszyscy przed kościół. Zbiórka!

Uszykowali się przed kościołem, frontem do najbliższej drogi. Komendant Suchy siadł na krześle pod figurą, papierosa kurzy, założoną nogą kiwa lekkomyślnie:

— Dwóch dragonów ustrzelili, reszta uciekła. Zaraz tu znowu będą. Radziście, chłopcy?

— Radzi! Radzi!

— A daćże ich prędzej, bo czasu nie mam — puszy się Heniek.

Akurat rozległy się z boku nowe wystrzały.

— Ano masz! Są! — uśmiecha się komendant. I zaraz zmienia głos, rozkazuje:

— Podbipięta! Chmura! Kto tam jeszcze konno jeździ! Zająć konie i do placówek! Z wieścią tu, pod kościół!

Przełożyli broń na plecy po kawaleryjsku, rozbiegli się. W mig zatupotały końskie kopyta po sąsiednich podwórkach; za chwilę wypada z wrót jeden na oklep, potem drugi, trzeci, na

cugantach i chłopskich szkapinach, na spasionych i chudych jak Rossynanty, a wszystko szybko, sprawnie, jak najprawdziwsza konnica. Aż dziw wszystkie plutony zbiera, że takich kawalerzystów na piechotę pędzają.

Strzały coraz gęstsze słychać, coraz natarczywsze. Wszyscy poglądają z tęsknotą na szeroką drogę, mierzą już w duchu do wroga, aż palce drżą na rzemieniach z niecierpliwości.

Przypada ktoś z wesołej kawalerji na zziajanym koniu:

— Stanęli w lasku, pod krzyżem — wyrzuca zdyszany jeździec.

— Siła?

— Ze dwudziestu.

— U nas zginął kto? Są ranni?

— Nie... Mularczykowi tylko udo przestrzelili. Samo mięso.

— Koszowy! Wziąć dwie sekcje! Marsz!

Zwróciły się na Koszowego błagalne oczy całego plutonu. Które sekcje weźmie? Strzecha począł mrugać porozumiewawczo, Nowina i Topory jęli chrząkać i kasłać jak zaziębione owce. Nic to nie pomogło. Koszowy mścił się teraz na inteligentach za wczorajsze maruderstwo; uśmiechnął się tylko, skomenderował — poszli. Inteligencka sekcja została.

Nim dojść jednak mogli, przybiegł drugi jeździec z wieścią, że Moskale się cofnęli. Wrza-

snęli coś na pożegnanie i odjechali. Inteligentom poprawiły się miny; niejeden uśmiechnął się z nędznej radości, że i tamtych gratka minęła.

Wtem wprost na drodze, którą przyszli, rozległ się pośpieszny tętent pędzącego konia. Zwróciły się tam wszystkie twarze, wszystkie oczy.

— Na białym koniu wali!

— Na białym! Wprost tutaj!

— Nasz! Nasz!

— Orlot! Adjutant Orlot!

Orlot osadził konia, aż się zarył, podał jakiś papier komendantowi. Wraz rozległy się pośpieszne rozkazy:

— Koni więcej! Siadaj jeden z drugim, kto potrafi! Ściągnąć placówki!

Znów rozlecieli się jezdni we wszystkie strony, i zaraz poczęły ściągać całe oddziałki i pojedyńczy żołnierze.

— Wracamy! Skończona zabawa — szepcą w szeregach z głębokiem rozczarowaniem.

— »Cóżby to był za obstrzał!« — zwierza się Sław melancholijnie, tęsknie patrząc na szeroką przed sobą drogę.

— Trudno. Rozkaz — wzdycha Farys.

Przyglądają się z szacunkiem prowadzonemu przez sanitetów Mularczykowi, który kroczy z pychą i stęka dumnie nie z bólu, zda się,

a z radości. »Spodnie popruli mi nożycami na nic«, skarży się gorzko na sanitetów. Pociesza też wszystkich widok zdobycznych karabinów moskiewskich, bo będzie się czem przed innemi kompanjami pochwalić. Wiatra, który wrócił właśnie, wypytują pośpiesznie:

— Wiatr, strzelaliście?

— A nie? Trzy razy strzeliłem.

— Trafione?

Już chciał zełgać ambitnie, ale mu się wstyd tylu weń wpatrzonych oczu zrobiło.

— Możem i trafił — rzekł skromnie — bo to na odległość pozna?

— Na ileście walili?

— Na sześćset.

— Milczeć w szeregach! — upomina Koszowy surowo — Bagnet na broń!

Rozwinęli się znowu w kolumnę, wystawili w zaległym mroku przednie i tylne straże, zostaje tylko wysłać jaką sekcję na przykrą służbę bocznych ubezpieczeń. Nikt się na ochotnika nie rwie — niema głupich. Teraz dopiero Koszowy zrzuca z serca resztki animozji. »Pierwsza sekcja w bok! Nowina, Wiatr prowadzą!« Niechże to djabli!

Zeszli z drogi niechętnie, wleźli na szczere, rozklejone od padającego deszczu pola. »Równolegle do kolumny! dwadzieścia kroków dystans!« komenderuje Wiatr szeptem. Rozeszli

się. Ciemność zapadła taka, iż nietylko towarzysza z boku, ale lufy własnego karabina nie dojrzeć. Strzecha stawia olbrzymie kroczyska po rozmiękłych zagonach, w które noga zapada się, jak w ciasto. Co chwila słychać głuchy szczęk wstrząśniętej nagle broni i ciche zaklęcie: »A, psiakrew!« To sąsiad wpadł w jakiś dołek. Przeszli przez jakąś wyczuwalną pod nogami mokrą łąkę i naraz wjechali w wodę po kolana. Strzecha aż stanął ze zdumienia. »Rzeka, czy ki djabeł?!« Słysząc jednak wyraźny plusk towarzyszy, począł brnąć za innymi w pośpiechu, by przecie nie zostać w tyle. Z głęboką radością wyczuł znów pod nogami uginającą się łąkę. Szli teraz prędko, nasłuchując szybkiego po drodze marszu całej kolumny. Grunt był coraz suchszy i wznosił się coraz wyraźniej. Ugór — myśli Strzecha, wpatrując się niewidzącemi oczyma w jakąś ciemną przed sobą linję. Las? Tak jest — las. I nim pomyśleć zdążył, zjechał z niesłychanym łomotem i brzękiem oręża aż na dno parowu, który mu właśnie leżał na drodze. »U djabła! U djabła« — dziwował się w sobie, wyciągając nogi z gęstego na dnie błota i słysząc lekkie śmiechy towarzyszów. Omackiem, czepiając się jakichś zbawczych krzaków, wylazł na drugą stronę i szedł dalej ostrożniusio, stawiając teraz nogi jak na rozpalonem żelazie. Po długim spacerze

wśród jakichś oślizgłych zagonów, pełnych czepiających się butów liści, wsunęli się w lasek i szli tam z wyciągniętemi naprzód rękoma, od drzewa do drzewa, co krok się potykając na korzeniach i wyrwach. Myśląc, że las nigdy nie będzie już miał końca, że zbłądzili — minęli właśnie ostatnie drzewo. Ogień papierosa w szorującej drogą kolumnie wydał się znakiem szczęścia. Znów szli po równej przestrzeni, po ściernisku...

Jakże długą wydała im się ta droga, którą poprzednio biegiem prawie odbyli bez zmęczenia. Gdy zluzowano ich przed samem prawie miasteczkiem, zeszli się w szeregu ponurzy i milczący, z wyraźną do Koszowego pretensją. Wszystko już było im obojętne: i deszcz, co nie kropił już, lecz lał równą strugą, i straszne pod nogami błoto i napotkany w miasteczku bataljon własnego pułku. Dopiero rozdany na chwilowym postoju chleb z serem przywrócił im nieco sił i życia.

Ruszyli dalej w ciemności tak kompletnej, iż mowy być nie mogło o żadnych ubezpieczeniach. Trzymając się jaknajciaśniej niewidzialnych sąsiadów, każdy szedł pokornie śród głębokiego błota, całą uwagę na stopy jedynie kierując. Palić nie było wolno ani rozmawiać głośno. Krocząc tak machinalnie wśród czarnej jak smoła przestrzeni, Strzecha znajdował się

w dziwnym stanie — pół snu jakby, pół jawy. Niby to słyszał przyciszone obok szepty, pamiętał je nawet, a jednocześnie spływały one po jego duszy bez śladu, bez żadnego wrażenia. Oto gdzieś bliziutko opowiada kompanijny doktor oficerowi Młotowi:

— ...Widziałem, na własne oczy widziałem! Ledwie się na koniu zakiwał, już go drugi poderwał, podtrzymał i w nogi. Dopiero ja do tych, co zostali: leży chłopisko jak baran, rozwalone. Rozpinam — w samo serce. Twarz spokojna, przystojna, młoda. Szkoda, że rannych zabrali, byłbym ich poowijał, jak niemowlęta... Głupcy!

— Kozacy zawsze tak.

— Kiedy to nie Kozacy, a dragoni.

— Dragoni? Widać rozkaz taki mają...

Z drugiej strony dochodzi szczątek rozmowy Wiatra z Farysem.

— Ku Wiśle idziemy, co?

— Aha... Nawet blisko.

— To się cofamy?

— Ano, wola Boska... Wrócimy jeszcze.

— Pewnie. Ja bo muszę być w Warszawie. Mam interes.

— No? jakiżto?

— Proszony jestem na bal do Zamku.

— To co innego...

Obudziło Strzechę jakieś niezwykłe w sze-

regach ożywienie. Popychano się, trącano, szeptano głośno. Wszystkie głowy zwrócone na północny zachód. Wśród szczęku zaczepionych karabinów dochodziły porwane wyrazy:

— Łuna! Łuna! Gore!

— Może to księżyc?

— W nosie ci chyba świeci... Nów!

— Ależ rozpalili...

— Moskale!

— Może nasi?

— A jakże, nasi... W południe już Wisłę przeszli.

I nagle we wszystkich głowach przeważyła jedna straszna myśl, okropny domysł:

— Zapalili wieś, z której wracamy! Mszczą się!

— Tak, tak, mszczą się za swoich.

Zapadło milczenie tak ponure, iż słychać było wyraźnie chlupot wyciąganych z błota obcasów. Jasne na widnokręgu światło wydało się jak krwawa, rozciągnięta nad tą krainą ręka; wśród milczącej nocy słychać, zda się, było żałosny skowyt i jęki. Żołnierzy aż ciarki przeszły. Szli teraz ze spuszczonemi głowami, nie obracając się już na to światło, pogrążeni w myśli ciężkie i beznadziejne...

I oto naraz jakiś pojedyńczy głos wrzasnął:

— Zgasło!

I zaraz poderwały się liczne radosne wołania:

— Zgasło! Zgasło!

— Reflektory!

— Sygnalizują! Nas sygnalizują!

— Kto tam bredzi, że wieś palą?! Dureń! — zrzuca ktoś zmartwienie z serca.

— Moskale sygnalizują nas! Nas sygnalizują!

Nagle, niby odpowiedź na łunę, wzbił się w ciemności ognisty wąż wprost przed pochodem, na przodzie. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty... rozsypują się złotym deszczem, jak na weneckiej zabawie. Ogromna radość ogarnęła żołnierzy.

— Rakiety! To już nasi, napewno nasi!

— Drogę wskazują! Żeby nie zmylić.

— Nie zapomnieli o nas! Nie bój się!

— Ale! mieli zapomnieć!

Szli odtąd jak w zaczarowanej krainie. Co chwila płonęły w oddali jakieś ostre światła, ukazywały się, jak szpiegujące oczy, i gasły. I znowu zapalały się gdzieindziej, szperały po okolicy, to znów trwały długą chwilę, jako słupy i łuny.

— Strachaśmy im napędzili! — śmieją się żołnierze. — Szukają teraz. Nasza robota, nasza!

A na przodzie, wśród rozdzierających niebo

rakiet, ukazała się stała łuna spokojnie płonących świateł. To Wisła i miasto poza nią. Uczucie radosnego podniecenia, spotęgowane nadzieją dłuższego spoczynku, nie opuszczało już żołnierzy, gdy schodzili obniżającem się ku rzece wzgórzem. Popychając się na śliskim gruncie, wśród bezustannych żartów, pokazywali jeden drugiemu lśniący od odbijanych ogni srebrny pas w pomroce.

— Wisła! Nasza Wisła!

Kiedy, ostro stukając obcasami po belkach prowizorycznego mostu, przechodzili wśród wyprostowanych żołnierzy austrjackich, brakowało im jednego tylko do szczęścia — pieśni. Czuli się już teraz jak we własnym, zacisznym domu, gdzie wreszcie wolno im będzie wysuszyć się, wyspać, dać folgę młodości i weselu.

Doszli.

III.

W ogniu.

Wyszli około siódmej rano i ku swemu zdumieniu koło czwartej byli już na miejscu. Zajęli kilka dużych, ciasno do się przyległych wsi na samym brzegu Wisły, wystawili placówki, porozwieszali na rogach błotnistych ulic kartki z napisami: »Pierwszy... drugi... trzeci batal-jon...« — słowem, osiedli. »Będzie przynajmniej na tydzień spokój« — myślał z radością niejeden, wspominając niedawne wytężone marsze. Wraz zapadł wczesny mrok jesienny. Szalona wichura zerwała się gdzieś od rzeki, kropiący od rana deszcz począł chlustać szerokiemi strugami, jak z cebra. Ale w zajętej przez pluton chałupie ciepło było, jak w uchu. Po uprzedniej dłuższej naradzie z gospodynią, Sław stał już przy buchającym z komina ogniu, coraz to zapędzając którego z kolegów do skrobania ziemniaków. Z parujących garów

szły miłe sercom zapachy, przemokłe kurtki żołnierskie suszyły się na okapie.

Porozbierana do koszuli wiara obsiadła ustawione obok pieca ławy, ciesząc się z ciepła, Wiatrowych konceptów i Nowinowego zmartwienia. Dziś właśnie rano zrobiono Nowinę sekcyjnym, a oto miast się radować, siedzi w kącie ponury i zły, jak piekło. Próżno Wiatr, rozwalony, jakby już z rok tu mieszkał, gratuluje mu z serdeczną życzliwością.

— W godności, Nowina, porastasz — mówi. — Jużeś sekcyjnym, a tylko patrzeć, feldmarszałkiem cię zrobią i senatorski ród w Rzeczypospolitej płodzić poczniesz. Wiem, żeś na to łasy, w każdej wsi, przez którą idziesz, zaczątku owego rodu szukasz...

— Odejdź, Wiatr, bom zły — mruczy Nowina.

— Nie zły jesteś, Nowina, tylko dumny — ciągnie Wiatr spokojnie — ambicja cię gryzie, nocy z zawiści do czerwonych sznurków nie dośpisz, twierdząc potem, że to przez moje chrapanie... Znam cię nie od dziś. Udajesz, żeś niekontent, a ślepia ci się z radości palą...

Nowina już grozi.

— Odejdź, Wiatr, odejdź! Bo uszkodzę.

Wiatr aż ręce rozkłada z pokory.

— Ano, skoro taka twoja wola. Władzę masz. Każ kolegę rozstrzelać i kwita. Ba, ba,

sekcyjny! Czego taki nie może!... Personat, panie, dygnitarz!...

Nowina splunął tylko i odwrócił się tyłem ostentacyjnie ku radości całego audytorjum. A Wiatr, jakby tego wszystkiego nie spostrzegając, gada do siebie niby:

— Bo to jeden z ambicji do tego wojska idzie, drugi dla honoru, trzeci dla narzeczonej...

Alojzy, reperujący spodnie ze smutną miną, aż jęknął.

— Już się mnie teraz czepiasz?

Wszyscy w śmiech. Wiatr zaś, obierając otrzymanego od Sława kartofla, cedzi niewinnie:

— Muszę, Alojzy, muszę... Z obowiązku kronikarza, by zaś wzniosłe intencje w tej burzy dziejowej nie zaginęły... Było zaś z Alojzym tak: Jak się zaczęła wojenka, Alojzy stracił humor i sposępniał dziwnie. Wypada iść, myśli, ale i żywota cennego też szkoda... Rada w radę: wymyślił sposób, żeby i wilk był syty i owca cała. Zwierzę się — wymędrkował — narzeczonej, że niby chcę do Legjonów wstąpić; narzeczona kocha, więc, oczywista, w bek; powie teściowej, zaczną zatrzymywać, płakać, pocertuję się i — ustąpię. Zrobił tedy mój Alojzy uroczystą twarz, idzie; już od przedpokoju chrząka, nie wita się, mars mu czoło zdobi. »Droga Kiziu« — mówi grobowo — »idę na pole walki!«

Kizia spojrzała, zarumieniła się jak wiśnia i buch mu na szyję. »O, mój bohaterze! — woła — tegom się po tobie spodziewała! Idź, idź i zwyciężaj!« Alojzy zzieleniał, a tu już i teściowa, ściskają go, pchają jakieś wstążeczki, medaliki, obrazki... Rozrzewnił się wreszcie i Alojzy, spłakał w tych damskich uściskach, spił się po tej wizycie, jak bela, a na drugi dzień mundur sprawił. Nie było rady! I chodzi już oto od września po tem polu walki i zwycięża...

Jeszcze nie ustały śmiechy, gdy wszedł Koszowy z latarką, w mundurze aż czarnym od wody, surowy jakiś i poważny.

— Sekcyjni! — krzyknął. — Szykować pluton. Pełny rynsztunek, duchem!

— Co takiego! Co takiego! — rozległy się niepewne głosy. — Idziemy? Na taki deszcz!

— Parasol dla Wiatra! — uśmiechnął się Koszowy — i kalosze!

Zapanował gwałtowny ruch i bieganina, bo oto wszyscy sekcyjni poczęli pokrzykiwać i do pośpiechu naglić.

Nowina teraz jakby się ocknął. Na całem podwórku, wśród klątw i wymysłów, słychać było tylko jego tubalny głos. Pienił się, ryczał i szarpał, jak opętany.

— Pierwsza czwórka! Konrad, ja cię popędzę! Bielewicz, na miejsce! Druga czwórka! Piorunem!

Co chwila jakiś żołnierz wpadał do chałupy z wrzaskiem: »Rety! jak leje!«, chwytał coś, wdziewał, przypinał i już go nie było. W podwórzu, poprzez chlapanie dziesiątków ubłoconych nóg, słychać było tylko gniewne mamrotanie Nowiny: »Poczekajcie! Mam jeszcze teraz i o was dbać?! Ja was pomusztruję!« i krótkie rozkazy: »Równaj w praa-wo! Pluton w prawo... zwrot! Pluton... marsz!« Przez nieludzkie błoto, pod strugami siekącego deszczu, nie widząc nic przed sobą, prócz pleców poprzednika, wyszli na jakiś między chałupami placyk. »Plutoon... stój! W prawoo zwrot!« Za chwilę usłyszeli gęste chlapanie błocka. Doszedł drugi, trzeci, czwarty pluton. Cała kompanja. Ledwie się uszykowali — kompanja marsz! Ciemnemi ulicami dotarli aż na wieś. Na jakiemś pochodniami oświetlonem miejscu znaleźli ustawione już inne kompanje.

— Cały bataljon! — dziwił się Wiatr szeptem w stronę sąsiada Strzechy. — Ruszamy chyba stąd, czy co?

— Ale! ruszamy! — doszedł gdzieś z bliskości głos Wójcika, który zawsze wszystko o pułku wiedział. — Treny zostają.

— Równaj w pra...wo! Do nogi... broń! Spocznij! — przebiegały rozkazy.

Strzecha patrzał się na to wszystko szeroko rozwartemi oczyma, a jego malarskie serce aż

dygotało z uciechy. »Boże, jak pięknie!« — myślał. Płonące pochodnie rzucały w mrok niskie, jaskrawe światło, o kilka już kroków tonące w beznadziejnej ciemni. Poprzez błyszczące błoto wałęsały się tam i sam długie i ostre cienie. Z krwawiących kół wychylały się straszne, ciemnemi smugami poorane twarze; czyjś profil odcinał się w mroku jaskrawy i prześwietlony, jakby groźnego anioła.

Gdzieniegdzie połyskiwały lufy karabinów krótko i gwałtownie, jak ogniste nad głowami języki. Dojrzawszy jeszcze kapucyński habit kapelański z podniesionym kapiszonem, Strzecha nie mógł wstrzymać dłużej artystycznego wzruszenia i począł siepać kułakiem w bok sąsiada.

— Wiatr! — mówił drżącym z afektu głosem — widzicie?! Goya, jak mi Bóg miły, Goya!

— Do djabła z Goyą! — mruknął Wiatr niechętnie. — Stójcie spokojnie! Tu niema żartów!

Strzechowe podniecenie opadło. Spokojnie już wysłuchał ciepłego przemówienia kapelana, udzielającego absolucji *in extremis*. W jaskrawem świetle widział wszędzie pokornie opuszczone głowy, do uszu dobiegały mu zewsząd głuche, żałosne kołatania pięściami w pochylone piersi. »Żeby już prędzej iść!« — myślał niecierpliwie. Z prawdziwą radością dojrzał przed frontem zgrabną postać bataljonowego.

— Chłopcy! — przemówił — bagnet na... broń! Godzinka spaceru i mamy Moskala nos w nos! Bić, chłopcy, a tęgo!

— Dobra nasza! — odezwał się radosny wrzask Heńkowy.

— Bagnet na broń! Bagnet na broń! — rozległy się poszczególne komendy, wraz pokryte żelaznym jazgotem i podzwonem nakładanych ostrz. — Na ramię... broń! W prawo... zwrot! Bataljon... marsz! — Pogięły się szeregi, pochyliły nieco, jak pod wiatrem zboże, i oto od przodu jęły się odrywać, jak ogniwa stalowego łańcucha, kompanja za kompanją, pluton za plutonem. Zostawili światła gdzieś w tyle, wpadli w ciemność, w miękkie pluski rozdeptanego błota. Strzecha widział jedynie ciemne ostrze Wiatrowego bagnetu — i nagle opadło go dziwne, przykre uczucie, jakby teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, że nie widzem jest tylko tej sprawy, lecz i aktorem. Myśl, że kazano nałożyć bagnet, że za chwilę wepchnie zimne ostrze w czyjąś gorącą pierś i znowu wyrwie krwawe, i znów pchnie — stała mu się ciężką nie do zniesienia. Zechciał to swoje uczucie sprawdzić w innem ludzkiem sercu.

— Wiatr! — spytał sąsiada — to my na bagnety, co? Strzelać nie wolno?

— Strzelać na taką noc? — mruknął tamten spokojnie — chyba psu w nos!

— Milczeć w szeregach! — rozległ się krótki nakaz Farysowy.

Strzecha aż się przeraził owej Wiatrowej spokojności i pewności siebie. »To możem ja tchórz?« pomyślał z okropnym wstydem. Ale uspokoił się zaraz, wspomniawszy na to, iż przecież nie o siebie mu chodzi, tylko o wroga. Aż się sam do tej myśli uśmiechnął w ciemności i zaraz wstąpiła weń otucha i złota lekkomyślność. »At« — monologował — »nie ja jego, to on mnie. Co tam! Niemasz pana nad ułana, a nad lancę niemasz broni...« I mimowoli, przyjacielskim ruchem pogładził zamek karabina. Zupełnie już spokojnie, z niezrozumiałem ukontentowaniem słuchał syczącego wściekłością Nowinowego głosu, który »musztrował« swoją sekcję: »A niech mi który piśnie, albo papierosa skręci, ja mu skręcę!... Milczeć!«

Obniżającą się za wsią drogą doszli do samej Wisły. Dwa plutony weszły na przygotowaną tratwę i odjechały, reszta czekała swojej kolei w milczeniu. Słychać było tylko plusk wioseł i niegromkie komendy przewoźników. Trwało to długo, bardzo długo... Choć deszcz ustał wreszcie, dopiero teraz dały się we znaki do cna przemoczone mundury. Nie minął i kwadrans, a siaki-taki począł już zębiskami szczękać i tulić się do sąsiada. Potworzyły się koła, w których ściskano się tak, iż środkowi

kułakami bronić musieli całości swych żeber. Gdy i to nie pomogło, zwalili się kupą na jakieś najmniej mokre miejsce i leżeli tak jeden na drugim, grzejąc się własnem ciałem. Mimo to zimno doskwierało straszliwie, tak, iż co chwila dolatywały skądś przyciszone, a desperackie klątwy, Bielewicz zaś, skulony w kucki, płakał najserdeczniej.

— Żeby choć płaszcz, albo chustczynę jaką — dopraszał się pokornie, póki go Nowina własnym płaszczem nie nakrył.

Trwała ta męka ze dwie godziny. Rozespani w tych ciemnościach, a spać nie mogący, przemarzli do szpiku, głodni, usłuchali rozkazu wsiadania na tratwy, jak anielskiego głosu. Stojąc już na tratwie, Strzecha przechylił głowę na czyjeś ramię, i spał słodko, ani wiedząc, czy pięć minut, czy godzinę ta przeprawa trwała. Ocucił się dopiero na gwałtowną szarpaninę. Leżał na brzegu, o czyjeś ramię wsparty, a ktoś świecił mu prosto w oczy ślepą latarką i wstrząsał nim jak starym workiem.

— Strzecha! — mówił Koszowy — Strzecha! Wstawajcie! A kto tam pod wami! Sław! Wstawać! Ruszamy!

Zerwali się jak oparzeni i biegli do swego szeregu, półprzytomni jeszcze, nasłuchując po drodze najświeższych szeptanych po szeregach wieści. »Już nasza kawalerja przeszła... Wpław

przeszła...« Gdzieś znowu: »Placówki moskiewskie sprzątnęli... Nad rzeką ani jednego Moskala«. Strzecha oprzytomniał zupełnie i biegł teraz wzdłuż ustawionych plutonów, ślizgając się i potykając w rozrobionem błocie. W pewnem miejscu wpadł w jakiś dołek i rymnął prosto w Wiatrowe objęcia.

— Niech was djabli! — mówił Wiatr. — A to wam się spieszy! Na innych poczekajcie! Powoli, ojcze, powoli!

Ale ledwie stanął i poprawił przekręcony w biegu tornister, przebiegły ciche rozkazy i wraz drgnęła cała kolumna, poszła. Maszerowali teraz cichutko, starannie macając nogami rozmiękłą drogę, by, broń Boże, nie potknąć się i nie narobić hałasu orężem. Stosownie do rozkazu szli w głębokiem milczeniu, pisnąć nie śmiąc, jako to zwyczajnie w obliczu wroga. Poprzedni czarny mrok zamienił się teraz w białawą zwartą szarość, w której idąca kolumna ginęła dla oka, jak we mgle. »Księżyc wschodzi za chmurami«, domyślił się Strzecha. Wbijając wzrok w jednostajną ciemność, dojrzał przed sobą ciemny pas. »Czyżbyśmy do lasu zdążali?« dziwił się. I nagle domyślił się całej prawdy: »Moskale w miasteczku. Idziemy wypędzić«. W tej chwili, jakby na umówiony znak, kolumna stanęła. Całe dwie kompanje oderwały się od bataljonu i skręciły w boki,

na prawo i lewo. »Obchodzą, obchodzą!« cieszył się Strzecha. Cała sprawa poczęła go teraz zajmować jak gra. Znowu ruszyli — ostrożniej jeszcze i wolniej. Ciemna w oddali masa rosła i wysuwała się w szarości coraz bliżej. Znowu — stop! Stali teraz długą chwilę, która wydała się żołnierzom nieskończonością. Rozmawiać niewolno było nawet szeptem, palić tembardziej — stali tak oto lunatycznie w ciemny przed sobą pas wpatrzeni, czekając rozkazu.

W pewnej chwili Strzecha zobaczył nagle przed sobą Farysa. Spokojnym, jak na ćwiczeniach, głosem skomenderował: »Sekcja luzuj! Za mną — marsz!« I zaraz już z boku idąc, objaśniał szeptem: »Placówki idziemy sprzątnąć. Bagnetem. Skurczyć się ku ziemi, przygiąć! I cicho!« Strzecha, słuchając tych słów, spostrzegł na Farysowym mundurze biały kołnierz à la Słowacki i zdumiał się. »To elegant, bestja; kiedy się wystroić zdążył?« I brnąc po kolana w jakichś rozmiękłych zagonach, uśmiechał się z głębokim szacunkiem.

»Ubrał się na bitwę, jak na bal! Panienka!«

Szli tak, skurczeni we troje, z przewieszoną bronią, czas dość długi, który się wydał nieskończonym dla niewygodnej pozycji. Jedyną zmianą było rozrzucenie się w tyraljery na rozłożeniem rąk wyrażony, milczący rozkaz Fa-

rysa. Znowu brnęli milczkiem w gęstem błocie, całą siłą powstrzymując sapanie zadyszanych piersi. I nagle, gdy Strzecha już zwątpił o spotkaniu kogokolwiek, jak z pod ziemi wyrosła wysoka samotna postać. Rozległo się groźne z wyrzuceniem broni połączone: »Stój!« Słyszał jeszcze czyjąś po rosyjsku odpowiedź, lecz już oto zbliżał się do żołnierza instynktem raczej wiedziony, niż namysłem. Tygrysim skokiem dopadł i wraził bagnet aż po rękojeść. Ten stęknął i padł jak kłoda. »Patrzcie-no państwo, taki chłop! To łatwo, bardzo łatwo!« — zdziwił się Strzecha znowu. Lecz już rozległ się wyszeptany przez Farysa rozkaz:

»Za mną!... Biegiem!«

Rzucili się naprzód, olbrzymiemi susami z warkotem tornistrów i łomotaniem ładownic. Strzechę ogarnęło jakieś radosne upojenie. »Warta, psiakrew, blisko. Warta!« Naprzeciwko rozległ się gwałtowny trzask i Strzecha słyszał wyraźny ostry świst. »Nie dacie rady«, pomyślał: »za blisko«. Nic nie myśląc już dalej, skoczył przez leżącego na ziemi Topora i, krzycząc coś za innymi, wpadł z nastawionym bagnetem na jakiegoś Moskala. Pchnął, nim ten uskoczyć zdołał, wyrwał bagnet i pchnął znowu w bok innego, co nacierał na Wiatra. Usłyszał gdzieś z boku ostry krzyk: »Jezus, Marjo!« »Sław« — przemknęło mu jak błyskawica.

Odtąd niewiele już rozumiał. Dźgał w prawo i lewo, wśród klątw i rosyjskich wymysłów, prąc się naprzód, jak opętany. Co rusz to trafiał na jakieś zgiełkliwe żelazo, w jakiejś chwili uczuł rozdarcie własnego rękawa i ostry ból w ramieniu. »A masz, psiakrew, a masz!« mścił się zawziętemi razami. »Za mną«, krzyczał Farys: »za mną!« Goniąc uciekających, wpadli do zajętego już w połowie miasteczka. Moskale wdarli się przez pierwsze otwarte wrota i, coś ze sześciu ludzi, biegali jak oszaleli po błotnistem podwórku, szukając daremnie wyjścia.

— »Z d a w a j s i a!« — krzyknął Strzecha — »r u k i w w i e r c h!«

A już i Farys i Wiatr i Nowina, który tu się ze swymi ludźmi znalazł, Nowina szczególniej, zaczęli się drzeć w niebogłosy: »Zdawaj się, psiakrew! Zdawaj się jeden z drugim!« Moskale porzucali broń i dali się spędzić do kupy, jak baranki, ocierając w milczeniu czoła. W niepewnem, drgającem światełku z jakiegoś okna Strzecha dostrzegł jakieś borykanie się pod parkanem. Skoczył zaraz w tę stronę i ku swemu zdumieniu zobaczył spokojnego baranka Alojzego, jak z furją okładał kolbą karabina przewieszonego już w połowie przez płot Moskala. Moskal wrzeszczał dzikim głosem, a Alojzy młócił po nim z pasją, jak po worku psze-

nicy, aż się rozlegało, niby na klepisku: »łup! cup! łup! cup!«

— Alojzy! — krzyknął Strzecha — co robicie! Bójcież się Boga!

Ten obrócił ku niemu nieprzytomną twarz, ale wraz opamiętał się i przerwał młockę.

— A bo to mój Moskal — tłumaczył się wstydliwie — uciekał już i ledwie mnie nie dźgnął! O, patrzcie!

Widząc, że otłuczone Moskalisko z jękiem próbuje zleźć z płota, wzięli go pod ramiona i znieśli do reszty więźniów. Tu już Nowina oczyścił dla nich jakąś żydowską stancję, i, zostawiwszy jednego ze swoich na straży, szykował wraz z Farysem swe sekcje do dalszych czynów. »Idziemy! idziemy!« — cieszył się Strzecha z serca, ani pamiętając o dolegającem ramieniu. Na ulicy już, telepiąc się z pośpiechem po grząskiem błocie, zwierzał się radośnie sąsiadowi:

— Wesoło, Wiatr, co! Abyśmy ich tylko dopadli!

Wiatr aż zębami zgrzytnął z zaciętości:

— A gałgany! psubraty!

Strzecha dziwił się.

— Cóż wam to? Czegoście źli?

— Ja? zły? Nie. Biłbym tylko.

To im się jednak nie udało. Oddalona wrzawa zacichała coraz bardziej. Coraz częściej spo-

tykali wracające w pięknym szyku plutony, raz minęli całą, ustawioną, jak na mustrze, kompanję. »Dokąd idziecie?« — pytali żołnierze — »Koniec. Ani pół Moskala w mieście!« Nie chcieli jednak wierzyć. Dopiero na jakimś rogu spotkali Koszowego z resztą plutonu. Po przyjęciu meldunków usłyszeli krótki rozkaz szukania kwater.

Strzecha zwiesił nos na kwintę.

— Już koniec! — westchnął — ledwieśmy się rozbawili!

— Będziecie mieli zabawę i jutro — pocieszał Koszowy.

I nagle, przyjrzawszy się Strzesze uważnie, aż krzyknął:

— Strzecha! Co wam jest? Wyglądacie, jak rzeźnik! Wyście ranni!

— E, gdzie tam ranny! Troszkę mnie w ramię skaleczył.

— Te, te... skaleczył... Marsz, do doktora!

Nie pomogły perswazje, ani wskazywanie na ciężej rannych, czy zgoła zabitych Topora i Sława.

— Już ich tam saniteci wezmą, nie bójcie się! Marsz!

Dodano mu na wszelki wypadek Wiatra — i poszli. Po długich pytaniach znaleźli wreszcie sanitecką chałupę. Wiatr otworzył drzwi, zajrzał i cofnął się zaraz, mówiąc do Strzechy:

— To ja tu na was poczekam.

Strzecha wszedł i zrozumiał przyczynę Wiatrowej wstrzemięźliwości. Cała izba pełna była jęków i świeżej, gorącej krwi. Pochylając się nad złożonymi na ławach chłopcami, Strzecha zbladł jak trup. Wstyd mu się zrobiło własnego draśnięcia, wstyd, że tu przyszedł bez przebitej piersi, czy brzucha, jak ci inni, biedacy! Z jakiegoś kąta zawołano nań:

— Strzecha!

Zbliżył się i patrzał w pełne łez Sławowe źrenice.

— Strzecha! I was zranili? — pytał cicho.

— Nie, prawie wcale... — tłumaczył się pokornie.

— A mnie bardzo... Tu, w bok! Tak strasznie boli... — skrzywił się Sław. Próbował jeszcze żartować:

— A kolacja się zmarnuje... Ziemniaki...

I zaraz począł kwilić cicho, boleśnie, jak małe dziecko.

Strzecha stał nad nim z pełnemi łez oczami, dopóki nie odtrącono go dość gwałtownie. Jakiś doktór spojrzał nań wściekłym wzrokiem:

— Czego tu?

— Draśnięcie — odezwał się Strzecha pośpiesznie.

— Kość złamana?

— Nie...

— To marsz! Sanitet opatrzy. Tam, w kącie. Czasu niema.

Gdy sanitet chciał rozpruwać ramię munduru, Strzecha zgniewał się setnie.

— Ale, pewnie... Sprawicie mi nowy?... Ciągnijcie... Ostrożniej, psiakrew, boli... — syczał z bólu, oddzierając zapiekłą w rękawie krew.

Rana okazała się rzeczywiście dość płytkiem zakrajaniem i za chwilę Strzecha z obandażowaną lewicą maszerował obok Wiatra.

— Sława widziałem, wiecie? W bok ranny...

— Hm... — mruknął tamten. — A Topora ponieśli...

— Gdzie ponieśli?

— Gdzie? Nie na bal, ani do kąpieli.

— Hm — westchnął ciężko Strzecha. — Ano, wojna.

Niedługo, kierując się zostawionymi jeńcami, znaleźli swój pluton. Chłopcy zajęli dwie obszerne izby żydowskie, śpiesznie opróżnione przez przerażonych właścicieli, którzy przenieśli się na górne piętenko. Został tylko mały Josek i, stojąc w czapce przy kominie, przyglądał się żołnierskiej gospodarce głębokiemi, smutnemi oczyma. Na rozpalonym już ogniu pitrasiły się znoszone skądś przez Heńka i Konrada ziemniaki; jeden z żołnierzy piastował wcale obfity połeć słoniny. Zasłane parą i dy-

mem izby pełne były śmiechów i opowieści o dzisiejszych czynach.

Wejście Strzechy z Wiatrem powitano huczną radością: Farys chwalił już ich waleczność od dziesięciu minut.

— Wiwat Wiatr! Wiwat Strzecha!

— Dać im medal z kartofla! Virtuti militari — darł się Nowina.

— Strzecha wiwat! Takie niewiniątko, bazgracz, a w bitwie — lew!

— W bitwie? W jakiej bitwie? — protestował Strzecha pogardliwie: — to były żarty, nie bitwa!

— No, niejeden z tych żartów ziemię gryzie — mruknął ktoś z kąta.

Liczne głosy oburzyły się na to niewczesne odezwanie.

— Słoninębyś gryzł, kiedy ci przed nosem leży, zamiast głupio gadać!

— Idjota! Strach go obleciał!

— Martwi się! Pogrzebowy mówca!

— Wpisz się do sanitetów, słoniu!

Sam Koszowy łaskawie wszczął rozmowę o Strzechowej ranie. Potem objaśniał zwięźle całą sytuację:

— Ledwie świt nas zaatakują. Może w nocy jeszcze... Cała kompanja w pogotowiu...

— Szacunek! Ziemniaki jadą! — wrzaśnięto od komina.

Rzucono się do stołów hurmem i każdy począł napychać się w milczeniu, metodycznie i ze starannością.

Ciepło izby, oraz gorące, parą buchające jadło wywarło swój skutek odrazu. Co drugi począł zaraz nosem po stole jeździć, z ledwością do ust łyżką trafiając, co słabszy zaś wałęsał się po kątach, jak senna mucha, szukając tylko miejsca, gdzieby złożył utrudzone gnaty. Przytulony do ściany Wiatr chrapał tymczasem otwarcie, z sykiem i świstem, ku szczeremu podziwowi kolegów. »Nie zwykły to, psiakość, Wiatr! — Halny!« mruczał, układając się do snu, Nowina. Ktoś zagasił tęgo kopcącą lampę...

Strzecha zasnął, jak inni, lecz oto wbrew zwyczajowi, jęły go trapić przeróżne widzenia. Siedzi oto, jakby po powrocie z Włoch, u siebie w domu, w Piotrkowie, w stołowym, na starej włosianej kanapie, dłubie w jej dziurach wedle starego obyczaju z dzieciństwa jeszcze, i patrzy na ojca, zasuszonego na łapówkach urzędniczynę. Stary gryzmoli coś pod wiszącą lampą i opędza od much pożółkłą łysinę. Raptem spojrzał na Strzechę tak ostro, górą ponad okulary, jak to ojciec. »Cóżeś ty?« — pyta — »Jakeś ty się ubrał? Skąd wracasz?« — »Z wojska«, mówi Strzecha. »Z jakiego znów wojska?« — »Z polskiego, z Legjonów«. — »Co ta-

kiego?!« — woła stary. Wstał, a wargi mu pobielały i pióro się w rękach trzęsie. I zaraz krzyczy cicho, półgłosem, coraz się na okno i drzwi ozierając. »Zupełnie już zwarjowałeś?! Co ci się śni znowu?! Nie dość, że malujesz, zamiast uczciwie pracować, jeszcze to ci w głowie! Nic, że sam zginiesz marnie, ale nas, całą rodzinę w nieszczęście wtrącasz?!« Strzecha chciałby coś odpowiedzieć, a nie może; już, już, wstaje z kanapy, a tu stara kanapa nie puszcza; wyrywa się i znowu buch! z powrotem. Czuje, że gładzi go po twarzy jakaś ręka, i słyszy głos matki: »Dobrześ, dziecko, zrobił, dobrze... Trzeba było iść, bez namysłu, koniecznie trzeba«. — »Ja mu to zaraz powiem, mamo«, szepce Strzecha. A matka przykłada palec do ust: »Nic nie mów! Nie wolno nic mówić!« Ojca już niema, a zamiast niego siedzi przy stole komisarz z cyrkułu, ten z rudemi bakami. Bębni po stole palcami i gada niby po polsku, niby po rosyjsku: »Wy, Strzecha, mówcie prawdę, jak na spowiedzi; my i tak wszystko wiemy«. — »Nic nie wiem« — mówi Strzecha. Komisarz się śmieje. »Nu, to my znamy! I tak zaraz zaczniecie mówić. Przywieść!« — rozkazuje stójkowym.

Kogo też wprowadzą? — myśli Strzecha. Patrzy, chciwie patrzy... Wprowadzają Tolę, Jadziną koleżankę, oczywiście Tolę... Boże, jak ona na niego patrzy, na Strzechę. »Nic nie

wiem«, mówi. Tak cichutko mówi. A komisarz się śmieje. »Ot, pan Strzecha! powiecie, to ją puścimy, a nie, bić będziem!« »Nic nie wiem«, mówi Strzecha. I czuje zaraz szarpanie jakieś i ból, taki ostry ból w ręku. Szarpie się, chce uderzyć, woła coś — i nagle słyszy cały żołnierski gwar w izbie i niecierpliwy Farysowy głos:

— Wstawajcie, Strzecha! alarm! wstawajcie!

Strzecha zerwał się odrazu na równe nogi, że to rwetes był już tęgi. Wkładano tornistry, przypinano rzemienie, szukano własnej broni... Twarze były złe i ponure z niewyspania. Nowina klął swą sekcję na czem świat stoi; wszystko było mu zapóźno i nie na rękę. Aż Wiatrowi stało się tego zawiele:

— Nie krzycz, Nowina, bo cię paraliż ruszy. Czego się drzesz?

— Nie wtrącaj się, Wiatr! Pókim był żołnierzem, dobrze mi było: wyspałem się, najadłem... A teraz co? Dbaj o ośmiu baranów! Sekcyjny! Zaszczyt, psiakość!

Ale Wiatr tylko ramionami wzruszał: zdawna tęsknił już bowiem do zielonego sznurka.

Nawet spokojny Alojzy był nie w sosie dzisiejszego ranka. Ubierał się wolniej, niż zwykle, i mruczał pod nosem gęsto. Gdy Strzecha zbliżył się doń z prośbą o przypięcie tornistra, zabrał się do tego bez słowa odpowiedzi.

— Śpieszy im się! Zawsze im się śpieszy! — mruczał, wściekle wywracając wyłupiastemi gałami.

— Ostrożniej, Alojzy! Boli, jak djabeł! Spuchło całe ramię — syczał Strzecha.

— Zameldujcie się, żeście chorzy. Pogorszy się od tornistra — proponuje z boku Farys.

— Co? Zameldować? — obruszył się malarz. — Na bitwę?

— Zbiórka, chłopcy! Zbiórka! — rozległ się donośny głos Koszowego.

Wybiegli i zaraz ruszyli w szyku na rynek ciemnemi jeszcze ulicami. Wraz zaczęły się tam schodzić inne plutony i kompanje, ciężko się po błocku telepiąc, złe i niewyspane. Stali tak czas dość długi, jak wmurowani, podobni w ciemności do ponurych, ślepych ścian, zrzadka oświecanych latarniami włóczących się, jak muchy, oficerów. Gadać się nikomu nie chciało. Nawet rozkazy dawane były matowemi i nudnemi głosami. Mżył drobny, obrzydliwy deszczyk.

— Jezu, jak mi się jeść chce! Idziemy już, czy jak?... ziewnął Heniek na całe gardło.

Stali tak już z kwadrans, dygocąc na całem ciele z zimna i niewywczasu. Gdzieś na wschodzie wstawał świt, blady również i niewyspany po dżdżystej, męczącej nocy. Dalekie wyloty

ulic otwierały się na brunatne, pustką ziejące, jak na przyjęcie mogił, pola.

Raptem w tylnych szeregach powstał ruch, gwar; rozległy się radośne śmiechy i pokrzyki. Cały pluton odwrócił głowy, jak na komendę. I nagle Heniek, najwyższy w plutonie, wspiął się na palce i drzeć się prawie począł z uciechy:

— Mleko! Jak mi Bóg miły, — mleko! Kubłami niosą! Gorące!

— Co mówisz? Mleko?! Prosto od krowy! — wrzasnął Wiatr.

— Milczeć w szeregach! — uśmiechnął się Koszowy.

Ale niełatwo radość uspokoić. Szeptano teraz coraz gorliwiej, gwałtowniej, z niepokojem. »Wypiją z tyłu! Wypiją, gałgany! Do nas nie dojdzie!« Niejednemu aż serce biło ze strachu, że nie dojdzie.

Doszło jednak! Dostali po dwa kubki każdy i chleba z serem pajdę. Boże, cóż to była za uciecha! Każdy z zatkaną doszczętnie gębą spozierał na sąsiada śmiejącemi się oczyma, z których wyglądał raj. Gorące, prosto od krowy mleko!

— Dobre było! — skonstatował Wiatr, zapalając skręconego papierosa.

— Dobre! — potwierdził Alojzy z westchnieniem. — Dobre, tylko mało!

— Ba! słoniaby prędzej nakarmił, niż ciebie! — mruknął Wiatr.

Miny i humory poprawiły się setnie. Nikt nie uskarżał się już na zimno, deszcz i wczesną porę. Każdemu pilno już było »do roboty«, jak mówili. Ogólny podniecony nastrój podwyższały jeszcze ciche rozmowy oficerów, bieganina sztabowych ordynansów, gapienie się wyległej na deszcz ludności. W jakiejś chwili szybkim kłusem przeleciał przez rynek oddział kawalerji, W dziarsko, na bakier wsadzonych ułankach, z minami, jak sto djabłów, sadzili między piechotą, ani spojrzeć racząc — tylko błoto furczało z pod kopyt i powiewały rękawy niedbale przywdzianych futerek. Oficer ledwie w biegu szablą kolegów z piechoty pozdrowił.

— Jak ci to końskie ogony walą! — mruknął Konrad ze zwykłą w piechocie do tej broni niechęcią.

— Ba! takiemu łatwo! Nic nie dźwiga, toby tylko latał! Jeżdżą, jak hrabiowie! — dorzucił Wiatr z goryczą.

— Jeszcze ci go w gazetach opiszą, że rycerz! A ty, bracie, nie jedz, nie śpij, tylko chodź i giń!

— No, jeszcześ znowu, Alojzy, nie zginął...

— Mają i oni za swoje — dorzucił Farys. — Przepłynąłby który Wisłę nagusieńki w taką noc, jak wczoraj?

— Wisłę? — wrzasnął Heniek — to ci sztuka? Niech tylko każą! Już płynę, już! Choćby zaraz! Jeszczebym tym końskim ogonom pokazał!

— A ty, bracie, jak ten pies, na własnych nogach ganiaj! — splunął któryś, w zamyśleniu na niknący już oddziałek patrząc.

— Ślachta, psiakość! — westchnął sąsiad, nie wiedzieć, z podziwem, czy żalem.

— »Pluton, bacz...ność! Równaj w pra...wo! W praa...wo zwrot! Pluton — marsz!

Zakołysało się, zabulgotało rozrobione nogami błoto i przed oczyma milczących mieszkańców, jak na paradzie, przewalił bataljon za bataljonem, kompanja za kompanją, pluton za plutonem. Rozeszli się, ci w prawo, tamci w lewo, inni wprost, jak komu rozkazy wskazywały.

Zaraz za miastem Strzechowy bataljon rozwinął się, jak chorągiew na wietrze. Patrząc z tyłu na rozchodzące się ze sprawnością starego żołnierza oddziały, sercem czując i podziwiając te w porannem świetle manewry, Strzecha rozpalił się znowu do tej sprawy całą duszą.

— Boże, jak pięknie! — myślał — jak dobrze żyć!

Ani dbał już o spuchnięte ramię, ani czuł śliskie pod stopami błoto: cały był jak płonący

na wroga wyrzucony pocisk. Każdy nerw dygotał w nim gotowością i pragnieniem walki. Rysiemi oczyma przebiegał jednostajne pola, uchem szukał najdalszego odgłosu. Nic. Wszędzie cisza i pustka. Żołnierze szli w milczeniu, z surowemi twarzami, jak do poważnej i męczącej pracy. Szli milczkiem, nie wierząc tej zdradliwej ciszy i pustce, każdej chwili gotowi do odparcia zdradzieckiego podstępu. Szli, szli ciągle. Wyciągali z gliniastego błota nogę za nogą, posuwali się wolno, krok za krokiem, a szli, a szli... Minęli jedną wieś puściusieńką, minęli drugą. Przyłapali gdzieś w opłotkach dygocącego jak osika pachciarza, który, z twarzą bladą, jak opłatek, wśród niesłychanej gestykulacji zapewniał, że nic nie wie ani on, ani jego żona, ani dzieci... Gdzieś za wsią, na dalekich samotnych polach, zobaczył Strzecha jakąś rodzinę chłopską, biegnącą gdzieś w dyrdy, na przełaj, przed siebie. Baba wlokła za rękę płaczące, zapadające się w rozmokłej roli dzieciaki, chłop dygował dwoje młodszych na ręku.

— Dokąd ci znowu biegną? — pytał się Strzecha z niesłychanem zdumieniem.

Wysłana pogoń wróciła z meldunkiem, że uciekają do lasu, że oszaleli ze strachu... Serce Strzechy spłynęło żalem, jak krwią.

— Bitwę czują. Moskale blisko! — mruknął Koszowy.

I nim skończyć zdołał, gdzieś, z niewiadomej strony padł samotny strzał...

»Są, są!« — zaszeptano w szeregach radośnie.

Ożywiły się wszystkie twarze, załopotały wszystkie serca. Padł drugi strzał, trzeci, a potem już bez przerwy, jeden za drugim, jeden za drugim... Strzecha widział, jak daleko w polach idące oddziały rozwinęły się nagle, rozsypały, jak rybom rzucony groch, i poszły biegiem przed siebie. »Na pomoc walą! na pomoc!« — szeptano, choć nie widać było walki, ani świstu kul słychać. »Za wzgórzem, za wzgórzem!« — wskazywano sobie kierunek palcami. I znowu patrzano, jak dobiegłszy na szczyt wzgórza, oddziały znikły tam nagle, jak zdmuchnięte. »Padli! padli! zaraz walić zaczną! O! słyszycie!« Salwa! salwa! salwa! »Salwami walą! Do kawalerji! O Jezu!« — rozległo się czyjeś zachwycone westchnienie. Cały pluton dostał nagłej gorączki z niecierpliwości. »Czegóż my stoimy? Czegóż, u djabła, stoimy?!« — pytał się jeden drugiego gniewnym szeptem. »Tam się biją, a my stoimy?!«

— Stać! — warknął groźnie Koszowy.

Każda nowa salwa przebiegała przez wszystkie serca ostrem drżeniem. Niejeden deptał na miejscu, udając przed samym sobą, że się przecież porusza, że idzie. Ktoś zaczął się pro-

sić cienkim głosem: »Na ochotnika! na ochotnika!« I naraz rozległy się w plutonie szmery, a później jednogłośne ciche szemranie i prośby: »Na ochotnika! Na ochotnika!«

Koszowy obrócił się ze zmarszczonemi brwiami.

— Milczeć! — wrzasnął — Bielewicz, Malinowski, wystąp!

Wskazani wyskoczyli raczej, niż wystąpili.

— Do komendanta kompanji! Tam! Po rozkaz! Możecie postrzelać, ale niech mi który wróci z raną, ja mu wrócę!

Oddali honory, pobiegli. Długo widać ich było, jako maleńkie szare figurki, póki nie rozpłynęli się w brunatnych polach, nie znikli.

Tymczasem bój za wzgórzem ucichał. Strzelano jeszcze chwilę paczkami, bez wyraźnej odpowiedzi, potem coraz rzadziej, wreszcie padały już tylko pojedyńcze strzały, najlepszych widać strzelców, do upatrzonego celu. Twarze żołnierzy wyraziły głębokie rozczarowanie...

— I bez nas się obeszło — wzruszali ramionami z pogardą.

I naraz, wśród kompletnej już prawie ciszy, rozległ się daleki od strony wroga gniewny warkot i plucie: »Wrrrr!... wrrrr!... wrrrr!...« I znowu gruchnęły strzały, pojedyńcze i paczkami, bez przerwy już i ustanku.

— Co to jest? — pytano ze zdziwieniem: — Co się stało?

— Karabiny maszynowe — odezwał się Koszowy, spoglądając na swój pluton z uśmiechem.

»Wrrrr!... wrrrr!... wrrrr!...« — gniewały się te karabiny, spluwając pogardliwie. A gdzieś, wśród łoskotu, rozległ się nagle solidny, ciężki, jakby olbrzymiego dzwonu dźwięk: »Bum!« I zaraz zawtórowały mu inne, jakby przyświadczając: »bum! bum! bum!«.

— Armaty — zaszeptali żołnierze—armaty!

Koszowy wsłuchiwał się uważnie, licząc:

— Dobra! Osiem — skonstatował dla samego siebie.

Strzecha patrzał przed siebie szeroko rozwartemi oczyma i uśmiechał się jak do bajki. Oto nad spokojnem dotychczas wzgórzem poczęły dziać się sprawy nigdy niewidziane, niezwykłe: z dalekiej przestrzeni wylatywał co chwila pocisk, szarpiący powietrze z wyciem i skomleniem niby bólu, niby gniewu, niby przerażenia; dobiegłszy wzgórza, wyrzucał z siebie kłąb białych dymów, na którym czarodziejsko odbijały dwa kolory, zielonawy i czerwony, a z tej czerwieni, jak ze skrwawionej paszczy, sypał się na dół grad kul. I nim się pierwszy dymek rozwiał, przelatywał już drugi pocisk, trzeci, czwarty — i oto cały przestwór

nad wzgórzem pełen był białych dymów, jak gołębi. »Szrapnele! szrapnele!« — cieszyli się żołnierze. Zapomniawszy już o nieustannym warkocie karabinów, w dziwnem zachwyceniu liczyli odgłosy armat i białe ponad wzgórzem znaki, ani pamiętając na chwilę, że tam przecież na wzgórzu giną koledzy ich, towarzysze. Tymczasem ogień ze wzgórza słabnął znowu i widocznie. Gdzieniegdzie już tylko odzywały się rzadkie, jakby mimowolne strzały. W pewnej chwili spostrzegł Strzecha niezwykły na wzgórzu ruch: skuleni, jeden od drugiego dalecy, poczęli tam żołnierze schodzić z przewieszoną w ręku bronią, linja za linją, oddział za oddziałem. Strzecha zbladł na ten widok. »Co takiego? cofamy się?! — szepnął do Farysa. »Nie da rady! Armaty« — mruknął tamten. Ze ściśniętemi zębami patrzał Strzecha na mijające ich w polu plutony, za któremi goniły białe nad głowami dymy. Gęsto między oddziałami widać było nosze i śpiesznie uwijających się sanitetów. W pewnej chwili dopadli plutonu zziajani wysłańcy, Bielewicz i Malinowski.

— Zasłaniać odwrót! Zluzować tych, ze wzgórza! — wrzeszczeli już zdaleka.

— W tyraljery! Odstęp pięć! Pluton marsz! — machnął ręką Koszowy.

— Aaa!... — rozległo się z piersi żołnierzy westchnienie ulgi.

Starannie kierunek ognia wymijając, przeprowadzani zdumionemi oczyma wracających oddziałów, wpadli raczej, niż weszli, na to wzgórze.

— Padnij!

Leżąc wśród gęstego błota, wczołgali się na sam wierzchołek, z którego daleki się rozciągał widok. Mimo ciągłego warkotania i armatniego huku, na brunatnej szarzyźnie nie było nic, prócz pustki i milczenia. Bystre oczy zaledwie mogły tu i ówdzie dojrzeć czarne punkciki — trupy zabitych koni. Naraz Koszowy, badający tę przestrzeń przez lornetę, skomenderował:

— Kierunek trzy drzewa! Osiemset! Salwa, raz!

Z jakąż głęboką rozkoszą ciągnięto za cyngle! Salwa, dwa! Salwa! Salwa! Paczkami! Żołnierze cieszyli się jak dzieci, strzelając. Toż to sobie użyją! Armaty zamilkły na chwilę — zwrócili na siebie przecież uwagę. Gęściej strzelać! gęściej strzelać! I oto gdzieś nad nimi zawyło coś, jękło, trzasło... Odkryli nas! odkryli! I znowu zawyło i trzasło. Przenoszą, przenoszą!... Chłopcy śledzili bieg pocisków z radością, śmiejąc się i dowcipkując.

— O, o! Gdzie to wali! w prawo więcej, w prawo! Byli tam dawniej, ale poszli!

— A trafże choć jednym, głąbie! prochu szkoda! — warknął Nowina prawie z żalem.

Co pewien czas na rozkaz Koszowego zmieniali miejsce, na czworakach po wzgórzu pełzając.

— Procesja, jak do Matki Boskiej! — cieszył się Heniek.

A na nowem miejscu znów strzelali salwą i paczkami, bo Koszowy kazał nie żałować ognia. Pach! pach! gruchały salwy. Bum! bum! odpowiadały działa. I znowu: — pach! pach! bum! bum!

— Ech, żeby się tam do nich dostać! Żeby tak na bagnety! — westchnął Strzecha żałośnie.

— Strzelać, strzelać, nie gadać! — mruknął Farys surowo, wbrew obyczajowi.

Tymczasem pociski padały już coraz gęściej i coraz bliżej. Siaki-taki zaprzestał żartów i z niepewną miną spozierał ponad głowę. Twarze jęły się ścinać i surowieć, oczy nabierały niespokojnego blasku. Z kraju leżący Alojzy dostał już w łeb pacyną wzbitej ziemi i obcierał się teraz i otrząsał wśród klątw i urągania. Zaczęło być gorąco.

— Gęściej strzelać! gęściej strzelać! — słychać było surowe głosy sekcyjnych.

Strzelali też przybici, jakby wrośli w ziemię, strzelali w milczeniu już, byle nie myśleć o tem, co się nad głowami dzieje. Każdy widział ko-

niec tylko własnej lufy, ciągnął za cyngiel, nabijał, znów ciągnął i znów nabijał... Wreszcie Koszowy, w tył przez lunetę patrzący, odezwał się z uśmiechem:

— No, chłopcy, nie mamy już tu dłużej co robić! W tyraljery, dziesięć, marsz!

— Znowu się cofamy? — pytał Strzecha.

— Nachyl się, psiakrew, Strzecha! Nachyl się! — warknął Koszowy.

Schodzili ze wzgórza przycupnięci, chyłkiem... Strzecha ledwie wymógł na sobie tę pozycję. Łzy mu się w oczach kręciły na myśl, że ustępuje, że przecież trzeba iść w tył, tam, skąd się przyszło...

Ani mu pociechą było, że widział daleko w polach swoje w szyku i bezpieczeństwie ustępujące oddziały... Aż mu się pięści ściskały na te wyjące nad głową pociski.

— Żeby tak armaty, psiakrew, żeby tak armaty! — mruczał — dalibyśmy wam bo!...

Nie skończył, bo oto huknęło go coś w bok ze straszną siłą. »Szrapnel«, pomyślał, waląc się na ziemię. Grzebiąc ją z bólu palcami, myślał jeszcze z żalem:

— Ech, żeby armaty!...

*

* *

Na drugi dzień armaty przyszły i Moskale cofnęli się śpiesznie, lecz Strzecha nie cieszył się już z tego. Ze strzaskanem biodrem, trząsł się z innymi do najbliższej stacji kolejowej, bełkocąc coś w gorączce o Piotrkowie i Toli.

NACJE

Na oznaczoną godzinę zebrała się ich w gabinecie dyrektora spora grupka. Był i główny winowajca Popowić Milan, Serb o nosie grubym i końskim śmiechu, był i bezczelny Abeljanc i Węgrzy: Miklas i Krausz i wesoły Mazetti, i Krzycki z Milerem, i Radosławlew, i Crenianu, przywlókł się i obojętny na wszystko Smirnoff. Śród panującego w pokoju mroku chłopcy przycichli mimowoli, porozumiewając się prawie szeptem. Smirnoff, siadłszy z boku, wysunął nogi w jaskrawą smugę słońca, wpadającego przez niedomkniętą roletę, i somnambulicznie kontemplował lśniące nosy lakierków.

Gabinet dra Ernsta Haegeli, jak wszystko zresztą w owem Gimnazjum dla Abiturjentów, tchnął chłodnym, iście szwajcarskim ładem. Olbrzymie biurko dębowe i drugie, przy ścianie, amerykańskie, skórzane fotele i kanapy, jakieś ponure, cieniem zasute widoki i konterfekty, podłoga codziennie zmywanem linoleum kryta, ogromne szafy bibljoteczne z matowym

połyskiem szyb, ciężkie we drzwiach portjery, wszystko ciemne, zgaszone tembardziej przez zasunięte przed południowym skwarem story, przygnębiało zimną, kalwińską prawie surowością.

Gdzieś pod storami tłukła się monotonnie duża niebieska mucha.

Krzycki słuchał tego nieznośnego brzęku ze wstrętem. Był on dlań jakby słuchowym symbolem dyrektorskiego pokoju i całego tego zakładu: brzmiał mu w uszach od zeszłej jesieni, od pierwszej chwili wstąpienia. Pamięta dokładnie owo metaliczne bzykanie, beznadziejną muszą walkę o wolność już wówczas, gdy dr. Haegeli po raz pierwszy przeglądał jego papiery. Pamięta również złoty błysk dyrektorskich plomb, kiedy zwrócił się doń z szerokim, niby to jowialnym uśmiechem na drewnianej twarzy: »Dabro pożałowat', Herr von Krzycki«. I szybkie zmieszanie, przelotny odruch niechęci na jego stanowczy protest: »Ach, so, so! ein Pole... ein Pole...« pokryte zaraz zdwojoną, zimną już grzecznością: »Willkommen also!...« Są tu i rodacy pańscy: Herr... Herr... Zawsze te nazwiska...

Przytłumiony a rżący śmiech Popovica urwał te wspomnienia w zaczątku. To wesoły Mazetti łaził po krzesłach i stołach, z małpią iście zręcznością przewieszając dyrektorskie

obrazy. Wkrótce w gabinecie zapanowała szczera radość. Brawo, Mazetti! Tylko milczący Smirnoff na propozycję pomocy odwarknął brutalnie: »Lassen!«

Uśmiechając się do Włocha, Krzycki liczył kolegów oczyma. Polacy, Węgrzy, Ormianin, Serb, Bułgar, Rumun — ani jednego Anglika, Francuza, Niemca!... »Lauter minderwärtige Nationen!« Tak zawsze! Skoro tylko awantura w zakładzie, odpowiadają »Minderwärtige«. Głucha nienawiść wzbierała w Krzyckim, jak wrzód. Przeglądając obecnych, przypomniał ich udział we wczorajszem. Smirnowa nie mogli pominąć, bo on to przecież trzymał Bertę, gdy Popowić lał jej za kołnierz zimne piwo; dlaczego jednak niema von Prietwitza, co, w odpowiedzi na wymysły gospodarza, wytłukł mu laską wszystko szkło na ladzie? Gdzie jest Lechford, który stołkiem zapraszał obecnych Szwajcarów do odwrotu? Czemu nie wezwano Labeufa, Liphardta, Duponta? Co zaś robi tu on, Krzycki, który przez cały czas, aż do ogólnej bitki, grał najspokojniej z Clarkem w bilard? Albo Mazetti, co tylko zjeżdżał po poręczy z gwizdaniem na środek sali, psując mu z uśmiechem najlepsze karambole? A Radosławlew, a Miler, który właśnie Berty bronił, a Crenianu?

Minderwärtige Nationen.

Równocześnie ze szczękiem naciskanej

klamki, rozległ się tęgi łoskot, jakby rzuconego o ścianę football'u. Mazetti skoczył na równe nogi z wysokiego stolika. Dr. Haegeli rozejrzał się z podejrzliwą powagą i przeszedł szybko do biurka. Tu dopiero, jak z poza szańca, odpowiedział na pozdrowienie uczniów. Mówił samemi tylko szczękami na nieruchomej, brodą jeszcze wydłużonej twarzy: chłopcy odczuwali jego słowa jak nudne kłapanie powolnej kołatki.

— Panowie! Wina ulegnie karze. Zakład nasz traci dobrą sławę przez swych uczniów. Obywatele się skarżą. Pan Abeljanc...

Abeljanc wystąpił naprzód.

— Wcale tam wczoraj nie byłem — kłamał bezczelnie, wzruszając ramionami.

— Nie przerywać! Pan Abeljanc spaja nocami córki porządnych rodzin, pan Popowić krzywdzi biedną dziewczynę, a panowie Smirnoff i inni są mu w tem ku pomocy...

Krzyckiego dusiła głucha, długo trawiona wściekłość. Rozepchnąwszy kolegów, pytał niedbale, patrząc kierownikowi w same oczy:

— Proszę o odpowiedź: dlaczego nie wezwano wszystkich winnych? Dlaczego są karani zawsze ci sami?

Podtrzymały go liczne, uradowane głosy:

— Tak, tak! Krzycki ma rację! Dlaczego zawsze ci sami?

Dr. Haegeli na ten huczek długo coś poprawiał koło złotych binokli. Krzycki stwierdził spokojnie:

— Dyrektor nie odpowiada...

Twarz kierownika straciła nagle swój drewniany spokój.

— Sie!... von Krzycki!—pienił się prawie.— Tłumaczyć się wypada, nie pytać! Jeden z głównych winowajców! Pan trzymałeś, gdy inni piwo leli! To policją pachnie, ta sprawka! Mnie mogą zakład zamknąć! Pan tu jakieś kwestje wymyśla, jakąś stronność, a sam... Pozory dobrze ułożonego człowieka, a barbarzyństwo w głębi! Barbarentum!

Krzycki przybladł. Cienkie nozdrza zadrgały mu niespokojnie, siwe oczy pokryły się prawie nawisłemi brwiami.

Dr. Haegeli pohamował się jednak natychmiast. Drżącemi rękami zbierał rozrzucone na biurku papiery.

— Słucham. Czem się pan usprawiedliwi?

— To wszystko nieprawda.

Dr. Haegeli uśmiechnął się zgryźliwie, kołysząc trzymany w ręku ołówek.

— Proszę... Nieprawda. Niestety, mam dobrych świadków. Fräulein, bitte!

Przez niedomknięte drzwi wsunęła się niebrzydka, ohydnie jednak rozlana blondynka, o niezdrowej cerze i podpuchniętych od płaczu

oczach. Podsłuchiwała, widać, bo od progu już zawodziła żałośnie, nie zważając na uśmiechy i potrącania się uczniów:

— On, właśnie on! Trzymał, kiedy leli! Herr Je! Taki wstyd biednej dziewczynie! I bluzka półjedwabna, całkiem nowa! O Gott! W całem mieście wiedzą! Czego pan patrzy? Może nie pan trzymał? Co? Wszyscy widzieli!

Herr Haegeli postukiwał miarowo ołówkiem:

— I cóż pan na to?

W Krzyckim poruszyła się naraz cała wzgarda. Uspokoił się odrazu.

— Hab' schon alles gesagt [1]).

Skłonił się krótko i odszedł, nie spojrzawszy nawet na rozwścieczoną dziewczynę.

Twardym krokiem przemierzył olejno malowane korytarze, zbiegł na dół po szerokich schodach i, przeszedłszy rachityczny ogród zakładowy, przystanął przed otwartą w murze furtką. Tuż za nią, poza ostrym ku dołowi spadkiem, rozciągały się długie zagony okopowisk, niby buraczane na Kujawach pola; równe sznury jednostajnych bróżd, miedzami związane w misterne wachlarze, biegły jedne obok drugich, hen ku błękitnemu widnokręgowi, gdzie ciemne masy górskie zwisały niewyraźnie, jak

---

[1]) Wszystko już powiedziałem.

chmury. Wściekłe lipcowe słońce tarzało się w tej wszędy jednostajnej zieleni, tu i owdzie zaledwie, na wzgórzach, wylizując brunatne pasma gorącym jęzorem; z jednej tylko strony, na ostrzejszem zboczu, sterczały patyki szarego od przydrożnego pyłu wina. Cała ta jedyna wśród gór okolica, jakby wycięty szmat z polskich olbrzymich równin, była dla Krzyckiego pociechą i ukojeniem. Milcząc, zwierzał się tym polom ze swej piekącej jak nóż w piersiach tęsknoty.

Teraz dusił go wstręt. Wydawało mu się dzikim snem, iż oto on, Andrzej Krzycki, musi brać udział w tych wszystkich duchowi jego cudzych sprawach, że musi iść z ludźmi o niezrozumiałych dlań instynktach, z ludźmi, których słowa mniej mu są obce, niż dusze. Cała ta wczorajsza burda, końskie rżenie odtrąconego Popowića, pijackie, uparte »dzierży!« Smirnowa, jękliwy skowyt Berty, chamskie wymysły Szwajcarów, gardłowy zadowolony śmiech Prietwitza, cyniczne dowcipy Francuzów z powodu zamokłej bluzki, wszystek ten harmider języków i pomysłów, cudacznych dlań wyrazów i gestów, zlewał się w jego wrażeniach w jakieś ohydne pomyje, w których ręce jego gmerały ze wstrętem. Aż się otrząsał z abominacją na wspomnienie rozkosudanej, przepitej Berty, jej piersi obwisłych i mokrych... Ani mu się

chciało myśleć, dlaczego nań naskarżyła: jeszcze jeden gest obcy i nienawistny... »Żeby już raz dostać tę maturę«, myślał z zaciętym gniewem.

Wpatrzony w dalekie brózdy, ani się ruszył na uprzykrzony szczęk elektrycznych dzwonków. Po długiej dopiero chwili, gdy był pewny, że wszyscy już zajęli miejsca, wszedł do klasy i usiadł obok kolegi Lubelskiego. Sąsiadowali ze sobą od początku, z polecenia Haegelego, jako Landsleute — rodacy. Rodak Lubelski był niezwykle sztywny i dystyngowany. Otrzepując pyłek z pięknie zaprasowanych spodni, pytał z chłodną grzecznością:

— Cóż? Skazano pana?

— Nawet nie wiem. Pewnie.

— Zabronili wychodzić na miasto. Podobno Berta świadczyła przeciwko panu.

— Aha...

— Mści się... Leciała na pana daremnie...

Powiedziawszy to, Lubelski skrzywił się nagle, zakaszlał wstydliwie i zamilkł. Czuł, iż wyraz »leciała« nie pasuje do jego »ensemble'u«.

Krzycki siedział w obojętnem zadumaniu, jak zwykle. Przez chwilę przeleciało mu przez głowę: »Ma Żydek rację...« Przypomniały mu się jej niezdarne umizgi, jakieś mdłe uśmiechy, stawania na drodze za bufetem. Raz nawet musiał odsunąć ją dość brutalnie na bok, żeby

przejść przecież. Berta... Nagłym wysiłkiem woli odrzucił precz od siebie te myśli, jak odrzuca się kał kopnięciem nogi: obrzydły mu te historje do cna. Korzystając z wejścia profesora, zatopił się w zwykłem leniwem rozpamiętywaniu.

Patrząc przez okno w skrawek upalnego nieba, widział się u siebie w Brodach na jeziorze, w kołysanej drobną falą dużej łódce myśliwskiej. Założył obie ręce pod głowę i leży rozwalony jak basza, niedbale słuchając gorączkowych opowieści dalekiego kuzyna i rówieśnika, Janka Gałeckiego z sąsiedniego Wyszkowa. Łódka trze się o szuwary; pióropusze i kity trzcin kołyszą się miękko nad głową, libelle o czarodziejskich kolorach skrzydeł stoją nieruchome w słońcu... Zmoczony ceter Trop podnosi leniwie kudłatą głowę i pociąga nosem ku pokrwawionym kaczkom... Janek gestykuluje namiętnie, krzyczy prawie. — Słyszał na własne uszy, jak karbowy Tomasz opowiadał w kuźni przy ludziach, że ta nowa panna, to wcale nie do gospodarstwa u wuja, o nie! Bo przecie panna Helena sama poradziła dotąd wszystkiemu. Och, on, Janek, wie wszystko, dobrze rozumie! Wie, po co wuj Krzycki jeździ do Warszawy i dlaczego zawsze »jakąś tam« ze sobą przywozi. Ale gdyby jemu, Jankowi, żona umarła, toby nie spojrzał na inne! Czciłby jej pamięć do śmierci, tak, do samego grobu! —

Janek bije się w piersi z łoskotem i znowu gada, gada... Andrzej wysłuchuje pobłażliwie, choć sprawy te zna i przemyślał je oddawna. Lecz oto nagle, gdy sam najmniej się tego spodziewał, unosi się do połowy. »Janek, przestań! W tej chwili przestań!« Janek staje zdumiony, usta ma otwarte jeszcze do dalszego gadania... »Ani słowa dalej. Słyszysz?!« Trop stawia oboje uszu, jak sygnał, i słucha pilnie. Janek czerwienieje jak burak. »Bo co?« — »Bo wyrzucę cię z łódki!« — »Sprobuj!« — I nagle, porzucając przyjętą już obronną pozycję, Janek staje na burcie nogą. »Kiedy tak do mnie mówisz, a jesteś silniejszy, pójdę sam«. I buch w wodę, aż klasło! W ubraniu, we wszystkiem! Kochany Janek! drogi, drogi chłopak! Jakże im obu później naurągał stary Wiślicki! Każdy po dziesięć zadań geometrycznych i nowennę! Niewolno ojca sądzić i dumnym być niewolno! — aż się zakasłał stary z alternacji.

Stary Wiślicki! Andrzej widzi się małym, maleńkim, w długiej na wyrost lisiurze i ciężkiej czapie futrzanej, jak biegiem prawie pędzi, trzymany za rękę przez kroczącego w zadumie nauczyciela. Nożyny mu się plączą, zawadzają o nadrożne wyrwy, zapadają się w błocie po kostki, a Wiślicki nie widzi: jakby nigdy nic sadzi na wysokich, chudych nożyskach, ani dba o Jędrusiowe, smętne sprawy. Jędruś popła-

kuje zcicha. Naraz Wiślicki stanął, spojrzał na zegarek, wyjął maleńkie pudełeczko: homeopatja. Łyknąwszy, dojrzał zapłakanego chłopca. »Czegoż ty beczysz?« — »A... bo pan... tak prędko... a ja... nie... mogę...« — »Ja... prędko?« Malec rozciera grube łzy z wściekłością. Naraz czuje się porwanym z ziemi, gdzieś wysoko, aż na Wiślickiego piersi. Ostra broda jeździ mu po policzkach, suche wargi scałowują łzy z powiek. »Nie becz... nie becz... pójdziemy wolno...« Za chwilę idą dalej, trzymając się za rękę po przyjacielsku. Wiślicki zamyślił się znowu i oto Jędruś sapie jak kocioł, gubi się we własnych połach, macha wolną łapiną na urząd, a dyrda, a dyrda, telepie, byle wytrzymać, byle się nie rozpłakać i nie zmartwić nauczyciela, »bo pan Wiślicki dobry, tylko ma bardzo długie nogi...«

A owo sławne spotkanie Wiślickiego z ciotką Krasnołucką. Kiedy to wzięła go za lokaja z powodu wiecznie wyszarzanego fraka i głowę mu zmyła za niestarte kurze, a on nic. Ani słowa. Owo straszne oburzenie ciotki, że zmilczał i jego skromna odpowiedź: »Nie chciałem hrabiny zawstydzać«. Na co ciotka spojrzała tak, aż jego, Andrzeja, ciarki przeszły i wycedziwszy przez zęby: »A jeszcze powstaniec dawny... Hańba!« wyszła ze strasznym szumem jedwabi oskarżać ojca, że zrobi jej z Andrzeja takiego

samego »cudaka« jak papa i »ten stary idjota i bigot«.

Poczem, już dwa lata temu, pobyt w Zieleńcach u Krasnołuckich! Pierwsze w życiu pieniądze na drobne wydatki od ciotki, »bo ci pewno wesoły samotnik-papa grosza nie dał, a ja jestem twojej matki siostra«, przejażdżki automobilem, konno, pierwszy bal, pierwszy walc, pierwsza miłość... Kuzynka Jadzia Krasnołucka... Prześliczna... wspaniała, wesoła i zaręczona ze sztywnym, podstarzałym Kmitą... Jakże on tego Kmity nienawidził! Jaką miał straszną ochotę postrzelić go wtedy, na stanowisku, po owem przewesołem śniadaniu, gdy pito z Jadzinego trzewiczka i bito do asów na sośnie... Kiedy to Kmita niepewną ręką wszystkie coeur'y wybijał i po każdym strzale rękę Jadzi całował z ostentacją... Jadzia Krasnołucka! Jak serdecznie, rozkosznie śmiała się z niego, gdy w rozpędzie za piłką wpadł na tennisową siatkę i kozła na rękach wywrócił, by nie wyrwać przecież palików w upadku...

Jakiś chóralny śmiech wyrwał Krzyckiego z tych marzeń. Cała klasa kołysała się i trzęsła w ławkach, jak nagłym wichrem poderwane pole. Grubemu Liphardtowi nawprost Andrzeja policzki tak napęczniały krwią, iż zdawało się, lada chwila pęknie z łoskotem; Popović objął chudego Anglika Clarke za szyję

i coś mu perswadował z ciągłem porykiwaniem, Dupont i Labeuf stroili małpie miny do klasy, stukając się w czoło co chwila i łamiąc ręce z komiczną załością.

Dojrzawszy przed katedrą małego Milera, jak stał tam nastroszony i ponury, Krzycki zmarszczył brwi gniewnie. »Znowu jakieś dzikie historje. O, ten Miler!« — myślał z niechęcią, wsłuchując się uważnie.

Nauczyciela Rosenegga, starszego już o grubych gnatach Szwajcara, trzęsła wyraźna wściekłość. Na czoło wyszły mu krople grubego potu. Brutalnie wymachując zeszytem przed samym Milerowskim nosem, wykrzykiwał przepitym dyszkantem:

— Wie ist's geschrieben? Was für eine Sprache ist's?! [1]).

— Polnisch...

— Wie?! Wie? Haben sie gehört?! [2]).

— Polnisch... S'ist meine Muttersprache. Pan chciał, żeby napisać w ojczystym języku...

Rosenegg chwycił się za głowę i począł biegać po klasie jak oszalały.

Krzycki dojrzał wzruszenie ramion i ironiczny, porozumiewawczy uśmiech Lubelskiego.

---

[1]) Jak to napisane? Co to za język?

[2]) Jak? Jak? Czyście słyszeli?

Nasępił się bardziej jeszcze i słuchał nowych, wścieklejszych jeszcze wrzasków Rosenegga:

— Co takiego?! Co mi pan opowiada!! W ojczystym języku? Dla kogo?! Dla Niemców tylko, dla Francuzów, dla Anglików, dla Włochów!... Powiedziałem wyraźnie: alle Slawen deutsch! Fertig! Pan nie słyszał?!

I nagle, jakby olśniony własną inwencją, wzniósł ręce do góry.

— A gdyby mi ktoś napisał w Botokudu-Sprache? Też mam przeczytać?!

Klasa ryknęła jednogłośnie. Śmiał się Mazetti, śmiał się von Prietwitz, śmiał się Radosławlew i Herzog i Krausz i Miklas, śmieli się Labeuf z Dupontem, śmiał się Crenianu i Clarke, śmiał się nawet na wszystko obojętny Smirnoff... Na twarzy Lubelskiego zastygł bolesno-ironiczny uśmiech.

Mały Miler, któremu wszystkie piegi wyszły ze wzruszenia na wierzch, powtarzał uparcie ze spuszczoną głową:

— S'ist meine Muttersprache... S'ist meine Muttersprache...[1]).

Rosenegg, upojony własnym dowcipem, bawił się teraz setnie. Zwrócony do klasy:

— Hören sie? — pytał. Seine Muttersprache... a nazwisko pańskie?

---

[1]) To mój język ojczysty...

Miler nasrożył się teraz, jak sowie pisklę.

— Sie kennen's. Miler [1]).

— Miler! Hören sie, meine Herren? Müller! Ha, ha, ha! Müller und ein Pole! Słyszycie? A czemu pan Lubelski, ein Pole mit »ski«, napisał po niemiecku? [2]).

Milerowi wypłynęły z pod powiek grube łzy. Martwym, jakby zakatarzonym głosem stwierdził.

— Er ist ein Jude [3]).

Śmiech urwał się w dobrej połowie klasy. Herzog, Krausz, Malicki, Lubelski zamilkli i opuścili głowy, jak na komendę. Przestał się śmiać i sam Rosenegg. Czując głupstwo w powietrzu, pytał szybko dalej, byle przerwać kłopotliwe milczenie:

— A pan Krzycki? Pan Krzycki? Jak napisał?

Krzycki podniósł się leniwie.

— Wcale nie pisałem.

— Dlaczego? Był pan chory?

Krzycki wzruszył ramionami. Odpowiedział niegrzecznie, rozciągając każdy wyraz:

— Bo mi się tak podobało.

I usiadł, niby kończąc dyskusję. Dzwonek

---

[1]) Pan je zna. Miler.

[2]) Słyszycie, panowie? Miler, Miler i Polak!

[3]) To Żyd.

elektryczny zatrzepotał się gwałtownie. Rosenegg otworzył usta, chciał coś powiedzieć, i naraz machnął ręką negliżująco. Wyszedł.

Mimo panującego w klasie ożywienia, Krzycki układał w swym pulpicie książki długo i wolno, aby się uspokoić. W głębi huczała w nim wściekłość na Milerowski nietakt, a gdzieś jeszcze głębiej, aż z samego dna duszy, wstawały gorzkie opary upokorzenia i żalu. Nie patrząc, widział ciągle przed sobą szczupłego chłopca z dwiema grubemi łzami na policzkach. Wydawało mu się, iż to nie głupi Miler, koleżka, lecz on sam, jakaś jego samego część, owa urobiona z dawnych Wiślickiego o Zawiszach, Sobieskich, Batorych opowieści. Jego własna dusza roni te bezsilne łzy rozczarowania... Aż ręce mu zadrżały, gdy schwytał się na tem niejasnem uczuciu. Poczuł oto nagle, iż niesposób wojować w życiu sprawami umarłemi; wzgardził też niemi z młodą lekkomyślnością. »Co mi tam!« — pomyślał: »tak jest i koniec; ja zaś muszę teraz dostać maturę«.

Z zupełną już swobodą przeciskał się przez zgromadzoną koło Milera grupkę w kierunku wystającej nad tłumem głowy długiego Clarke. Starając się nie słuchać Milerowskich »uświadamiających« bredni, trącił Anglika zlekka.

— Godzina tennisa, Clarke. Gramy.

Tamten machnął w tył kościstą dłonią.

— Ein Moment, ein Moment... S'ist sehr interessant! [1]).

Stał tak z wyciągniętą szyją i gotowemi do śmiechu rysami, jak ktoś, co bada rzeczy nowe i zabawne.

Ze środka koła dochodziły jakieś gorące, wzruszeniem rwane zdania Milera. Mówił coś o języku, szkołach, zatrącił o Alzację i Lotaryngję... Krzycki widział, jak Labeuf wysunął się na to z grupy, stwierdziwszy z chłodną obojętnością: »Ah, non! to zupełnie co innego«. Oblicza słuchających stawały się coraz bardziej szare i ostrożne... Ktoś wzruszył ramionami, bezczelny Abeljanc ziewnął głośno i z arogancją. Zaczęto się rozchodzić. Widział jeszcze, jak potężny Yankes Lechford klepał Milera po ramieniu dobrodusznie:

— Dobrze Miler, dobrze... Tylko ojczysty język coś wart. Nur Muttersprache!

Teraz Clarke trącił Krzyckiego z kolei.

— Chodźmy już — rzekł spokojnie jak po skończonem przedstawieniu.

Na placu, w gorącem słońcu lipcowem, Krzycki jakby odżył nagle. Lekkie białe ubranie, dające taką swobodę członkom, iż jasno czuł własną nagość, cieszyło go jak nieustanna na skórze pieszczota; mięśnie ramion i ud prę-

---

[1]) Chwilkę tylko... To bardzo ciekawe.

żyły się radośnie jak wyginana klinga. Krok każdy był stąpnięciem młodego boga. W każdym skoku wyczuwał uginanie się ziemi miękkie i życzliwe jak kochający uśmiech. Zrośnięta z dłonią rakieta cięła powietrze ruchem błyskawicznym i ostrym wśród świstu uniesienia i groźby. Oczy wparły się w oczy jak orle szpony: badały każdy ich błysk, tonęły w zimnej głębi uwagi, czaiły się podstępnie, by wyrwać wrogi a nieuchwytny zamysł. Nie liczyli wcale, nie mówili nic. Rysy ich wyschły w napięciu, szczęki zacięły się w zawiasach. Parując nieomylne ciosy, rakiety skowyczały raz w raz jak z bólu. Czasami tylko, po ruchu zwartym i krótkim niby węzeł, wydzierał się z poza muru zębów groźny wyraz »game!« jak szczęknięcie.

Od czasu do czasu, zmieniając na placu miejsca, mogli widzieć zgromadzoną, jak zwykle podczas ich gry, galerję. Zmącone upojeniem źrenice dostrzegały senne ramiona Smirnowa i pogardliwą uwagę Prietwitza, muskały kłótliwie rozgadanych Francuzów, tajemniczo z Krauszem szepczącego Crenianu, ziewającego do łez Abeljanca i apatycznych: Miklasa, Liphardta, Radosławlewa i innych... Na uboczu, na samym końcu ławki samotnie tkwił nastroszony Milerek... Nad wszystkimi ciążyło wściekłe, do białości rozpalone słońce. Jedyny Mazetti, na szczycie sędziowskiej trybuny, wykrzywiał

się do obecnych jak małpa na słupie, wydając przeciągłe, gardłowe pokrzyki.

Wtem długie ręce Clarkego wbiły piłkę wprost w ziemię, tuż za siatką, jak pieczęć. Skończyli. Równocześnie z ciosem Mazetti, jakby go piorun trzasł, zjechał w dół błyskawicznie i chlusnął ciężko na ziemię jak worek. Poderwały się leniwe śmiechy i oklaski, nie wiedzieć, dla żartu, czy dla partji. Lekko skoczywszy przez nieruchomego Włocha, chłopcy stanęli przed ławką, ocierając z pobladłych twarzy drobne kropelki potu. Na ławce powstał nieznaczny ruch: z mimowolnym szacunkiem usuwano się przed championami zakładu. Jedynie Prietwitz i leniwy Smirnoff ani drgnęli. Wiedziony tajemniczym instynktem Krzycki, kiwnąwszy głową w podzięce, siadł obok samotnego Milera. Ten poruszył się niespokojnie. Czując na sobie uparte, zezujące spojrzenie, Krzycki odwrócił się nieco bokiem w sposób chłodny i nieprzystępny.

Zaległa ciężka, beznadziejna nuda. Przed chwilą ożywiony plac zionął brutalną, przeraźliwą pustką; spuszczona siatka czepiała się palików w ponurem wyczerpaniu, jakby tonąc w rozpalonej ziemi; białe linje granic ciągnęły wzrok nużąco, niby stare, dawno rozwiązane zadanie geometryczne na olbrzymiej tablicy. W końcu dziedzińca jakaś kupa cegieł szcze-

rzyła żółte zęby z pośród opylonego zielska. Jak szereg milczących mnichów zaglądały przez parkan szare kaptury sąsiednich akacyj. Poczerniały od deszczów kołobieg opuścił ramiona z desperacją, jak człowiek, który niczego już nie pragnie.

Chłopcy siedzieli, milcząc. Po długiej, urywanej naradzie, postanowiono ogólnie przenieść się w cień idjotycznej w rogu altanki — i nie ruszył się nikt. Ani jeden. Siedzieli dalej, milcząc, zgarbieni, zwiśli ku własnym kolanom, niby przytłoczeni ciężarem słońca i nudy. Rozwalony Mazetti chrapał lekko pod białem skrzydłem panamy.

Na ciężki tupot kroków na schodach, kilku podniosło głowy wyczekująco. Opuścili je zaraz. Popović. Siaki-taki spojrzał na zegarek, zasłaniając rozziewane usta. Żeby choć lunch prędzej!

Popović zbliżał się wolno, kołysząc przydługi korpus na niezgrabnych biodrach. Stanąwszy przed nieruchomym szeregiem, długo mrużył głupkawe oczka przed nieznośnym blaskiem.

— Na, was ist denn los? Czego siedzicie?

Ktoś mruknął niechętnie, nie ruszając się zresztą zgoła.

— Niczego. Nuda.

Zmrużone oczka muskały kolejno wszyst-

kich siedzących jak chrząszczowe macki. Na widok Milera twarz Serba skupiła się na chwilę w tępem przypomnieniu, by rozpłynąć się nagle jak rozlane ciasto.

— He, Miler! Miler! Wie geht's? Ist noch Polen nicht verloren? Was? [1]).

I natychmiast zarżał po swojemu, tłukąc się z radości po tęgich udach.

— Ho, ho, ho! Ist noch Polen nicht verloren! Ho, ho, ho!

Von Prietwitz parsknął pierwszy krótkim wzgardliwym śmiechem, a wraz zawtórował mu bezmyślnie Smirnoff i Abeljanc, Crenianu, Labeuf i Liphardt i Krausz i Radosławlew... Wszyscy. Śród ogólnego rechotania zaledwie słychać było bezsilny, łzami podeszły głosik Milera:

— Lass doch! Du, Schweinstreiber! Świnopas!

Lecz Popović zbyt rzadko miewał powodzenie, by się urażać nie w porę. Trzymając się za brzuch z uciechy, podniecany coraz to nowemi wybuchami, wśród powszechnego harmidru wykrzykiwał coraz to głośniej, popierał swe wrzaski gestem coraz wymowniejszym.

— Du, Miler! Ho, ho, ho! Na mapie szukałem!... Ho, ho, ho! Nicht verloren!... Mit Tele-

---

[1]) Miler! Co słychać? Jeszcze Polska nie zginęła! Co?

skop gesucht... Nichts da! Niema nic. Ho, ho, ho! Ist noch Polen...

Leciał już na wznak, trafiony szybszym od myśli ciosem Krzyckiego. Krzycki wstał teraz. Pod powiekami fruwały mu czerwone płatki, jak motyle; w uszach łopotało niby tysiące proporców, z głębi duszy wzniósł się jeden ogromny krzyk: »Jezus, Marjo! A bij kto w Boga wierzy!!« Na widok ściętych zębów i przyczajonej ręki Prietwitza, ciął go rakietą przez łeb na odlew. Skoczył potem na ławkę i szarpnął za rękaw przerażonego Milera.

— Do altanki, Miler! Do altanki!

Nacje oprzytomniały tymczasem ze zdumienia. Widok boleśnie na ziemi siedzącego Serba, broczącej Prietwitzowskiej krwi, wyrwał nagle ze wszystkich otwartych gąb różnojęzyczny gwar. W silnym afekcie oburzenia wykrzykiwano nie językami już, lecz narzeczami; każdy bełkotał gorące wyjaśnienia, ani dbając, iż sąsiad nie rozumie ani słowa; klęto w dwudziestu idjomach, z właściwą każdej rasie gestykulacją. Od rzucających się konwulsyjnie żydów, dziwnie odbijały zwięzłe ruchy czerwonego jak piwonja Liphardta; nagle zbudzony Mazetti terkotał coś pospiesznie, jakby chciał wziąć rekord szybkości mowy, do pełnych buńczucznego zapału Francuzów; nagle w sobie zwarty, przyczajony jak pantera Abel-

janc wyrzucał z poza wściekłością odkrytych zębów dźwięki starte i suche, jak trociny... Po chwili dopiero, niby po umówieniu, wydarł się ze wszystkich gardeł we wspólnym języku ogólny wrzask, jak hasło.

— Die Polen raufen![1]).

Co odważniejsi, pod przewodnictwem Labeuf'a, pchali już przed sobą ustępujących ku altance Polaków. Hałas i szczęk wojenny napełnił do cna spokojne przed chwilą podwórze. Z uwagi na rakietę Krzyckiego, poczęto oglądać się za bronią: rozległ się suchy trzask łamanego parkanu, dudnienie odrywanych desek. Siaki-taki, co słabszy a większy tchórz, rzucał się ku zakładowi, przebiegając milczące korytarze z okrzykiem:

— Die Polen raufen!

Z otwartych naścieżaj drzwi wybiegały co moment posiłki: Hiszpanie, Niemcy, Francuzi, Bułgarzy, Holendrzy, Szwedzi — Bóg wie nie jakie nacje i języki. Stali przez chwilę spokojnie, orjentując się w tej nawale wzniesionych kijów i pięści, napiętych barków i rozkrzyczanych ust, by rzucić się nagle w ten wirujący kocioł z radosnym, a coraz to innym okrzykiem. Roześmiane na widok walki, olbrzymie Yanke-

---

[1]) Polacy robią burdę.

sisko Lechford trącił w bok bladego Lubelskiego:

— Na, Lubelski, wass ist denn los? [1]).

Ktoś przebiegający obok z niezwykłym pośpiechem rzucił w przelocie:

— Die Polen raufen!

Lubelski uśmiechnął się nagle jakimś żałosnym uśmiechem, podrzucił ramiona z desperacją i począł biec szybko ku altance, nie zważając na spokojną przestrogę Lechforda:

— Warte mal, Lubelski! Warte mal! [2]).

I rzeczywiście długoby musiał czekać wobec falującego, a zwartego muru pleców. Dopiero Yankee, puściwszy w ruch ramiona jak tarany, odrzucając zapalczywych szermierzy w prawo i lewo, jak szczenięta, utorował dla obu drogę do środka. Gdy stanął, zakasując rękawy, obok skrwawionego Krzyckiego, rozległy się oburzone wrzaski:

— Hallo, Lechford! Was ist denn da! [3]).

— S'ist eine Frechheit! [4]).

— Du, Lechford! Lass doch! [5]).

On zaś odpowiedział z poważnym sportowym uśmiechem:

---

[1]) No, Lubelski, co się tu dzieje?

[2]) Zaczekaj, Lubelski, zaczekaj!

[3]) Lechford! Co to ma znaczyć?

[4]) Bezczelność!

[5]) Lechford! Daj spokój!

— Werden mal boxen! [1]).

Co mówiąc, wraził pięść w sapiącego, a prącego się naprzód w milczeniu, jak baran, Smirnowa. Drugim ciosem położył bladego, jak śmierć, Prietwitza, trzecim zawadził o szczękę wysuniętego przez tłum Crenianu... Dzielnie sekundowany przez sprzymierzeńców, pracował jak maszyna, otrząsając się ledwie pod ciosem kijów parkanowych i desek; wśród natłoku przeciwników bił spokojnie i z równowagą, jak człowiek, któremu chodzi o sport, nie o sprawę.

Wiktorja jęła się wahać. Mazetti, trąbiący dotąd na parkanie w obie dłonie, jak w surmę, zamilkł nagle, niby zdetonowany zmiennością fortuny. Z walczącego tłoku poczęły odrywać się naprzód pojedyncze postacie, potem całe grupki szermierzy...

Nagle rozległ się ostry krach. Ruiny altanki, zdemolowanej nagłem parciem prowadzonych przez Abeljanca posiłków, pokryły walczących drewnianą siecią. I nie dając im przyjść do siebie, Ormianin, schyliwszy się błyskawicznie, szarpnął nagle od tyłu za obie nogi Lechforda; Yankee upadł jak kłoda w objęcia przeciwników. Z frontu rozległ się radosny wrzask. W tej samej chwili zwalił się pod ciosem deski wyczerpany Krzycki, za nim runął ciężko pobity

---

[1]) Będziemy się boksować!

Lubelski, dziesiątki rąk wyciągnęły się po skurczonego Milera...

Mdlejącym wzrokiem widział jeszcze niesamowite ruchy biegnącego przez podwórze kierownika zakładu...

Nacje zwyciężyły.

SPIS RZECZY.